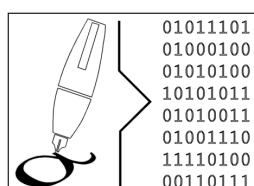


JANUSZ A. ZAJDEL

WYJŚCIE Z CIENIA

Data wydania : 1979 r.



I. Kaes

*Wszystkie mrówki, wypożyczone z wyobraźni Julii
Nideckiej, z podziękowaniem zwraca*

autor.

Głuchy łoskot wstrząsnął ścianami bunkra. Ktoś stęknął przez sen, po kątach słyhać było chrapliwe oddechy śpiących. Z zewnątrz dobiegał narastający, wysoki świst, przenikający poprzez grubą warstwę betonu. Edel naciągnął na głowę róg starego, rozłazącego się koca, lecz niewiele to pomogło: chłód owiał stopy, owinięte dziurawymi szmatami, a świst wiercił nadal bębenki uszu.

Edel wiedział, że to dopiero początek. Kolejny wstrząs i odgłos detonacji, drugie źródło świstu dołączyło do pierwszego, potem jeszcze trzeci, czwarty łoskot... Na wprost szczeliny obserwacyjnej, na ścianie połyskującej od wilgotnych zacieków, zatańczyły pomarańczowożłote odbłaski. W migotliwym świetle Edel widział, jak poruszają się ciemne kłęby szmat, kocy, watowanych kufajek, rozlokowane pod ścianami, na podwyższeniach pulpity, na zestawionych razem ułomkach starych foteli.

Budzili się wszyscy, bo chyba tylko głuchy mógłby spać przy akompaniamencie dokuczliwie powtarzającego się łomotu i wibrujących świstów. „Można by zapchać workami z piaskiem — pomyślał Edel, patrząc w stronę szczeliny w półtorametrowej betonowej ścianie. — Byłoby ciszej, i cieplej. Tylko...” Pociągnął nosem i wyobraził sobie ten sam przykry zaduch, zwielokrotniony brakiem wentylacji. Ponad pięćdziesiąt osób, sfłoczonych we wnętrzu bunkra, wytwarzało dość szczególną atmosferę...

Odrzucił przetarty, brudny koc, postawił kołnierz waciaka i opuścił nogi na podłogę. Odruchowo strzepnął żdźbła siana, które czepiały się odzieży, wyłaząc wszystkimi dziurami z siennika, sporządzonego ze starych worków.

Jazgot osiągnął szczyt natężenia, detonacje ustały. Nikt już chyba nie spał, lecz prawie wszyscy, wciągnawszy głowy spod przykrycia, próbowali przeczekać hałas, nie tracąc resztek ciepła ze swych legowisk. Wydłużony poziomy prostokąt szczeliny świecił teraz prawie równomiernym, żółtawym blaskiem. Edel wiedział, że wygrzewanie silników będzie trwało jeszcze z pięć minut, a potem kolejno zagrzmią dysze startowe.

Popatrzył dookoła, siedząc na legowisku, plecami wsparty o zszarzałą, niegdyś barwną tablicę rozdzielczą, z potłuczonymi szybkami wskaźników i świateł kontrolnych, ułomkami dźwigni i przełączników.

Zeskoczył na beton podłogi i lawirując pomiędzy jęczącymi towarzyszami podszedł do stojącej w kącie beczki. Zacerpnął z niej blaszonym kubkiem, przełknął parę łyków. Strumyczek wody z dziurawego dna pociekł mu po piersiach, niemile chłodząc rozgrzane snem ciało. Otarł usta, strzepnął krople wody i odwiesił kubek na haczyk. Wrócił do legowiska, wciągnął długie, gumowe buty i poszedł w stronę wyjścia. W krętym labiryntowym korytarzyku, na pryczy ze starych drewnianych skrzynek leżał jeden z grupowych.

— Dokąd? — burknął, nie unosząc głowy.

— Na powietrze. Trudno tu wyśledzić, a spać się i tak nie da... — powiedział Edel.

— Nie teraz. Łeb ci urwie, jak zaczną startować.

— Tylko do wylotu korytarza i zaraz wracam — powiedział Edel, mijając pryczę.

Grupowy nie odezwał się, odwrócił twarz do ściany i nakrył się z głową. Tutaj, w labiryncie wejścia, było znacznie ciszej niż tam, w bunkrze, przy odsłoniętej szczelinie. Jeśli Edel zazdrościł kiedykolwiek grupowym, to tylko tego właśnie: prawa spania w labiryncie.

W miarę jak zbliżał się do końca tunelu, jazgot narastał do granic wytrzymałości. Edel uskubał waty, wyzierającej z dziur w jego kufajce, i skręciwszy z niej kulki, zatkał uszy. Pomogło, choć nieznacznie, bo świst słyszało się całą głową, całym ciałem jakby. Korytarzyk wznosił się kilkunastoma schodkami do zamkniętego, niskiego wjazdu. Edel odryglował i uchylił grube stalowe drzwiczki. Hałas uderzył go prawie fizycznie odczuwalną falą, wdarł się przez szczelinę wjazdu, zadudnił po zakamarkach labiryntu. Edel przeszedł na czworakach przez otwór i zamknął wjazd od zewnątrz, a potem przebiegł wzdłuż ściany bunkra, schylony w pół, by głowa nie wystawała powyżej niskiej, betonowej jego części, wznoszącej się nad poziom ziemi. Dopadł narożnika. Tuż za nim w ścianie była nisza dość głęboka, by się w niej pomieścić. Wewnątrz było nieco ciszej. Edel osłonił dłońmi uszy i czekał. W prostokącie wylotu niszy widać było kawałek płaskiego krajobrazu, porośniętego kępami ostów i suchą trawą. Łąka kończyła się ciemną ścianą zagajnika, nad którym rozciągało się pokryte obłokami niebo. W świetle, idącym gdzieś z tyłu, zza bunkra, obłoki płonęły złotem i czerwienią. Światło było już prawie nieruchome, równomierne — ustaliło się, jak ten świdrujący, syczący gwizd. Czarny cień bunkra obejmował pas o szerokości kilku metrów przed wylotem niszy.

Nagły ryk uderzył poprzez dłonie osłaniające uszy, wstrząsnął plecami wspartymi o beton, wrócił echem od zagajnika. Obłoki jakby drgnęły na granatowym tle nieba, ich koloryt przeszedł od czerwonozłotego poprzez purpurę aż do głębokiego fioletu, potem zbłękitniały i zjaśniały do oślepiającej bieli. Pas cienia, rzuconego przez nadziemną część bunkra, zwężał się znikając prawie. Źródło grzmotu przemieściło się ku górze, łoskot słabł coraz bardziej, obłoki przygasły. Dziesięć sekund spokoju — bo po tym wszystkim dla zboliałych uszu dawny, nie ustający ani na chwilę świst był jak kojąca cisza, i znowu ryk — dotykalny, chłoszczący huragan dźwięku, powyżej granic wytrzymałości...

Edel ścisnął dłońmi uszy, wtulając głowę w postawiony kołnierz waciaka. Czuł, że lada chwila nie wytrzyma, zerwie się, zacznie tłuc głową o beton — byle przestać słyszeć ten dźwięk-ból, choćby za cenę życia.

Znów oddalający się grzmot, ściemnienie obłoków nad horyzontem. Pośpiesz-

nie ściągnął watowaną kurtkę, okręcił głowę, wcisnął ją w najdalszy kąt niszy. Tak było lepiej. Liczył kolejne starty. Jeszcze dwa, Jeszcze jeden, Ten ostatni. . . Już.

Powoli, z obawą jakby, odmotał podarty waciak. Cisza. . . Tak zupełna, że aż przerażająca.

Po chwili dopiero przypomniał sobie o wacie w uszach, wydobyl ją i usłyszał lekki poszum wiatru. Odetchnął z ulgą. Wypełznął z niszy, rozprostował kark. Wzrokiem ocenił odległość do zagajnika.

„Trzy, cztery minuty czasu. . . — pomyślał. — Zbyt krótko, by dopaść tam, nim zaczną startować. Na otwartej przestrzeni nie da się znieść tego ryku. Można oszaleć, ogłuchnąć, skonać jak mysz pod szklanym kloszem w eksperymencie z dzwonkiem. . . W głębi lasu jest pewnie ciszej, trzeba zdążyć. . . Nie ma innego wyjścia albo tak, albo. . .”

Wiedział, że chwila startu jest jedynym momentem, w którym można liczyć na opóźnienie pościgu, W zwykłą noc, gdy nie startują rakiety, żaden grupowy nie wypuściłby go samego tak jak dziś.

Podszedł do drzwiczek wjazdu, otworzył je. Raz jeszcze popatrzy! na rozległą przestrzeń, oświetloną teraz tylko kwadrą księżyca.

Gdy mijają pryczę grupowego, usłyszał gniewny pomruk i głos spośród sterty łachów.

— Gdzie łazisz, do cholery? Miałeś zaraz wrócić!

— Byłem tutaj, w labiryncie. Tu najciszej. Nie znoszę tych hałasów, głowa mi pęka — powiedział z nutą znużenia w głosie, — Czyżbyś myślał, że uciekłem?

Odpowiedział mu chichot z pryczy.

— Durniu! — powiedział grupowy. — Nie myśl, że stąd się ucieka. Dokąd byś poszedł? Nie ma takich miejsc. . .

— Wiem. Oni są wszędzie. . .

— Oni! . . . — prychnął grupowy, odsłaniając twarz. Jego oczy, zmrużone i podpuchnięte, mierzyły Edela ironicznym spojrzeniem. W słabym świetle brudnej żarówki, palącej się pod stropem, wyglądał odrażająco, ze swą dawno nie goloną i nie domytą, czerwoną gębą. Edel miał ochotę trzasnąć go pięścią między te zmrużone, chytne ślepie. — Oni. . . — powtórzył grupowy. — Co mają do tego oni? Czy to za ich przyczyną jesteś tutaj? Sam do siebie możesz mieć żal, nie do nich. Jesteś tu i nigdy nie uciekniesz.

— Ty też — powiedział Edel, gryząc wargi.

— Ja też — zgodził się grupowy. — Tam, dokąd moglibyśmy uciec, nie chcą nas. Burzylibyśmy ich spokój, ich złudzenia. Ludzie nie chcą znać kosztów swojego spokoju. Dlatego jesteś tutaj.

Edel opuścił wzrok. Patrzył na końce swych dziurawych gumowców.

— Znów poszło dwanaście. . . Prawie dziesięć tysięcy ton netto — powiedział.

— Idź spać. Dwa pociągi czekają na rozładunek, lepiej odpocznij — doradził grupowy. — Będę prał po grzbiecie każdego, kto opóźnia robotę. Nie chcę dostać za was drugiej takiej pamiątki!

Wysunął spod koca lewą rękę. Jego dłoń była pokryta różowymi bliznami, brakowało dwóch palców.

— Wiesz, jak to robią?

— Wiem — powiedział Edel. — i wiem, za co.

— To dobrze.

— Nienawidzisz ich?

— Po co? — grupowy wzruszył ramionami. — A jeśli nawet nienawidzę, to nie bardziej niż was. Przecież za was to mam!

Podsunał okaleczoną dłoń pod nos Edela, a ten odwrócił twarz i powoli ruszył w stronę wnętrza bunkra.

Ułożył się na posłaniu. Przez szczelinę obserwacyjną wpadała smuga błękitnego światła. Edel patrzył bezmyślnie na pokrytą osadem kurzu powierzchnię tablicy kontrolnej, odczytywał wzrokiem wyryte na niej napisy, oznaczenia. Sto lat temu, w tym bunkrze, tacy sami ludzie też osłaniali uszy przed hukem startujących rakiet. Nawet rakiety były podobne. Teraz stare stanowisko kontrolne kosmodromu służyło jako barak mieszkalny. Barak o półtorametrowych ścianach z betonu. Pewnie jeszcze dawniej bunkier służył jako stanowisko obserwacyjne wybuchów w czasach, gdy teren był poligonem termonuklearnym...

„Historia w skrócie — pomyślał Edel z goryczą. — Wzlot do gwiazd i upadek, wszystko przetrwały te ściany... Czego jeszcze będą świadkami?...”

Bliskość miejsca codziennej pracy okupiona była powtarzającą się co parę dni udręką nocnych hałasów. Ale to było lepsze niż codzienne wielokilometrowe, piesz marsze w dziurawych butach... Przynajmniej dla większości pracujących tu ludzi.

Dla Edela przeniesienie do bunkra mogło oznaczać fiasko zamierzonej ucieczki. Tam, blisko granicy, można było liczyć na sprzyjające okoliczności. Wprawdzie grupowi pilnowali tam znacznie surowiej, lecz i tak udawało się nieraz wyslizgnąć nocą pod samą granicę. Stąd było znacznie dalej, lecz Edel nie tracił nadziei. Byle skończyć podkop i przejść granicę. To był pierwszy etap, pierwszy cel, jaki sobie wyznaczył. Co dalej? Nad tym nie zastanawiał się jeszcze. Cztery lata spędzone tutaj oduczyły go patrzeć zbyt daleko w przyszłość. Realne było „dzisiaj” i ewentualnie — „jutro”. Pojutrze było już mglistym pojęciem — horyzontem czasu, poza który myśl nie sięga.

Edel popatrzył na swoje dłonie z połamanymi paznokciami o czarnych obwódkach. Zacisnął je w pięści, rozprostował. Stawy trzeszczały, ścięgna przeszywały igiełki bólu. „Ta cholerna wilgoć” — pomyślał. Otulił się szczelnie kocem i zamknął oczy.

II. Poprawka z historii

Dzień był od samego rana słoneczny i ciepły, po nocnym deszczu powietrze pachniało świeżością późnej wiosny, kwitnieniem krzewów na skwerach i w ogóle — bliskością wakacji. Tim wyszedł z domu wcześniej niż zwykle. Okropnie nie chciało mu się iść do szkoły. Poprzedniego dnia do późna oglądał w telewizji transmisję sportową i nie przygotował się na dzisiejsze lekcje. Właściwie miał już końcowe oceny ze wszystkiego z wyjątkiem historii. Tim miał pecha do tego przedmiotu albo może po prostu profesor Bruss niezbyt go lubił, dość że przez cały rok było kiepsko z tą historią. W ubiegłych latach, gdy przerabiali starożytność, wieki średnie i czasy nowożytne aż do ostatniej Wojny Światowej, nie było żadnych kłopotów. Dopiero najnowsza historia, obejmująca okres ostatniego stulecia, okazała się dla Tima tak niewdzięczna. . . Uczył się, czytał dużo, znalazł wszystkie fakty i wydarzenia — ale wciąż jego odpowiedzi nie zadowalały Brussa, który zawsze się do czegoś przyczepiał. . .

Dziś historia miała być na pierwszej lekcji i trudno liczyć nawet na poduczenie się pod ławką. Jeśli Bruss wyrwie Tima — dwójka murowana i poprawka po wakacjach pewna. Nie, na to Tim nie mógł pozwolić. Już lepiej zrobić unik i przygotować się na następny dzień.

Tim zboczył w alejkę parku, znalazł ławkę ukrytą za krzakiem jaśminu i usiadł. Otworzył podręcznik. „No tak. . . Ładnie bym wyglądał! — pomyślał, kartkując książkę. — Dwanaście stron. Temat też jak ocean: „Niezaprzeczalna bezalternatywność naszej jedynie słusznej polityki międzyplanetarnej.” Już sobie wyobrażam te podchwytliwe pytania: Czy słuszna była błędna kosmopolityka byłej organizacji tak zwanych Narodów jakoby rzekomo Zjednoczonych i dlaczego nie była słuszna, uzasadnić na przykładach. . . Albo coś w tym rodzaju”.

Profesor Bruss był do niedawna zastępcą naczelnego redaktora lokalnej gazety, specjalista od zagadnień współczesnego świata i historia najnowasza stanowiła jego ulubioną dziedzinę.

Tim zamknął podręcznik, przez chwilę jeszcze walczył z własnym sumieniem, wreszcie wstał z ławki, torbę przerzucił przez plecy i pogwizdując ostatni przebój, zaczynający się od słów:

Popatrz, światło amby w górze lśni.
Czujnie strzeże nas Kosmiczny Brat!
Kocham cię, dziewczyno, uwierz mi,
Szczęście nasze potrwa tysiąc lat. . .

ruszył w stronę dworca autobusowego.

Nie wiedział jeszcze, dokąd pojechać, lecz było mu to właściwie obojętne, byle jakoś spędzić ten dzień z dala od szkolnych kłopotów i profesora Brussa. W zasadzie nigdy tego nie robił, lecz tym razem sytuacja była szczególna i Tim ogłosił sobie „stan wyjątkowy”. Żałował tylko, że nie umówił się z Martą, we dwoje byłoby przyjemniej. . . Ale teraz już było za późno o tym myśleć, a poza tym Marta pewnie i tak nie dałaby się wyciągnąć na wagary.

„A gdybym. . . tam. . . — pomyślał, stojąc przed tablicą z rozkładem jazdy i planem linii autobusowych. — Dlaczego by nie zobaczyć wreszcie samemu, jak tam jest. . .” Wszyscy koledzy już byli, a on, Tim, czasem po prostu wstydził się, że nie ma tego za sobą. Niby drobiazg, a jednak. . .

Autobus pustoszał. Na przedostatnim przystanku wysiadły dwie osoby i Tim spostrzegł, że jest ostatnim pasażerem.

— Jedziesz dalej? — Młody chłopak, kierowca, odwrócił głowę i patrzył, jakby trochę zdziwiony.

Tim przytaknął ruchem głowy, kierowca uśmiechnął się nieznacznie, zamknął drzwi autobusu i ruszył wolno po zniszczonej, pełnej dziur nawierzchni betonowej drogi. Trzęsąc się i podskakując, autobus minął kilka ostatnich domów osiedla i wjechał pomiędzy rozległe pola.

Okolica była pusta, po obu stronach szosy pola sięgały aż po horyzont. Monotonie krajobrazu przerywały tylko małe domki, rozrzucone pomiędzy prostokątami o zróżnicowanej zieleni, dwie długie szklarnie, oślepiająco błyszczące w słońcu, i ledwie stąd widoczny ciągnik z przyczepą, pełznący po polną drogą.

Autobus zwolnił. Przez przednią szybę widać było przekrzywiony słupek przystanku i mały placzyk z kolistą pętlą wyjeżdżoną kołami zawracających tu autobusów. Dalej widać było niewyraźne pasmo dalszego odcinka drogi, zmierzającej w kierunku odległej, ciemnej smugi lasu. Tim poczuł ucisk w okolicy żołądka i przyspieszone tętno w skroniach. Dłonie lekko drżały, więc zarzucił pasek torby na ramię i schował ręce do kieszeni. Kierowca zawrócił z fantazją, wzniecając obłok kurzu, i zahamował ostro, ustawiając autobus w kierunku powrotnym.

— Koniec trasy — ogłosił, patrząc spod oka na Tima, który wstał powoli z fotela, mruknął „dziękuję” i zeskoczył na zachwaszczone pobocze drogi. Kierowca wysiadł po drugiej stronie i gdy Tim obchodził tył autobusu, spotkali się oko w oko.

— Wycieczka. . . czy wagary? — spytał domyślnie kierowca. Uśmiechnął się przy tym pobłaźliwie. — Wiem, wiem — ciągnął, rozprostowując ramiona i przeciągając się. Szedł za Timem, który niepewnie ruszył naprzód. — Też tutaj byłem, kiedy miałem twoje lata.

Zabrzmiało to śmiesznie, bo mógł mieć o sześć czy siedem lat więcej niż Tim, a mówił jak staruszek, wspominający dawne dzieje.

Tim spojrział na niego, uśmiechając się nijako. Wolałby już być sam, iść sobie z własnymi myślami tą zapuszczoną, nie używaną od dawna drogą.

— Chcesz sam to zobaczyć, rozumiem. . . Każdy kiedyś ma taką chęć. Ale wystarcza ten jeden raz, potem już się nie chce. Nic ciekawego — gadał dalej kierowca. — Ale uważaj, nie idź za daleko!

Nareszcie zatrzymał się, a potem zawrócił. Tim nie obejrzał się. Słyszał tylko oddalające się kroki. Szedł dalej, powoli, pokonując dziwny opór własnych nóg.

W szczelinach spękanego betonu bezkarnie pieniały się dorodne kępy rdestu i kostrzewy. Pobocze porastały wysokie chwasty, chwilami przesłaniające widok

pól. Gdy uszedł ze dwieście kroków, usłyszał z dala warkot motoru. Autobus odjechał, Tim poczuł się nagle bardzo osamotniony, lecz nie zwolnił kroku.

Na prawym skraju drogi, ponad chwasty, jak słonecznik, wykwitał znak drogowy — „zakaz ruchu wszelkich pojazdów”, z tabliczką, na której widniał trochę zatarty napis. „Uwaga! Strefa ochronna” — odczytał Tim, podchodząc bliżej. Minął tablicę i szedł dalej, rozglądając się na boki. Wyteżając wzrok, odszukał wreszcie to, czego wypatrywał: niknący na tle nieba azur wieżyczki, dźwigającej na swym szczycie niewielką kulistą narośl. Przypominała słup wysokiego napięcia, na którym usiadło jakieś skulone stworzenie.

Po przeciwnej stronie drogi, o kilkaset metrów od niej, była druga, taka sama. Przeszedł jeszcze kilkadziesiąt metrów i zatrzymał się przy następnej tablicy z napisem „Granica. Przekroczenie grozi, śmiercią”. O dziesięć kroków dalej drogę przecinała ledwo widoczna cienka linka z powieszanymi na niej w niewielkich odstępach kawałkami czerwonej tkaniny, powiewającymi na lekkim wietrze. Linia czerwonych strzępków ciągnęła się w lewo i w prawo, na wysokości pół metra nad ziemią. Linka wspierała się na niskich słupkach, jak elektryczne ogrodzenie na pastwisku. Przed nią rozciągał się kilkumetrowej szerokości pas nie uprawianej ziemi. Dalej widać było łąkę, kilka kęp krzewów i drogę, tale samo zniszczoną jak po tej stronie, wiodącą w kierunku odległej ściany wysokiego lasu.

Tim raz jeszcze odszukał wzrokiem wieżyczki. Zgrubienia u ich szczytów miały kształt elipsoidy. Na szarej powierzchni każdej z nich widać było lśniący punkt, z tej odległości wyglądający jak szkliste oko. Te „oczy” nie były nieruchome. Patrząc przez chwilę, Tim zauważył ich powolne ruchy w pionie i poziomie. Cyklopowe spojrzenie wieżyczek kontrolnych omiatało strefę wokół linii czerwonych chorągiewek.

Tim był po raz pierwszy w takim miejscu. Czuł się, jakby doszedł do końca — jak ów wędrowiec ze średniowiecznego szttychu, który osiągnął koniec świata, wyobrażony jako kryształowy klosz sfery niebieskiej, co przykrywa płaski krąg Ziemi. Tylko że tutaj nie było tej kryształowej ściany, którą można by przeniknąć, choćby głową — jak ów średniowieczny podróżnik z obrazka. Nie było jej, lecz jednak...

Tim postąpił dwa kroki w stronę granicy, lecz w tej samej chwili mały medalion zawieszony na jego szyi rozbrzęczał się przeciągle. Cofnął się pospiesznie, a potem podniósł z szosy drobny kamyk, zamachnął się i rzucił przed siebie. Śledził lot kamyka, aż do rozbłysku białej iskry, której pojawieniu się nad linią chorągiewek towarzyszył suchy trzask. Kamyk nigdy, nie dotknął ziemi po drugiej stronie niewidzialnej ściany, która zamieniła go w obłoczek rozwiewającego się dymu.

Tim patrzył jeszcze przez chwilę wzdłuż pasa starej drogi, przeciętej linią powiewających płachetek, w stronę lasu i krzewów tamtego, nieosiągalnego świata po drugiej stronie. Potem powoli odwrócił się i ruszył w stronę przystanku autobusowego.

Wszystko to wyglądało tak właśnie, jak się spodziewał. Wszystko, czego uczono go od dawna, było prawdą. Wiedział, że było... Wiedza o świecie, jaką mu przekazywano od lat, była sprawdzalna i nie miał podstaw, by poddawać wątpliwościom którykolwiek z jej fragmentów. Wszystko było takie jasne, spójne, uporządkowane, trwałe i powtarzalne. Dawało poczucie stałości, a więc bezpieczeństwa. Było — jedynie możliwe i jedynie słuszne, bez alternatywy. Oczywiście

ste, jak to, że on sam był, istniał, czuł — wśród inych ludzi, wśród ulic i domów, w mieście z ambą pośrodku, z pulwami bezszelestnie płynącymi nad ziemią, z kołyszącymi się tu i ówdzie owalami kap-sów. . .

„. . . I skąd nagle ten niepokój, to dziwne pytanie: owszem, wszystko w porządku, ale. . . dlaczego właśnie tak? Dlaczego w takim porządku?” — zastanawiał się, przeskakując wyrwy w betonie drogi.

Widać już było autobus, stojący na przystanku. Kierowca stał na poboczu i palił papierosa patrząc przed siebie na szachownicę pól. Tim spojrzał za jego wzrokiem. Na przełaj przez zagony szedł jakiś przygarbiony stary człowiek. Zbliżał się do drogi i stojącego na niej autobusu, lecz szedł jakby coraz wolniej, z ociąganiem. Ubrany był w podarty kombinezon roboczy, ubrudzony ziemią. Twarz miał zarośniętą i brudną o szarobrunatnej, niezdrowej cerze. Tim zauważył, że nie jest tak stary, jak wydawało się z daleka.

Obdartus podszedł z wolna do autobusu i nie patrząc na kierowcę, który bacznie go obserwował, wdrapał się na stopień, a potem ciężko opadł na pierwszy z brzegu fotel. Tim też wsiadł, wrzucił monetę do automatu i schował do kieszeni bilet. Kierowca zajął swoje miejsce, uruchomił silnik i ruszył.

Mijali właśnie zabudowania przedmieścia, gdy nagle autobus zatrzymał się przed jakimś niewysokim budynkiem. Nie otwierając drzwi, kierowca zatrąbił raz i drugi. Z wnętrza budynku wyszedł umundurowany policjant.

— O co chodzi? — rzucił w stronę kierowcy, wychylonego przez okno.

Kierowca pokazał głową za siebie.

— Jakiś włóczęga. Nie zapłacił za przejazd — powiedział otwierając przednie drzwi.

Oberwaniec teraz dopiero spostrzegł, co się dzieje. Skoczył do wyjścia, policjant zastąpił mu drogę, lecz on odepchnął go obiema rękami, wypadł na chodnik i rzucił się do ucieczki.

Ulica, z obu stron zamknięta ciasną zabudową, nie dawała szans. Policjant zagwizdał i pomknął za nim. Dwóch innych wybiegło z drzwi posterunku i dołączyło do pościgu. Uciekinier potykał się, jego zbyt duże, gumowe buty nie pozwalały na szybki bieg. Po chwili policjanci już siedzieli mu na karku. Gdy wprowadzali go do budynku, nie szarpał się już, szedł potulnie, klapiąc dziurawymi gumowcami. Tim zauważył, że na drelichu podartej bluzy, na plecach, przeświecały mu niezbyt starannie zatarte, jaśniejsze od brudnego tła litery.

— Cwaniaczek! — powiedział kierowca głośno. — Myślał, że się uda! Nie potrzeba nam takich gości!

— Kto to był? — spytał Tim, przesiadając się na miejsce za kierowcą, który uruchomił silnik i ruszył.

— Nie widziałeś? Urwał się z kwadratu.

Tim nie pytał o nic więcej, bo nie chciał się zdradzić, że nie wie, co to znaczy.

Ekran celowniczy pokrył się kołami białych rozbłysków, zlewających się na chwilę w świetlistą płaszczyznę, by po kilku sekundach rozpaść się na rój osobnych, kurczących się w miarę oddalania, niebieskawych krążków. Pomiedzy nimi znów można było zauważyć tamte rosnące wciąż złowrogo plamy świetlne, znaczące położenie nacierającej eskadry.

Antyrakiety, biegnące na spotkanie wrogiej formacji, rozpierzchny się nagle,

naprowadzone na poszczególne cele... Jeszcze sekundy tylko... Seria błysków załaziła ekran oslepiającą bielą. Przesłonił oczy. Gdy spojrzął znowu, kula światła pękła właśnie na mnóstwo drobnych iskier, jak na pokazie sztucznych ogni, spalających się w locie, niknących powoli...

Z całego morza jasności pozostały tylko owe nieubłagane, nacierające światła. Tim przeliczył je wzrokiem i poczuł paraliżujący strach. Było ich więcej niż przedtem. „... a w miejsce każdej odciętej głowy smoka — trzy nowe wyrastały” — przemknął mu przez myśl urywek dziecinnej bajki. Wparł dłonie w dźwignie i odpalił nową serię antyrakiet...

... Teraz już cały ekran roił się od napastników, coraz bliższych, wdzierających się nieubłaganie, nieuchronnie w strefę obrony. Chciał zerwać się z fotela, lecz ciężar ciała nie poddawał się mięśniom. Tylko dłonie nieskończenie powolnym ruchem uniosły się do ekranu, jakby chcąc zetrzeć z niego przerażający obraz klęski... Nagłe uczucie lekkości, unoszenia się... Jak korek wypierany z dna naczynia, z gęstej zrazu, lecz stopniowo rzednącej cieczy, wyprysnął w górę, w nieważkość, w próżnię...

Otworzył oczy. Kołdra leżała na podłodze, on sam siedział sztywno na posłaniu, zaciskając dłonie na fałdach prześcieradła. Na wprost jego oczu czworokąt okna jaśniał błękitnawym przedświtem. Odetchnął głęboko kilka razy, wciąż jeszcze pod wrażeniem sennego koszmaru, z poczuciem nieuchronności zagłady reauty, której przed chwilą bronił do ostatka... Na przekór lękowi, teraz już z dystansu, utwierdzony w rzeczywistości jawy, przymknął oczy, by przywołać raz jeszcze obraz walki — obraz utkany wątkiem wyobraźni na osnowie skleconej z urywków oglądanych filmów, z mglistej wiedzy o przebiegu tych dawnych, lecz do dziś wstrząsających wydarzeń...

To był jednak piękny sen... Mając świadomość, że się śni, mogąc w każdej chwili wrócić do rzeczywistości — można by śnić dalej: odpierać huraganowe natarcia wrogiej flotylli, heroicznie bronić swej pozycji, aż do ostatniej rakiety na wyrzutni... A potem... Nieważne, co potem. Na jawie i tak nie ma już wrogów, a gdyby nawet... to i tak chłopcy — tacy jak on — nigdy nie będą zmuszeni ginąć w nierównej, beznadziejnej walce.

Spojrzął w okno. Na tle jaśniejącego porannego nieba, ponad dachami domów, widać było smukły, zwężający się nieco ku górze zarys wysokiej budowli. U jej szczytu płonęła kula pomarańczowego światła. Tim wiedział, że nie zdarzy się nic złego, dopóki plonie ten świetlny, sygnał nad miastem, ten znak bezpieczeństwa, znany mu od dziecka. Naciągnął kołdrę z powrotem na tapczan, położył głowę na poduszce i sprawdził czas. Budzik wskazywał wpół do czwartej, mógł więc spać jeszcze dobre trzy godziny.

Teraz, leżąc, widział w oknie tylko niebo. Błyszczała na nim jeszcze jedna gwiazda — a może planeta — której blasku nie zdołał stłumić nastający świt. Tim zamknął oczy.

We wtorki dwie pierwsze lekcje odbywały się w pracowni biologicznej. Tim przyjechał do szkoły nieco wcześniej niż zwykle. Autobus tym razem nie spóźnił się, nic go nie zatrzymało w drodze i gdy Tim wszedł do pracowni, było w niej dopiero dwóch uczniów. Pod nieobecność nauczyciela myszkowali po kątach, wywlekając z zakamarków starych szaf jakieś dziwaczne eksponaty: rozsypujące się

szkielety drobnych ssaków, słoje z żabami w spirytusie, wypchane zwierzęta, jakieś zakonserwowane glisty, tasiemce i inne paskudztwa.

Tim nie lubił brać udziału w takich hecach. Nie było sensu narażać się biologowi. Wystarczyło, że historyk miał już na niego oko. Tim czuł, że lada dzień będzie musiał odpowiadać z historii, i świadomość ta przyprawiała go o lekki rozstrój nerwowy. Ot, choćby te senne koszmary... Przecież to skutek przeuczenia! Tak to sobie w każdym razie tłumaczył, ale kuł dalej, bo sytuacja była fatalna...

Teraz też, korzystając z paru minut, jakie zostały do dzwonka, wydobyl podręcznik i zaczął powtarzać ostatnia lekcję.

Tymczasem Alf i Marek dobrali się do pliku zakurzonych plansz poglądowych, wsuniętych głęboko za szafę. Wywlekli je stamtąd i przeglądali po kolei, szukając zapewne jakichś pikantniejszych przekrojów anatomicznych. Coś tam znaleźli, bo prychnęli i chichotali, odczytując półgłosem napisy.

— O, zobacz! Rozmnażanie się ryb... Ee, to nieciekawe..., A tutaj... Narządy płciowe skorupiaka...

— Ty, Alf! — powiedział nagle Marek. — Zobacz, co to? Widziałeś coś takiego? Co to za potwór?

Tim uniósł głowę znad książki. Chłopcy przyglądali się wizerunkowi dziwnego stworza o sześciu nogach, z okrągłą główką zaopatrzoną w potężne szczypce i dwie długie witki czułków.

— *Formica rubra*. Mrówka czerwona — odczytał Alf. — To jakiś owad... Przecież to jest skala pięćdziesiąt do jednego. W rzeczywistości ma kilka milimetrów.

— Nigdy nie widziałem... A tutaj jest napisane, że „... liczne odmiany, pospolite na wszystkich kontynentach...” — powiedział Marek. — Zaraz, zaraz... Coś słyszałem... Chyba to były jakieś szkodniki czy coś takiego. Wydaje mi się, że je wytępiiono...

Próbowali wsunąć planszę z powrotem, lecz oparła się o coś i ani rusz nie chciała się schować. Łeb owada z nastroszonymi czułkami wystawał uparcie zza szafy, demaskując poczynania ciekawskich uczniów. Właśnie w tym momencie do pracowni wszedł profesor Unger i oczywiście zaraz zobaczył tę nieszczęsną mrówkę. Tego, co działo się potem, chłopcy nie potrafili sobie w żaden sposób wytłumaczyć.

Profesor stanął nagle na środku sali, jakby owa mrówka była bazyliiskiem, porażającym tego, na kogo patrzy. Stał tak przez kilkanaście sekund, z oczami wytrzeszczonymi, z ręką zawisłą w pół ruchu; następnie skoczył nagle w stronę planszy, wyszarpnął ją zza szafy, a potem, jeszcze szybciej, wsunął z powrotem, i tym razem nie chciała się schować, więc odwrócił ją obrazkiem do ściany.

Teraz dopiero odprężył się nieco, zwrócił się do uczniów i patrzył na nich, jakby nie wiedział, co ma powiedzieć.

— To... jakieś nieporozumienie... — bąknął wreszcie. — Pojęcia nie mam, skąd się to tutaj wzięło... Uczę tu dopiero od półroczka, nie wiedziałem...

Wyglądało na to, że się usprawiedliwia! Chłopcy stali z opuszczonymi głowami, gotowi przyjąć naganę za buszowanie po pracowni — a on po prostu... usprawiedliwia się! Dlaczego?

— My... chcieliśmy zrobić trochę porządku — powiedział Marek, jak zwykle pierwszy odzyskując kontenans. — Tyle tu kurzu...

— Bardzo was proszę, nigdy mi tu nie róbcie porządków! — Profesor powie-

dział to niepewnym, drżącym głosem. — Sam tu uprzątnę, wyrzucę, co niepotrzebne.

— Ale... — ośmielił się Alf. — Co to było, ta formica... ?

— Nic, zupełnie nic... — odpowiedział profesor gwałtownie. — Proszę, zapomnijcie o tym, nikomu ani słowa... To... nie istniejący gatunek, nie ma takich owadów, w ogóle nie ma... To... pomyłka. Nie ma tego w programie nauczania i w ogóle... Wiecie, jak to bywa... Kiedyś wierzono w węża morskiego i inne bzdury... Po prostu pomyłka uczonych... Więc umówmy się, nie widzieliście tej planszy, dobrze?

Wszyscy trzej skinęli głowami, profesor uśmiechnął się i jakby uspokoił. Do pracowni wchodzili już następni uczniowie, po chwili zadźwięczał dzwonek.

Unger wywołał do odpowiedzi wszystkich trzech. Zadał im śmiesznie łatwe pytania i postawił oceny bardzo dobre. Na przerwie Tim podszedł do Marka.

— Co mu się stało? — spytał. — Jak myślisz?

— Nie wiem, ale chyba się czegoś śmiertelnie przestraszył. Przekupił nas zupełnie wyraźnie. To odpytywanie było szyte grubą nicią... .

— Trzeba to zbadać, zapytać kogoś o te... .

— Ty, uważaj! Niech się tylko dowie, to nas urządzi na sam koniec roku! Lepiej siedźmy cicho, dopóki nie wystawi ocen na świadectwo.

— Masz rację. Zagadnę ostrożnie kogoś zaufanego.

— Dobra. Ja też... . Do licha, ale się zapowietrzył, jak zobaczył ten obrazek! Nigdy go nie widziałem z taką głupią miną... .

Tim wracał ze szkoły pieszo. Mama poleciła mu kupić parę rzeczy, więc wystąpił się w kilku kolejkach, bo akurat były to godziny szczytowego ruchu w sklepach. Był już i tak spóźniony na obiad, a na domiar złego na ulicy stał imponujący korek: trzy rzędy samochodów, autobusy uwięzione w zatokach przystanków, potok pieszych na chodnikach. Korek ciągnął się przez kilka kolejnych skrzyżowań, blokując ruch w przecznicach. Tutaj, w starej dzielnicy miasta, gdzie mieszkał Tim, każde zakłócenie w komunikacji było klęską, szczególnie w godzinach nasilonego ruchu.

Kierowcy przywykli do takich sytuacji, czekali dość spokojnie, z rezygnacją, aż strumień pojazdów znowu ruszy. Niektórzy wysiadali i wsparci o maski swych wozów, wspinając się na palce próbowali zobaczyć, co dzieje się z przodu. Tim posuwał się skrajem chodnika, lawirując zręcznie pomiędzy przechodniami. Już z daleka spostrzegł, co się dzieje. Na środku skrzyżowania Alei Północnej z ulicą Kwiatową błyskało niebieskie światło wozu policyjnego.

Ruch był zatrzymany dla obu przecinających się kierunków. Na skraju chodników stali przechodnie, oczekując na możliwość przejścia na drugą stronę. Tim wcisnął się w szpaler ludzi na krawężniku i spojrzał w lewo, wzdłuż Kwiatowej.

Do skrzyżowania zbliżał się ogromny toran, poprzedzany przez dwie pulwy. Masywna bryła toranu płynęła bezgłośnie i powoli ponad dachami stojących samochodów, nad samym środkiem ulicy. Obie pulwy sunęły po bokach, nieco niżej i blisko krawężników. Zbliżały się właśnie do skrzyżowania. Stojący na chodnikach ludzie patrzyli w milczeniu, jak wydłużony korpus toranu przepływa majestatycznie w ślad za obłymi cielskami pulw. Kilka rąk podniosło się w geście pozdrowienia, ktoś wznosił okrzyk, tłum stojących wzdłuż ulicy zawtórował, zamachał dłońmi. Tim także podniósł rękę i pokiwał w kierunku toranu.

Wszyscy cierpliwie czekali, aż kawalkada minie skrzyżowanie, a potem po-

spieszyli, każdy w swoją stronę. Sznur samochodów ruszył, najpierw Aleją Północną, a potem, gdy toran zniknął za zakrętem Kwiatowej, kierując się w stronę amby, wóz policyjny podążył jego śladem, a za nim pozostałe samochody, posłuszne gestom policjantów regulujących ruch na skrzyżowaniu.

Tim patrzył przez chwilę na oddalający się toran. Gdyby miał więcej czasu, chętnie poszedłby za nim, by zobaczyć, jak będzie dokował. Spieszył się jednak, a zresztą — toran jak toran, rzecz normalna. Widział to już nieraz. Przerzucił torbę przez ramię i ruszył w kierunku domu, znów przeciskając się pomiędzy spieszącymi w różne strony przechodniami.

— Pałętają się, cholera, akurat w godzinach szczytu! — usłyszał nagle za sobą. — Jakby nie mogli zaczekać... Tylko zamieszanie robią tymi swoimi defiladami...

Tim obejrzał się. Szło za nim dwóch mężczyzn. Obaj wyglądali na lekko podchmielonych.

— A kto im zabroni? — powiedział drugi. — Widocznie muszą...

— Tak, muszą... A my musimy się cieszyć, że...

— Zamknij się — syknął ten drugi, — Źle ci tutaj?

Tim przyspieszył kroku. Domyślił się, o czym mówili dwaj mężczyźni, lecz nie rozumiał, co tak denerwowało jednego z nich. Przecież to zupełnie normalna sprawa, nad ulicą przechodzi toran. Trzeba zaczekać, przejdzie i pójdzie sobie dalej. Po co się niecierpliwić. To tak, jakby ktoś się złościł, że wiatr wieje albo — że pada deszcz. Niby można, ale... po co?

Gabinet prezentował się okazale: piękne, stare meble, fotele pokryte puszystym futrem, obrazy w złożonych ramach... Sam kwadratowy — drobny, niewysoki mężczyzna, może pięćdziesięcioletni, niknął po prostu na tle tego dostojnego otoczenia. Wyglądał na zagubionego także wśród problemów, które spadały na jego barki. Warnelowi było trochę głupio na myśl, że zajmuje swoimi prywatnymi sprawami cenny czas i uwagę tak zapracowanego człowieka.

Kwadratowy jednakże sam rozgadywał się, rozluźnił — czy to dlatego, że czuł potrzebę od czasu do czasu otworzyć przed kimkolwiek swoje wnętrze, czy wręcz uznał Warnela za osobę na odpowiednim poziomie, zdolną zrozumieć jego trudności.

— Bardzo miło, docencie, że przyszedł pan do mnie osobiście — mówił wylewnie, częstując Warnela kawą. — Załatwimy, rzecz jasna, pańską sprawę. To po prostu niedopatrzenie Wydziału Zagranicznego, dawno powinien był pan otrzymać te żetony. Wysoko cenimy wasz instytut. Jesteście placówką naukową bardzo potrzebną na naszym terenie, znają was też za granicą. Należą się wam pewne przywileje. Nie mamy przecież z wami żadnych kłopotów... Wy, naukowcy, jesteście ludźmi odpowiedzialnymi, rozumiecie świat lepiej niż ktokolwiek inny. Gdyby wszyscy tak jak wy...

Kwadratowy tęsknie westchnął i zapadł się w miękki fotel po drugiej stronie niskiego stolika, na wprost Warnela.

— Ludzie są tacy nieodpowiedzialni — podjął po chwili. — Jakby nie pojmowali pewnych podstawowych prawd. Jestem w stanie zrozumieć naiwnych prostaczków, ludzi bez wykształcenia, którym może coś się wydawać, mogą ulegać nieodpowiedzialnym podszeptom. Ale ostatnio na przykład mam kłopoty ze

szkolnictwem. Musiałem odwołać kilku nauczycieli za karygodne zaniedbania na polu edukacji młodzieży... W jednej ze szkół, niech pan sobie wyobrazi, uczy się młodzież o... mrówkach! Pan rozumie, co to znaczy?! Ktoś rozpowszechnia niedopuszczalne informacje, a ja ponoszę konsekwencje. Może się wydawać, że mam tu miłą, spokojną pracę, ale to pozory... W każdej chwili, pojmuje pan, w każdej chwili muszę trzymać rękę na pulsie...

Zadzwoił jeden z telefonów na biurku. Kwadratowy poderwał się z fotela, podbiegł i uniósł słuchawkę. Notował coś pilnie, zgięty nad biurkiem. Warnel dostrzegł lekkie drżenie dłoni trzymającej pióro. Wysoki urzędnik wyglądał na zaniepokojonego.

— No proszę!... — rzekł wracając na fotel. — Znów jakieś incydenty. Pojęcia nie mam, skąd się to bierze! Młodzież jest w dzisiejszych czasach wyjątkowo źle wychowana.

— Stało się coś?

— Na szczęście nic groźnego. Ale oni o wszystkim wiedzą i zaraz interweniuja. Kiedyż nareszcie społeczeństwo dorośnie do naszej cywilizacji? Jak można przez osiemdziesiąt lat nie zrozumieć i nie docenić roli naszych kosmicznych braci... Dobrze, że większość społeczeństwa przejawia zdrowy rozsądek... Oni tyle dla nas zrobili, że po prostu czarną niewdzięcznością jest wszelkie powątpiewanie w słuszność i celowość ich wytycznych... Czy kiedykolwiek w historii Ziemi mieliśmy tak długi okres spokoju, tak równomierny podział dóbr, tak ustabilizowaną gospodarkę... Zna pan sytuację z końca ubiegłego wieku: przeludnienie, głód, niedobory energii, dewastacja środowiska... A równocześnie — ogromne obszary nie wykorzystanych terenów, astronomiczne sumy przeznaczone na wydatki zbrojeniowe, na badania kosmiczne, na setki celów nie mających nic wspólnego z polepszeniem bytu człowieka na tej planecie. Nie było perspektyw wyjścia z impasu, nikt nie potrafił dać realistycznej recepty na naprawę sytuacji, na zawrót naszej cywilizacji z tej drogi do samozagłady... Pomijam już kwestię inwazji, bo to czynnik obiektywny, losowy przypadek... Ale trzeba było dopiero kogoś, kto chłodnym, acz przychylnym okiem spojrzełby z zewnątrz na nasz świat, uporządkował, nadał mu właściwy kierunek... Ktoś stokroć od nas mądrzejszy, bardziej doświadczony, a równocześnie — nie wykorzystujący swej przewagi na naszą szkodę... Pamięta pan, docencie, jakie mieliśmy trudności z obsługą w urzędach pocztowych? To tylko maleńki, wycinkowy przykład, świadczący o tym, że jesteśmy czasem ślepi na najprostsze rozwiązania, uwikłani w irracjonalne, tradycjonalistyczne uprzedzenia! Od chwili gdy wprowadzono obowiązkową, drobną opłatę od każdego interesanta — ten przysłowiowy grosik do puszki, dla urzędnika w okienku — sytuacja odmieniła się diametralnie! Teraz nikt nie zawraca głowy kupnem jednego znaczka pocztowego, bo musi przy tym wnosić dodatkową opłatę w tej samej wysokości, co przy kupnie dziesięciu... A urzędnicy dwoją się i troją, by szybko obsługiwać, by mieć jak najkrótszą kolejkę przy okienku... Wprost biją się o klientów, wywieszają tabliczki: „U mnie najszybciej”, nie robią łaski, są grzeczni, żeby ściągnąć do siebie interesanta, prześcigają się w uprzejmości! Im szybciej pracują, tym większą otrzymują premię od klientów, i to bez żadnej progresji podatkowej! Czy pan sobie wyobraża, co by było, gdyby to wymyślił ktoś z zarządu poczty? Podniósłby się krzyk — że legalne łapówki, napiwki... A to tylko puste słowa! Liczy się efekt: uzdrowienie sytuacji w urzędach!

Albo sprawa kar za zakłócanie porządku publicznego... Dawniej były różne sposoby karania, i wszystkie mało skuteczne, Teraz, odkąd wprowadzono karę publicznej chłosty, chuliganów po prostu nie ma Chuligan też ma swój honor, to jego najczulsze miejsce... Ale my, w naszym zapleśniałym humanitaryzmie, nigdy byśmy nie wpadli na to proste rozwiązanie! Mówiłoby się: nawrót do średniowiecza, poniżenie ludzkiej godności... A ludzka godność tych, co dostają po łbie od łobuza w ciemnej ulicy? Naprawdę, docencie, potrzeba było obiektywnego spojrzenia na nasz świat, skutecznych rad i mądrych zarządzeń... Zresztą nauczyliśmy się już rządzić sami... Oni właściwie nie ingerują w nasze sprawy. Pomogli nam zorganizować świat wedle ich recepty, a teraz tylko dyskretnie czuwają, gotowi pomóc w razie trudności...

Kwadratowy otarł pot z czoła i przymknął oczy, zmęczony widać tym monologiem.

— Tak, tak, docencie... Winniśmy im wdzięczność. Musimy trzymać w garści to wszystko, co pomogli nam tak sprawnie zorganizować. A tych, którzy będą nam przeszkadzali, przywołamy do porządku. Muszą przyjąć to, co jedynie słuszne i racjonalne. Nie ma alternatywy dla naszej cywilizacji. Wszystko inne wypróbowali bez powodzenia nasi przodkowie... Dostanie pan swoje żetony. Proszę wybaczyć, że czekał pan tak długo. Moi urzędnicy są ostrożni, teraz tyle różnych nieodpowiedzialnych osób chce wyjechać za granicę. Później są tylko kłopoty z przemysłem... Czego to ludzie nie przewożą...

Ale do was, naukowców, mamy zaufanie. Wy rozumiecie nasze racje i uwarunkowania. A tak na marginesie, docencie, dlaczego tak niewielu członków liczy w waszym instytucie Klub Kontaktów Kosmicznych? Wie pan przecież, jaką wagę przywiązujemy do zdecydowanego demonstrowania przyjaznych uczuć względem naszych kosmicznych opiekunów. Nikogo, oczywiście, nie zmuszamy, ale przynależność do Klubu poniekąd świadczy o szczerym zaangażowaniu we współtworzenie naszej nowej cywilizacji...

— Mamy tak poważne zadania... — bąknął Warnel, nieco zmieszany. Sam nie był członkiem KOKOSU. — Po prostu nie ma się kto tym zająć...

— Tak, rozumiem... — Kwadratowy uśmiechnął się przyjaźnie i wstał. — Wrócimy jeszcze do tej sprawy. Do widzenia, docencie. Życzę owocnej pracy dla dobra naszego Kwadratu.

Warnel wyszedł z gabinetu. W okienku na dole odebrał żetony i opuścił gmach Rady. Idąc w kierunku instytutu minął ambę, pod którą kręciło się parę kapsów.

„Trudno mu się dziwić — myślał o kwadratowym. — Jest między młotem a kowadłem... Jeśli nie utrzyma tego wszystkiego we względnym porządku, obojście dostanie za swoje... A jeśli narazi się wyborcom, to też źle... Taki sam człowiek jak każdy; tyle że musi wierzyć bardziej niż inni w słuszność spraw, którymi kieruje. Trudna rola. Ale w sumie sympatyczny facet, nie można powiedzieć...”

Warnel był zadowolony, że tak łatwo udało mu się uzyskać żetony. Trzeba było od razu iść i porozmawiać z samym kwadratowym. On jeden może coś zrobić na własną odpowiedzialność. Wszyscy inni mają swoich zwierzchników, którzy mają z kolei swoich... Błąd może kosztować wiele, nikt nie lubi brać odpowiedzialności na własną głowę. Licho wie, co potem może wyniknąć. Naukowcy wbrew pochlebnym oświadczeniom kwadratowego — nie cieszą się tak nieograniczonym zaufaniem. Przynajmniej nie wszyscy. Są na tyle inteligentni, że potrafią ukryć

swoje prawdziwe myśli pod płaszczykiem pozytywnych, lojalnych ogólników. Władze boją się, może nie tyle samych naukowców, co ich nie znanych myśli i poczynań. Nigdy nie wiadomo, który nagle wymyśli coś, czym utrudni i tak nie prostą sytuację. . .

Docent Beniamin Warnel zdawał sobie z tego sprawę i nie miał najmniejszych złudzeń w sprawie szczerości tej sympatii dla naukowców. Chodziło zapewne w głównej mierze o to, by zademonstrować dobrą wolę i przychylność. Ale w tym przypadku nie miały znaczenia motywy i pobudki; ważne były żetony, a te miał w kieszeni.

Wstąpił do sklepu, by kupić bułki na drugie śniadanie, lecz wyszedł z pustymi rękami, bo pieczywo było czerstwe, a świeżego jeszcze nie dowieźli. Nie było też ani kawałka żółtego sera, który przywykł jadać w pracy, a no nic innego nie miał ochoty. Nie przejął się tym specjalnie, drobne trudności żywnościowe zdarzały się od czasu do czasu, był do tego przyzwyczajony od dzieciństwa. Równocześnie dobrze wiedział jeszcze ze szkolnych podręczników historii o tragicznych klęskach głodu nawiedzających niektóre rejony Ziemi w czasach przedinwazyjnych. Teraz przynajmniej nikt nie umierał z głodu, wszystko dzielono równomiernie i nie można było mieć do nikogo pretensji, że czasem czegoś brakuje, instytucje — takie jak ten, w którym pracował, robiły wszystko, by poprawić sytuację. Cała uwaga nauki skupiona była od lat na problemach rolnych i hodowlanych. Spełniono postulaty stawiane już dawno przez przeciwników nadmiernych wydatków na rozwój dziedzin nie związanych z konsumpcją. Tylko że w ten sposób produkty rolne i hodowlane stały się głównymi i jedynymi artykułami eksportu pozaplanarnego, którymi trzeba było pokrywać koszty istniejącego status quo. Ale to była cena wynikająca z obiektywnych uwarunkowań — jak dawniej haracz wydatków zbrojeniowych, obciążający budżety mocarstw przed inwazyjnego świata. . .

Nie wstępując już nigdzie po drodze, Warnel dotarł do instytutu. Dopiero w murach budynku, w swoim laboratorium, poczuł się pewniej, jakby osłonięty przed czymś śledzącym spojrzeniem. Zdawał sobie sprawę, że od chwili gdy otrzymał żetony, może, być poddany szczególnej „opiece”. Odruchowo starał się kontrolować nawet własne myśli, choć nie było to konieczne.

Gdy zamknęły się za nim drzwi pracowni, zdjął natychmiast z szyi tasiemkę z zawieszonym na niej identem i schował do lodówki. Ostrożność nie zawadzi. Ostatnio mówiło się, że niektóre identy są na podsłuchu, jeśli nie stale, to przynajmniej wyrywkowo. Nie wiadomo zresztą, czy to nie plotka, ale Identy były wykonywane według licencyjnej dokumentacji, dostarczonej przez Proksów, i nikt nie wiedział dobrze, do czego służą zawarte w nich mikroukłady. Jeśli ident odbierał, na przykład, sygnały, ostrzegawcze w miejscach, gdzie człowiekowi nie wolno przebywać — przy granicy czy w pobliżu amby — to równie dobrze mógł nadawać licho wie co i dokąd. . .

Warnel zatrzasnął lodówkę, przekręcił klucz w drzwiach, odsunął na bok zalegające biurko papiery i czasopisma fachowe i wyjął z szuflady kartonową teczkę, zatytułowaną „Zwalczanie pasożytów”. Otworzył ją i przerzucił kilka pierwszych stron rękopisu, traktującego o pasożytniczych szkodnikach roślin, odslaniając na

kolejnym arkuszu odręczny szkic jajowatego tworu, z naniesionymi drobnym pi- smem wymiarami i objaśnieniami jego zewnętrznej budowy.

Film był dość nudny. Marta też tak uważała. Rozmawiali o tym, wracając z kina przez jasno oświetlone ulice śródmieścia. Oboje ziewali potężnie, ogląda- jąc kolejną wersję przygód Dzielnego Kosmonauty walczącego z kosmicznymi potworami.

— Chyba wyrosliśmy już z tego — powiedziała Marta. — Kiedyś może to było fajne, ale teraz... Wolałabym obejrzeć coś poważniejszego. Mogłoby być nawet o zwykłych ludziach, o życiu w innych kwadratach...

— Chciałabyś podróżować?

— No pewnie! Choćby niedaleko, do sąsiadów zza granicy. Mam już dosyć wakacji u ciotki i tych podmiejskich wycieczek.

— Wiesz — powiedział Tim, starając się, by zabrzmiało to w miarę obojętnie — ojciec dostał żetony na wyjazd. Dla siebie i dla mnie...

— Bujasz! — Marta aż zatrzymała się z wrażenia. — Jak to załatwił? My też składaliśmy podanie, ale...

— Starał się od trzech lat i wreszcie mu dali. Wczoraj dowiedział się o tym.

Tim czuł, że dziewczyna zazdrości mu tej niezwyklej atrakcji. Każdy by za- zdrościł.

— Dokąd pojedziecie?

— Niedaleko. Do 52-14, tam mieszka brat ojca. Jest leśniczym... Pojedziemy na cały tydzień.

— Zobaczysz prawdziwy las! — wykrzyknęła jakby z wyrzutem. — Tak bym chciała być kiedyś w lesie...

Ścisnął ją za rękę. Patrzyła w płyty chodnika, ale Tim czuł, że dziewczyna wyobraża sobie zielony mech pod stopami.

— To musi być bardzo piękne: podróżować w różne strony... zobaczyć las, góry, jeziora, ocean... Co mi przywieziesz z lasu? — spytała nagle, spojrzawszy mu w oczy.

Zmieszał się. Nie pomyślał o tym wcześniej.

— No... nie wiem, co wolno przewozić... Ale... dowiem się i na pewno coś przywiozę... — Nie wyobrażał sobie nawet, co by to mogło być.

Las znał właściwie tylko z filmów i ze szkolnego podręcznika botaniki. Sam czuł się trochę niepewnie, gdy sobie przedstawił tłum drzew i krzewów, ciasno stłoczonych wokół niego.

— Dlaczego tak trudno jest dostać żeton na podróż zagraniczną? — spytała nagle Marta, gdy zatrzymali się pod jej domem.

— Wiesz przecież... — powiedział. — Musi być porządek, racjonalna gospo- darka i polityka ludnościowa... Poza tym chodzi o zachowanie równowagi...

— Wiem, wiem... Tylko... czasem się zastanawiam, czy koniecznie tak musi być...

Popatrzył na nią zdziwiony. Nad czym tu się zastanawiać? Pociągnął ją lekko pod ścianę domu, by znaleźli się poza kręgiem światła najbliższej latarni. Pocałował ją, a potem potargał jej krótko ostrzyżone włosy. Trzepnęła go za to po dłoni, powiedziała „cześć” i zniknęła w drzwiach.

Tim wracał do domu nie śpiesząc się zbyttnio. Lubił być na ulicy wieczorem

wśród przechadzających się ludzi. Obserwował ich, próbował odgadnąć, co myślą, kim są. . . Czuł się dobrze i bezpiecznie w tym mieście, które będąc dzieckiem znał tylko za dnia. Teraz poznawał je o zmroku i późnym wieczorem. Było inne w świetle latarni, z leniwym ruchem pojazdów i przechodniów. Pomarańczowe światło u szczytu amby lśniło jaskrawiej niż za dnia, ale o tym wiedział już dawno. Widział je co wieczór z okna swojego pokoju. Od najmłodszych lat skojarzył je sobie z pojęciami bezpieczeństwa, czuwania, opieki. . .

Było jednak coś szczególnego, odmiennego w nocnym widoku miasta. Odkrył to już dość dawno, a teraz tylko szukał potwierdzenia tej prawidłowości: nocą na ulicach prawie nie widywało się kapsów! W dzień spotykało się zawsze kilka, stały w różnych miejscach, przeważnie na skwerach, trawnikach, czasem na brzegu chodnika, lekko się kołysząc, pojedynczo, a jeszcze częściej — po dwa, obok siebie. W pobliżu zwykle stała gdzieś niewielka pulwa, niekiedy nad ulicą wisiał bez ruchu ogromny cygarowaty kształt toranu.

Teraz, wracając do domu, Tim też nie spotkał kapsów, choć przeszedł pieszo pół miasta, od Centrum Handlowego do Starej Dzielnicy. Dopiero tuż przy domu, na pasie trawnika rozdzielającym dwie jezdnie Alei Północnej, dostrzegł pulwę. Spoczywała na trawie, jak wielki żółw, nie oświetlona, z otwartym kolistym włazem. Tuż obok niej chwiały się pojedynczy kapsy.

Tim zatrzymał się na chodniku. Od kapsu dzieliła go tylko szerokość jezdni, mógł więc dokładnie widzieć jego szarą powierzchnię, matowo połyskującą od strony oświetlającej go latarni. Kapsy chwiały się dość wyraźnie.

Tim wiedział, że nie należy zbliżać się i gapić na kapsy. Niczym to oczywiście nie groziło, lecz byłoby po prostu niegrzecznie podchodzić zbyt blisko. Już zamierzał iść dalej, gdy nagle spostrzegł, że z wnętrza pulwy, przez właz, zwiesza się dość cienki przewód czy też rurka, niknąca w trawie. Drugi koniec rurki wnikał w powierzchnię, kapsu, tuż nad ziemią. Tim nigdy przedtem nie zauważył u kapsów takiego dziwnego „ogona”. Te, które widywali w dzień, nie były z niczym połączone, niektóre oddalały się nawet znacznie od pulwy czy toranu, który opuściły.

Stał jeszcze przez chwilę obserwując kaps, który zaczął powoli zbliżać się do otworu w pulwie. Sunąc po trawie, rozkołysał się jeszcze bardziej, a kabel ciągnął się za nim,

— No, i co się kiwasz? — usłyszał nagle Tim czyjś głos nad swoim uchem.

Obejrzał się gwałtownie. Z tyłu stał chłopak, może o dwa lata starszy od Tima. Znal go z widzenia i wiedział, że nazywano go Patykiem. Było to przezwisko w pełni uzasadnione. Chłopak szczyrzył nierówne zęby i patrzył spod oka na Tima, który poczuł się niepewnie. Patyk miał opinię zadziory. Był o głowę wyższy od Tima i pomimo jego mizernego wyglądu lepiej było nie wchodzić mu w drogę.

— No, przecież nie do ciebie mówię, tylko do tego, tam! — wyjaśnił ironicznie Patyk, machnąwszy niedbale ręką w stronę kapsu.

Tim zauważył z przerażeniem, że chłopak trzyma w dłoni otwarty scyzoryk. Cofnął się o krok. Patyk zachichotał.

— Nie bój się, to nie na ciebie — powiedział, bawiąc się nożem. — Zastanawiałem się tylko, co by się stało, gdybym mu tak. . . ten kabelek. . . Co? Jak myślisz? Przewróciłby się czy nie?

Tim aż zaniemówił. Patrzył ze zgroza na chudzielca, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Ty chcesz. . . tym nożem. . . ? — wykrztusił wreszcie. Patyk nie przestawał się uśmiechać.

— Zrobie to kiedyś wreszcie — powiedział, zamykając szczyryk.

— Ale. . . dlaczego? Przecież. . . Jak można? — jękał się Tim.

— Może nawet trzeba. . . — mruknął Patyk. — Ale nie martw się, zrobię to bez świadków.

Tim wzruszył ramionami i powoli usunął się Patykowi sprzed oczu. Z odległości kilkunastu kroków obejrzał się jeszcze. Patyk stał nadal na skraju chodnika i z rękami w kieszeniach przyglądał się kapsowi.

„On chyba zwariował” — pomyślał Tim przyspieszając kroku. Mijał właśnie narożny dom, do którego ściany przytwierdzona była biała skrzynka. — „Właściwie należałoby napisać wniosek, żeby zwrócili na niego uwagę — pomyślał, patrząc na skrzynkę. — Gotów naprawdę coś zrobić tym nożem”.

W domu zastał ojca przed telewizorem. Właśnie zaczynały się ostatnie wiadomości dziennika. Lektor czytał komunikaty o bieżących sprawach kwadratu, napomknął coś o pewnych drobnych trudnościach w dziedzinie transportu i zaopatrzenia handlu, potem długo rozwodził się nad osiągnięciami w produkcji tkanin wełnianych i pomyślnym rozwojem eksportu. Na koniec wyraził ubolewanie z powodu incydentu, który wydarzył się gdzieś w odległym kwadracie, na południu. Tim zaczął słuchać uważnie.

„Trzej młodociani wandalę dopuścili się tego haniebnego czynu na oczach licznych przechodniów, którzy zaskoczeni zuchwałością chuliganów pozwolili im zbiec z miejsca zajścia. Służba porządkowa jest na tropie wichrzycieli i mamy nadzieję, że przy pomocy społeczeństwa uda się ich schwytać i przykładowo ukarać. Apelujemy do wszystkich obywateli, by swą aktywną, nieprzejednaną postawą i rzetelną informacją wspomagali władzę samorządową naszego kwadratu w celu zapobiegania podobnym incydentom”.

— Słyszałeś? — zawołał ojciec w stronę kuchni, gdzie mama zmywała talerze.

— Nie. Woda szumi, nie słyszałam, a co takiego? — powiedziała mama, stając w drzwiach pokoju.

— Znowu jacyś smarkacze obrzucili kamieniami kaps.

— U nas?

— Nie, za granicą. Ale to już drugi przypadek w tym miesiącu.

— Do czego to dojdzie? — powiedziała mama z westchnieniem.

— Zobaczymy, zobaczymy. . . — mruknął ojciec, patrząc w telewizor.

Tim przypomniał sobie natychmiast o spotkaniu z Patykiem. Pomyślał, że trzeba by jednak napisać parę słów w tej sprawie i wrzucić do białej skrzynki na rogu.

— Co zrobią, jeśli ich złapią, tato? — spytał.

— Bo ja wiem? — zastanowił się ojciec. — Pewnie ich przesiedlą. . .

— Tylko tyle?

Ojciec nic nie odpowiedział, jakby nie dosłyszał pytania. Patrzył wciąż w ekran. Tim zauważył, że uśmiecha się jakoś dziwnie.

— Tato, a co powinno się robić, jeśli. . . coś się wie o takich, no. . . jak tamci?

— Jacy „tamci”? — ojciec odwrócił się gwałtownie w stronę Tima.

— No, tacy, co. . . na przykład, rzucają kamieniami w kaps? Albo chcą zrobić coś. . . coś podobnego? Bo w szkole mówiono nam, że trzeba złożyć meldunek. . .

— Nie wtrącaj się do tego! — powiedział ojciec ostro. — Za młody jesteś. To są sprawy dorosłych obywateli. . .

— Ale. . . nam mówili, że to obowiązek każdego. . . i że za pomoc władzom dostaje się punkty. Później, kiedy się o coś prosi, oni liczą te punkty i. . .

— Ani mi się waży pisać czegokolwiek bez porozumienia ze mną! — przerwał ojciec. — A o punkty to ja się będę starał. Nie twoje zmartwienie. Lekcje odrobiłeś?

— Uhm! — mruknął Tim potulnie. — Tato, kiedy pojedziemy?

— Jak się tylko zaczną wakacje.

— Nie mogę się doczekać! Chciałbym już tam być. . . Tato, czy w lesie są. . . mrówki?

— Co? — ojciec aż podskoczył na krześle, ale od razu się opanował. — Co takiego? Jak powiedziałeś? Fruwki? Nie słyszałem. . . A co to takiego?

— A. . . sam nie wiem. . . ktoś coś wspomniał. . . — wycofał się Tim.

Zasypiając tego wieczora uświadomił sobie nagle, że świat, który znał dotąd — jak mu się zdawało, zupełnie niezłe — zaczyna przejawiać jakieś nowe, dziwne i nieznane właściwości. . .

Dzień rozpoczął się niemiło. Jeszcze przed pierwszą lekcją Marek odwołał na bok Tima i Alfa.

— Nieprzyjemna sprawa — powiedział. — Zniknął profesor Unger.

— Przenieśli go? — spytał Alf. — Skąd wiesz?

— Słyszałem, jak dyrektor rozmawiał z Cosinusem.

Milczeli przez chwilę, patrząc w podłogę. To, że ktoś czasem znika, jest sprawą normalną. Faktów takich nie komentuje się zazwyczaj, bo to niczego nie zmienia. Każdy może kiedyś zniknąć i na ogół nie wiadomo, czy to dobrze, czy źle, gdy ktoś znika. Oznacza to zwykle przeniesienie do innego kwadratu.

W tym jednak przypadku Tim czuł (i pozostali dwaj chłopcy zapewne też), że zniknięcie profesora musiało mieć związek z wydarzeniami sprzed dwóch dni.

— Jeden z nas nie trzymał jęzora za zębami — powiedział Marek, patrząc w podłogę. — Przypomnijcie sobie dobrze, co który gadał o tej sprawie i — co najważniejsze — komu?

Bezwiednie ruszyli razem w kierunku drzwi pracowni biologicznej. Były zamknięte i zalepione paskami papieru z urzędową pieczęcią. . . Tak, teraz nie było wątpliwości: zniknięcie profesora musiało mieć ścisły związek z fatalną planszą.

— Pytałem ojca o tę mrówkę, ale ani słowa więcej. . . — przyznał się Tim. — Nie wiedział, co to jest.

— Ja z nikim nie rozmawiałem — stwierdził Alf skwapliwie.

— Ja pytałem brata. Sam nie wiedział chyba zbyt wiele, ale radził nie rozmawiać o tym, bo to drażliwy temat — powiedział Marek, oglądając pieczęć na drzwiach. — No tak. . . Departament Wychowania! To musi być coś poważnego.

Nie mówili o tym więcej, bo rozległ się dzwonek. Pierwsza była geografia. Profesor rozwinął wielką mapę i przez całą lekcję drobiazgowo objaśniał zasady podziału administracyjnego. Tim słuchał niezbyt uważnie, bo po geografii miała nastąpić historia. Trzymając na kolanach podręcznik tego przedmiotu Tim utrzymywał w pamięci daty i najważniejsze wydarzenia z ostatnio omawianego okresu.

— Jeszcze niespełna osiemdziesiąt lat temu mapa ta wyglądałaby zupełnie

inaczej — mówił geograf. — Zamiast prostej, przejrzystej sieci granic, biegnących wzdłuż równoleżników i południków, widzielibyśmy na niej zawile, kręte linie graniczne, rozdzielające od siebie obszary o bardzo zróżnicowanych powierzchniach, zwane wówczas „państwami”. Poszczególne „państwa” zamieszkiwali ludzie mówiący zazwyczaj jednym językiem, lecz nie było to regułą. Istniały także „państwa” wielojęzyczne. Ludzie mówiący różnymi językami stanowili różne „narodowości”. Bardzo często wybuchały nieporozumienia pomiędzy sąsiednimi państwami. Ich przyczyną były spory graniczne, chęć zawładnięcia terytorium sąsiada, a czasem — zadawnione waśnie między narodowościami na tle obyczajów, przekonań, wierzeń i tak dalej. W związku z tymi konfliktami każde z państw przeznaczało pokaźną część dóbr materialnych na utrzymanie i wyposażenie armii dla obrony swego terytorium lub dla wywarcia nacisków na inne państwa. Powstawały coraz to nowe rodzaje broni — coraz groźniejsze w skutkach środki zniszczenia. Już w drugiej połowie dwudziestego wieku łączna moc istniejących środków bojowych wystarczyłaby do wielokrotnego zniszczenia całego globu. . . Obecny przebieg granic, oparty na zasadzie podziału na kwadraty. . .

— Ale to nie są przecież kwadraty! — wyrwał się ktoś z końca sali.

— Słusznie! — uśmiechnął się profesor. — Kwadratami nazywamy je umownie dla wygody. W rzeczywistości są to części powierzchni kulistej, zbliżone kształtem do trapezu, tym bardziej odbiegające od kwadratu, im dalej znajdują się od równika. Dawny podział na „państwa” zniesiony został dopiero po Wielkiej Wojnie. W obliczu zagrożenia całego globu osłabły różnice dzielące poszczególne narody, a cały potencjał obronny skierowano — pod wspólnym dowództwem — do walki z agresorem.

W sytuacji paniki i chaosu, jaki zapanował podczas trwania walk — choć nie rozgrywały się one na powierzchni globu — nastąpiła integracja ludzkości, zatryumfowało poczucie jedności ludzkiego gatunku. Po wojnie nie powrócono już do dawnego podziału terytorialnego i przyjęto nowy, likwidujący radykalnie dawne problemy. Nie ma teraz sporów granicznych, bo granice przebiegają w sposób bezsporny; nie ma waśni narodowych, bo w obszarze niektórych kwadratów znaleźli się ludzie, należący dawniej do dwóch lub kilku nawet, sąsiadujących narodów. Powstał jeden powszechny język światowy — bo taka konieczność wyniknęła z przyjętej zasady podziału. Oto tylko niektóre z zalet tego optymalnego podziału geograficznego. . .

Marek podniósł rękę do góry.

— Panie profesorze! — powiedział. — Nie rozumiem, dlaczego po zniknięciu dawnych granic zastąpiono je nowymi?

— To etap przejściowy — uśmiechnął się profesor. — Nie można zmieniać wszystkiego naraz. Czy wyobrażasz sobie, jak trudno byłoby zarządzać, prowadzić racjonalną gospodarkę, zapewnić bezpieczeństwo obywatelom na tak ogromnym obszarze nie podzielonego świata? Nie potrafimy jeszcze kierować tak potężnym organizmem społecznym.

— A dlaczego nie wolno swobodnie poruszać się po całym obszarze? Dlaczego granice są strzeżone przez automatyczne wieże strażnicze? — spytał Tim.

— Jedno pociąga za sobą drugie — wyjaśniał cierpliwie geograf. — Jeśli jest granica, to musi być ona kontrolowana i chroniona. Dawniej też tak było! Żołnierze straży granicznej patrolowali granicę z bronią w ręku. A jeśli chodzi o podróże, to dawniej także obowiązywały tak zwane „paszporty”, coś w rodzaju

dzisiejszych identów, oraz „wizy” — jak dzisiejsze żetony podróźnicze. Wszystko to ma na celu utrzymanie porządku i zapewnienie bezpieczeństwa i jest w obecnej sytuacji niezbędne. Ale znaczenie tych poczynań jest dziś zupełnie inne niż dawniej i czemu innemu służy. Ale... odciągnęliście mnie od tematu lekcji...

A więc, na obszarach bliskich równika...

Tim przestał słuchać monotonnego głosu wykładowcy i zagłębił się w podręczniku historii. Wszystko mąciło mu się w głowie, próbował jeszcze porządkować fakty, zestawiać daty, lecz dzwonek na przerwę zastał go z poczuciem całkowitej pustki w głowie, na której tle natrętnie przebijało jedno zdanie: „Zaraz mnie wyrwie, a ja nic nie pamiętam”.

No, i stało się to najgorsze. Profesor Bruss kazał Timowi omówić temat na pozór prosty i któż by się spodziewał takiego obrotu sprawy. „Omówić sytuację bezpośrednio poprzedzającą wybuch Wielkiej Wojny”. Zdawałoby się, że nic, tylko mówić, mówić... Tak też pomyślał sobie Tim i to go zgubiło. Gdyby oparł się na suchych faktach, które lepiej lub gorzej pamiętał, potrafił umiejscowić w czasie i zestawić w sieć wzajemnych zależności — wyszedłby z tego cało. A on chciał swą odpowiedź ubarwić nieco, wzbogacić własnym komentarzem — i przedobrzył. Zaczął nawet niezłe, choć może zbyt trąciło to patetyczną literaturą pamiętnikarską zasłużonych weteranów Wielkiej Wojny.

— W podzielony na obozy, nie ustabilizowany politycznie świat, balansujący na krawędzi termonuklearnego konfliktu, jak grom z jasnego nieba uderzyła wieść...

— Konkretnie, konkretnie! — przywołał go do porządku profesor.

— No, więc, kiedy obserwatoria radioastronomiczne ogłosiły komunikat o wykryciu obiektu kosmicznego, zdążającego z dużą prędkością...

— Z jaką?

— ... z prędkością 0,5c, z kierunku gwiazdozbioru Małego Psa wprost ku Układowi Słonecznemu, przywódcy ówczesnego...

— Nieodpowiedzialni i krótkowzroczni przywódcy — uzupełnił profesor.

— ... krótkowzroczni przywódcy ówczesnego świata nie docenili wagi tego faktu. Dopiero gdy obiekt ów stał się widoczny na ekranach w postaci roju oddzielnych obiektów składowych, odległych już tylko o pół roku świetlnego od Ziemi, sztaby wojskowe poszczególnych mocarstw wszczęły pierwsze tajne narady. Nastąpiły próby...

— Nieudolne i opieszale próby — podpowiedział profesor.

— ... nieudolne i opieszale próby zorganizowania obrony na wypadek inwazji z Kosmosu. Cały jednakże potencjał militarny, posiadany przez wszystkie liczące się mocarstwa, nastawiony był wyłącznie na prowadzenie działań na powierzchni Ziemi. Nikt dotychczas nie brał poważnie pod uwagę ewentualności ataku spoza Ziemi. Pośpiesznie przygotowywano...

— Pośpiesznie? — zachnął się profesor. — Raczej: nieudolnie starano się przygotować...

— ... przygotować pierścień obrony, złożony z satelitów — platform dla wyrzutni rakiet strategicznych z głowicami termojądrowymi. Wykorzystano w tym celu wszelkie istniejące środki przenoszenia: rakiety kosmiczne, wahadłowce — wszystko, czym dysponowała ówczesna ludzkość. Wobec prawdopodobieństwa zagrożenia globalnego zawieszono wszelkie konflikty i spory wewnętrzne i przystąpiono do zgodnego...

— No, nie! Raczej: najeżonego trudnościami. . .

— . . . współdziałania obronnego. Obawy okazały się uzasadnione: zbliżające się obiekty były niezliczonymi formacjami pocisków raketowych, najwyraźniej zdążającymi w kierunku Ziemi. Przygotowana naprędce obrona, po bezskutecznych ostrzeżeniach i wezwaniach do zmiany kursu, przyjęła napastników ogniem rakiet, powstrzymując pierwsze uderzenie, niszcząc wiele pocisków wroga i nie ponosząc praktycznie żadnych strat, bohaterscy obrońcy na platformach satelitar-nych. . .

Gdyby Tim spojrział w tej chwili na twarz profesora, krzywiącego się coraz wyraźniej, może powstrzymałby się nieco i wybrnął jakoś. Lecz on zagalopował się już tak dalece, że bez zastanowienia pędził w kierunku swojej kłębki.

— . . . z podziwu godnym poświęceniem i heroizmem trwał na swych posterunkach. Następna fala wrogich pocisków runęła na nich z otchłani próżni — i znów większość z nich rozpadła się w termonuklearnym ogniu. . .

— Krócej! krócej! — przerwał profesor niecierpliwie. — Opowiadasz o tym dłużej, niż trwał ten żalony efekt nieudolności, ignorancji i lekkomyślności naszych przodków. No więc, koniec końców, gdyby nie. . .

— . . . gdyby na czas dostarczono na orbitę dostateczną ilość rakiet z głowicami jądrowymi, odpowiednią do liczebności napastników, zostaliby oni prawdopodobnie zniszczeni lub odparci. . .

— Co? — Profesor zbladł, a potem poczerwieniał nagle. — Co ty za bzdury wygadujesz? Gdyby nie błyskawiczna i niespodziewana odsiecz, z którą niemal w ostatniej chwili przed ostateczną klęską zdążyli nasi zbawcy, mieszkańcy Proximy Centaura, nasza planeta zostałaby opanowana przez Elgomajów, bestialskich mieszkańców układu Procyona! Bez pomocy Proksów zginęliby lub popadli w wieczną niewolę wszyscy mieszkańcy Ziemi. Tylko dzięki Proksom istnieje dziś nasza cywilizacja! To oni obronili nas rozbijając inwazyjną flotę Elgomajów, to oni przyjęli na siebie, wspaniałomyślnie i dobrowolnie, zobowiązanie do ciągłej obrony naszego układu przed dalszymi zakusami wroga, który tylko czeka na okazję ponownego ataku. Stała obecność Proksów na naszej planecie, ich statki obronne na okołoziemskich orbitach gwarantują nam po wiek wieków bezpieczeństwo i spokój. Nie wspomnę już o innych, pozamilitarnych korzyściach, jakie ludzkość czerpie ze współpracy i wymiany handlowej z Proximą. A trwały spokój wewnętrzny? A całkowita demilitaryzacja Ziemi? To także nieocenione korzyści!

Profesor zasapał się, zadyszał, pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Podeszedł do okna i uchyliwszy je, zaczerpnął kilka haustów świeżego powietrza. Tim stał z opuszczoną głową. Klasa milczała.

— Pamiętajcie! — profesor zwrócił się do uczniów, już spokojniejszym, cichym głosem. — Jeśli w ogóle istniejemy my, tu i teraz — to jedynie dzięki Proksom. Należy im się za to szacunek i wdzięczność. A taki. . . taki nieuk, jak Tim Warnel, śmie nas tutaj przekonywać, że z Elgomajami poradziłibyśmy sobie bez niczyjej pomocy! Tak, tak, Warnel! Porozmawiamy sobie jeszcze po wakacjach!

„Poprawka z historii. . . Poprawka z historii. . .” — huczało w głowie Tima.

Powlókł się na swoje miejsce. Nie myślał o niczym, nawet o tym, co powie w domu. Był zupełnie załamany. Przecież odpowiadał zupełnie nieźle. . . Że też coś go podkusiło wypowiadać własne niewydarzone sądy. . . No tak, oczywiście! Odsiecz Proksyjska — to przecież ulubiony temat Brussa! Jak można było o tym zapomnieć. . . Do tego jeszcze historyk jest opiekunem szkolnego Koła Młodych

Entuzjastów Kosmicznych Kontaktów. Można pożegnać się z nadzieją wyjazdu na Konwent KOKON-u w przyszłym roku. . .

Wychodząc ze szkoły, spostrzegł na ulicy oddalającą się Martę. Szła z dwiema koleżankami. Zawahał się. Marta chodziła do innej klasy, nie była więc świadkiem dzisiejszej klęski Tima.

Chciał powiedzieć jej o tym, przyznać się, zrzucić z siebie choć część tego brzemienia. Wiedział, że będzie starała się zbagatelizować sprawę, by mu ulżyć na duchu. . . Tylko te dwie dziewczyny obok niej. . . Głupio jakoś tak przy nich. . . Przyspieszył kroku. Mijając trójkę dziewcząt, odwrócił głowę, powiedział: „hej!” i pokazał zwinętą dłoń z kciukiem skierowanym w dół.

Domyśliła się, o co chodzi, bo pożegnała pośpiesznie koleżanki i dogoniła go.

— Położyłeś historię — powiedziała prawie wesoło. — To było do przewidzenia. Wagary, randki. . . Ale to nic. Po wakacjach pójdzie ci lepiej. Przecież zdasz na pewno.

— Wytłumacz to ojcu. . . — burknął ponuro. — Wycieczkę diabli wzięli.

— Może nie będzie aż tak źle — powiedziała. — Ostatecznie nigdy nie miałeś kłopotów z nauką. . .

— Już słyszę te rodzinne kazania: „Nigdy nie miałeś kłopotów z nauką! Co się z tobą dzieje, wracasz do domu po nocach, włóczysz się gdzieś, pewnie się zakochałeś. . .”

— A to. . . nieprawda? — spytała ironicznie, zaglądając mu w oczy.

Zająknął się, uszy mu poczerwieniały, lecz wreszcie nic nie odpowiedział na tę jawną prowokację. Szli w milczeniu kilkadziesiąt metrów, potem Marta skręciła w przecznicę, a Tim został sam ze swoim zmartwieniem. Szedł dalej, bezmyślnie patrząc na mijanych przechodniów, na ruch uliczny, na wystawy sklepów. W myślach raz jeszcze przetrawiał dzisiejszą lekcję historii.

O co właściwie chodzi? Dlaczego Bruss tak się uczepił tego potknięcia, tego jednego zdania? Tim przypomniał sobie, słowo po słowie, swoją odpowiedź. No tak. . . Bruss wtrącał od czasu do czasu jakieś uwagi, lecz nie szło mu przecież o fakty, ale jakby o. . . sposób ich przedstawienia. . . Przez cały czas naprowadzał Tima na ten szczególny tor pogardy dla ludzi-obrońców Ziemi, w którym sam zawsze opowiadał o tym okresie dziejów. Nieudolność, głupota, krótkowzroczność, tchórzostwo. . . Jak można w ten sposób opluwać historię własnej planety, choćby nawet rzeczywiście aż tak źle było z tą organizacją obrony! . . .

Wiadomo przecież, że inwazja, mimo zaskoczenia i braku odpowiednich środków, nie zastała Ziemi nie przygotowanej, odsłoniętej. . . Przecież walki w Pierścieniu Obrony trwały dość długo i żaden nieprzyjacielski pocisk nie przedarł się na powierzchnię planety. Odsiecz z Proximy niewątpliwie przyspieszyła odparcie inwazji, zadecydowała o zwycięstwie. . . Ale to nie jest powód, by pomniejszać znaczenie wysiłku ludzi, którzy oddali całą swą energię, życie nawet, by bronić własnej planety. . . Czemu ma służyć to ciągle podkreślenie ludzkiej bezsilności wobec najazdu Elgomajów? Czy uwypuklenie potęgi i zasług Proksów? Przecież nikt nie ma co do tego żadnych wątpliwości! Każde dziecko wie, jak potężni są przybysze z Proximy.

Tim pamięta jeszcze różne wierszyki z książek dla dzieci. Jeden nawet do dziś zna na pamięć. W drugiej klasie deklamował go na uroczystości z okazji

siedemdziesiątej piątej rocznicy Odsieczy Proksyjskiej. Wierszyk brzmiał mniej więcej tak:

Kiedy z Procyona na bezbronną Ziemię
ruszyło podłe Elgomajów plemię,
któż nam dopomógł, kto życie ocalił?
Czyje rakiety przybyły z oddali
śpiesząc przez Kosmos i nie szcędząc siły,
wrogą flotyllę najeźdźców rozbiły?
Na to pytanie każdy ci odpowie:
Niezwycześni, potężni Proksowie!
Dziś w każdym mieście amby Proksów stoją,
by wszystkie dzieci mogły żyć w spokoju.
Za to szanować i kochać musimy
naszych przyjaciół i zbawców z Proximy!

W książce wierszyk był zilustrowany wizerunkami dwóch kapsów na tle pulwy. Przez wiele lat Tim utożsamiał Proksów z kapsami i dopiero później dowiedział się, że właściwie... nikt nigdy nie widział Proksa. Wszyscy byli pewni, że Proksowie znajdują się we wnętrzu kapsów, pełniących rolę skafandrów.

Oczywiste było, że przybysze z obcej planety nie mogą przechadzać się bez żadnych osłon po Ziemi. Nikogo więc nie dziwiło, że przebywają we wnętrzu kapsów i że poruszają się przy użyciu zamkniętych pojazdów powietrznych, Zastanawiało jedynie to, że nie przekazali ludziom żadnych danych o swoim wyglądzie, obyczajach, kulturze... Powszechnie uważano, że są niezwykle potężni, że ich poziom cywilizacyjnego i intelektualnego rozwoju znacznie przewyższa to, co osiągnęła ludzkość do chwili inwazji Elgomajów. To nie ulegało wątpliwości. Byli potężni, dysponowali środkami technicznymi, których nie znała ludzkość. Poza tym zachowywali się przyjaźnie, pomagali, podpowiadali rozwiązania trudnych problemów... No i oczywiście — chronili Ziemię przed kolejnym najazdem z Kosmosu, bo to było głównym celem ich pobytu.

Tyle Tim wiedział o Proksach. Ich obecność była tak oczywista jak wschód i zachód słońca, jak pory roku i wogóle jak wszystko na Ziemi, co sprawia, że ludzie mogą normalnie żyć, pracować, odpoczywać... Szanował ich, jak nakażywały dziecinne książeczki, nauczyciele, rodzice. Sama myśl, że ktoś mógłby rzucić kamieniem w kaps, wywoływała w nim dotychczas szczery sprzeciw i głębokie zdziwienie. Dopiero teraz, analizując swą niefortunna wpadkę z historii, po raz pierwszy odniósł to dziwne wrażenie... Przecież Bruss żądał peanów na cześć Proksów! Obciął Tima, by nie być posądzony o to, że niedostatecznie podkreśla w swych wykładach zasługi Proksów dla ludzkości! Tak, on się po prostu podlizuje Proksom! Ale dlaczego? Przecież podlega służbowo dyrekcji szkoły, Departamentowi Wychowania, Radzie Kwadratu — a więc ludziom, a nie Proksom!

Któż wreszcie rządzi w tym kwadracie, we wszystkich kwadratach, na całej Ziemi? Czyżby opieka Proksów nie ograniczała się do osłony przed inwazją ko-

smicznych wrogów? Tim był sam zaskoczony tym wnioskiem. Pochłonięty swymi rozważaniami dotarł pieszo do domu. Przed bramą ktoś zastąpił mu drogę.

— Hej, pozwól na chwilę! — powiedział półgłosem chudy dryblas.

Tim poznał Patyka. Zrobiło mu się trochę niewyraźnie. Co tu dużo mówić: bał się tego chłopaka. Mówiono o nim różne rzeczy i Tim wołał go raczej omijać. Tym razem było za późno na odwrót.

— Cześć — powiedział, starając się, by zabrzmiało to swobodnie i pewnie. — O co chodzi?

— Właściwie to prawie się nie znamy — powiedział Patyk nadszpiewanie uprzejmie.

— Jestem Maks albo Patyk, jak wolisz.

Wyciągnął rękę, uśmiechnął się. . .

— Tim Warnel — powiedział Tim, ściskając podaną dłoń. — Co jest grane?

— Wejdzmy! — Maks wszedł pierwszy do klatki schodowej i stanął w ciemnym kącie, koło zejścia do piwnicy.

— Mam sprawę.

Tim stanął naprzeciw niego i czekał. Jaką sprawę może mieć ten chłopak?

— Podobno jedziesz za granicę — powiedział Maks.

— Skąd wiesz?

— Wszyscy już o tym mówią. Chcę ci zaproponować interes. Można dobrze zarobić. Trzeba coś przywieźć.

— Przemyt? — Tim spojrzał na niego podejrzliwie.

— No. . . bo ja wiem? Jeśli można przemycać coś, czego nie ma, to rzeczywiście przemyt. . . Ale to niczym nie grozi.

— O co chodzi?

— O mrówki. Niedużo. Jedną, dwie próbówki. Obojętny gatunek, byle żywe. Dobrze zapłacę.

Tim zaniemógł. Znów te mrówki! Co jest, u diabła, z tymi mrówkami?!

— Skąd ja ci wezmę mrówki?

— Jak to skąd? Z lasu! Tam gdzie jedziesz, jest kawał ładnej puszczy.

— Przecież mrówek nie ma!

Maks zachichotał bezgłośnie, a potem pokiwał głową z politowaniem.

— Mrówek nie ma, bocian dzieci przynosi, a bez opieki Proksów wilki by nas zjadły. . . Oj, dziecko, dziecko! A na oko dorosły chłop! — powiedział kpiąco. — No, trudno. Muszę cię uświadomić. Mrówek nie ma w taryfie celnej ani w wykazie towarów nie dopuszczonych do przewozu. Nie ma ich także w sprawozdaniach służby leśnej ani w podręcznikach biologii. Natomiast tak w ogóle to są i mają się zupełnie nieźle. No, więc jak? Przywieziesz? Najwyżej zabiorą ci na granicy, jeśli cię akurat sprawdzą. Dam ci dwie plastikowe rurki z korkami. Trzeba łąpać na kostkę cukru, a jeszcze lepiej na miód. Same włożą do środka. Jak się trochę nazbiera, przesypano do drugiej rurki, odurzyć lekko eterem i dalej łąpać. Zresztą tam na miejscu każdy chłopak ci pokaże, jak je zbierać. . . Mogą też być larwy. Takie białe jajeczka. . .

— Nie wiem, czy coś z tego wyjdzie. Oblałem historie i. . . pewnie mnie ojciec nie zabierze.

— O, do diabła. . . — zafrasował się Maks. — No, nic. Jeśli pojedziesz, to pomyśl o tym, a jak nie, to trudno. . .

— Do czego ci potrzebne te. . . mrówki? . . .

— To nie dla mnie. Sam nie wiem, do czego, ale... Wiesz, co to znaczy?

Maks złożył wskazujące palce obu rąk w kształt litery „T”. Tim patrzył zdziwiony to na palce, to znów na twarz Maksu.

— Nie wiesz... Teraz ci nie wyjaśnię, może później. Chyba jesteś porządny chłopak, chociaż nieświadomiony.

— Z czego to wnosisz?

— Nie napisałeś na mnie raportu.

— To ty... celowo, wtedy, z tym nożem?

— Chciałem wiedzieć, jaki jesteś.

— Skąd wiesz, że nie napisałem?

— Już by o mnie pytali w domu. Na wszelki wypadek do dziś mieszkałem u kumpla. Ale nikt nie pytał. To znaczy, że nikomu nic nie mówiłeś. Dziesięciu innych zaraz by poleciało do białej skrzynki... No, to trzymaj się. Życzą miłej rozmowy ze starym. A jak się uda, to pamiętaj o mrówkach!

Maks wybiegł na ulicę, a Tim począł po schodach pełen najczarniejszych myśli. O propozycji Maksu nawet nie myślał. Mrówki! Przecież ich nie ma! Czy taki Maks, który pewnie nawet szkoły nie skończył, bo włóczy się ciągle po ulicy, może wiedzieć lepiej niż profesor albo niż ojciec?

Ojciec wrócił później niż zwykle. Był w dobrym nastroju, wprawne oko Tima rozpoznało to od razu. Trzeba tylko znaleźć odpowiedni moment i zdobyć się na szczerą rozmowę. Tim wiedział, że nie należy sprawy odkładać na później. Wolał jednak, by ojciec spokojnie zjadł spóźniony obiad, nim dowie się, że ma syna — lenia. Nie bardzo zresztą poczuwał się do winy za tę dwójkę, ale jego osobiste zdanie nie miało tu znaczenia. Dwójka jest dwójką, nie da się ukryć.

Zaraz po obiedzie ojciec włączył telewizor. Zaczynała się transmisja międzykwadratowego meczu piłki nożnej. Grała dziś drużyna miejscowego klubu „Toran”, przeciwnikiem był zespół „Prox Interkosmos” z kwadratu 20–55. Ojciec był kibicem „Toranu” i Tim wiedział, że przez najbliższe dwie godziny nie ma szans porozmawiać z ojcem na jakikolwiek temat poza futbolem. Pomyślał ponadto, że jeśli „Toran” przegra, lepiej w ogóle nie poruszać dziś sprawy poprawki. Szansę drużyny „Toranu” były jednak spore. W pierwszej połowie meczu jej lewy skrzydłowy strzelił piękną bramkę, ojciec w zachwycie bil się dłońmi po kolanach, Tim również entuzjasmował się grą i na kilkadziesiąt minut zapomniał o tym, co go gnębiło.

Podczas przerwy w meczu komentowali z ojcem kolejno wszystkie nie wykorzystane sytuacje podbramkowe „Toranu” i utyskiwali na obrońców, którzy omal że nie dopuścili do strzelenia wyrównującej bramki.

W drugiej połowie wszystko było na najlepszej drodze, przewaga „Toranu” zarysowała się wyraźnie, lecz w pewnym momencie przeciwnicy, widząc, że grozi im porażka, zaostrzyli grę. Sędzia podyktował kilka rzutów wolnych, lecz gracze „Proxa” nadal faulowali w sposób niezwykle brutalny. W dwudziestej minucie drugiej połowy meczu zniesiono z boiska lewego napastnika „Toranu”, kopniętego w brzuch przez obrońcę, tuż przed linią pola karnego.

Ojciec zaciskał pięści i pomstował na przeciwników swej ulubionej drużyny, a także na sędziego, który, jego zdaniem, powinien wykluczyć z gry co bardziej napastliwych zawodników „Proxa”.

— Brutale! — krzyczał w kierunku ekranu. — Myślicie, że mając taką nazwę, możecie sobie na wszystko pozwalać? — Albo też: — Ty, dziurawy kaloszu z lewej nogi, czego się boisz? Niech ci się nie zdaje, że te patałachy to prawdziwi Proksowie! Czerwoną kartkę łobuzowi!

Rzut wolny po incydencie z lewym napastnikiem zakończył się kornerem, potem piłka powędrowała znów na środek boiska, a kiedy wywalczył ją środkowy napastnik, trzech zawodników „Proxa” wprost rzuciło się na niego, przewracając go i przygniatając stertą własnych ciał do ziemi.

— Skandal! — ojciec zerwał się z krzesła. — To nie rugby, do cholery!

— Opanuj się. Ciszej — powiedziała mama, zaglądając przez drzwi.

Nie cierpiała piłki nożnej, i na czas transmisji wyniosła się do drugiego pokoju, lecz widać docierały do niej wykrzykniki ojca.

— Tato, co to jest „rugby”? — spytał Tim.

— Taka gra sportowa — powiedział ojciec niechętnie, — Od dawna się w to nie grywa,

— Czy to była brutalna gra?

— Nie wiem. Znam ze słyszenia.

— A czym się grało? Piłką?

— Taką specjalną piłką. . .

— Specjalną?

— Tak. Owalną.

— Owalną, jak kaps?

— Uhm. Popatrz, nasi przejęli piłkę. . .

— Ale dlaczego nie gra się w to. . . rugby?

Ojciec spojrzał na Tima jakoś dziwnie. Milczał chwilę, jakby dobierając odpowiednie słowa. Wreszcie powiedział, ścisząc głos:

— No pomyśl, jak by to wyglądało. . . Jak można kopać nogami coś, co wygląda jak kaps? To by mogło zostać poczytane za brak szacunku dla naszych przyjaciół!

— Aha. . . rozumiem. . . — powiedział Tim.

Mecz toczył się dalej, „Toran” nie mógł uporać się z twardym przeciwnikiem, na kilka minut przed końcem wynik brzmiał 1:1; po przypadkowym strzale w zupełnie nieprawdopodobnej sytuacji.

Nad stadionem pojawiła się nagle pulwa. Zawisła nad boiskiem, blisko bramki „Proxa”, i znieruchomiła w powietrzu.

— Do diabła! — ojciec uderzył pięścią w stół. — Jeszcze ich tutaj brakowało! Kibice się znaleźli!

Pulwa wisiała bez ruchu, jakby jej załoga obserwowała mecz. Nagle, dokładnie w momencie gdy piłka, strzelona silnie w stronę bramki „Proxa”, minęła wysuniętych do przodu obrońców, pulwa błyskawicznie osunęła się tuż nad płytę boiska i znalazła się na linii strzału.

Stadion ryknął, wszyscy poderwali się z miejsc. Piłka odbita od pulwy wyszła na aut. Rozległy się gwizdy. Ojciec przed telewizorem zatupał ze złości, a mama znów wetknęła głowę przez drzwi.

Pulwa poszybowała spokojnym lotem gdzieś poza stadion.

— Świnie! — pieklił się ojciec. — Już nawet do sportu się wtrącają, łajdaki!

— Beniaminie! Opanuj się! — syknęła mama. — Dziecko słyszy. . .

— No, ale sama powiedz! Czy to jest fair? Oni widocznie uważają, że przegrana drużyny o nazwie „Prox” obraża ich!

Mama pokręciła głową z dezaprobatą i poszła do kuchni. Tim czuł, że nie będzie dziś atmosfery do rozmowy.

— Taka pewna bramka! Widziałeś? Bramkarz był źle ustawiony, byłoby 2:1! — biadolił ojciec.

Mecz skończył się remisem, kibice na stadionie zagłuszyli gwizdami słowa komentatora, który w chwili interwencji pulwy zamilkł zupełnie i na kilka minut zaniechał komentarza, a teraz, po ostatnim gwizdku, omawiał mecz pomijając zupełnie ów niezwykle incydent.

— Tato, dlaczego on nie wspominał ani słowem o tej pulwie? Przecież powinien coś powiedzieć, oddać sprawiedliwość „Toranowi”!

— Pewnie jej w ogóle nie zauważył, synku. . . — mruknął ojciec gorzko. — Czasem lepiej nie widzieć pewnych spraw.

Sięgnął machinalnie do kieszeni, wyjął coś z pudełka i włożył do ust. Tim spojrzął na ten przedmiot. Był to wydłużony brunatny cylinder, zakończony stożkowato z dwóch końców. Ojciec wyjął zapalniczkę.

— Zjecie kolację? — spytała mama, zaglądając z tajemniczym uśmiechem do pokoju. Spojrzała na ojca i spoważniała nagle.

— Ben! — powiedziała ostro. — Co ty wyrabiasz? Ojciec zamarł z płonąca zapalniczką w dłoni i tym dziwnym przedmiotem, trzymanym w ustach. Mama nieznacznie wskazała oczami na Tima, który jednak zauważył to spojrzenie. Ojciec wyjął z ust dziwny przedmiot i z zakłopotaniem obracał go w palcach. Zdmuchnął płomyk zapalniczki i uśmiechnął się jakoś dziwnie.

— Zdenerwował mnie ten mecz. . . — powiedział, nie wiadomo dlaczego, tonem usprawiedliwienia.

— Uważaj, na miłość boską! — powiedziała mama gderliwie. — Zjecie więc tę kolację?

— Jadłem późno obiad. . . — mruknął ojciec. — Ale. . . jeśli masz coś dobrego. . .

— A właśnie mam! — Uśmiech wrócił na twarz mamy. — Zaraz zobaczysz! Zniknęła w kuchni, a po chwili wniosła na tacy trzy talerzyki z parującą, biało-żółtą masą, pokrojony chleb i szklanki z herbatą.

Tim patrzył ze zdziwieniem w talerz.

— Co to? — spytał podejrzliwie, dziobiąc widelcem nieznaną potrawę.

— Spróbuj.

To było niezłe. Tim zjadł wszystko ze smakiem, zagryzając kromką chleba.

— Skąd wzięłaś? — dziwił się ojciec, delektując się potrawą. — Strasznie dawno nie jadłem ja. . .

— Ts! — syknęła mama. — Nomina sunt odiosa. Jedna znajoma kobieta sprzedawała, w bramie, koło mleczarni.

— Uważaj tylko. . . — powiedział ojciec. — Nie bierz nigdy od obcych bab, bo to może być prowokacja.

— Wiem, wiem, — uspokoiła go mama. — Nie od dziś robię zakupy.

— Za to można mieć grube nieprzyjemności. Uważaj przy wyrzucaniu śmieci, dozorca czasem sprawdza w zsypie. On jest. . . wiesz. . . Więc trzeba dobrze potłuc i zawinąć w papier.

— Zrobię to po kolacji.

Tim słuchał, niczego nie rozumiejąc z rozmowy rodziców. Patrzył przy tym na wystający zza talerza ojca ów dziwny brunatny przedmiot.

— Tato, co to jest? — nie wytrzymał wreszcie.

— Powiem ci, jak będziesz starszy — usiłował wykręcić się ojciec, ale Tim nie dał się zbyć tą odpowiedzią.

— Zawsze tak mówisz i nie zauważasz, że ja już jestem starszy.

— To cygaro — powiedział ojciec niechętnie.

— Cygaro? Czytałem coś o tym w jakiejś starej książce... Ale myślałem, że cygaro to taki rodzaj papierosa... Bo to się pali, prawda?

Ojciec niezdecydowanie kiwnął głową.

— To wygląda jak toran! — zauważył Tim. — Dlaczego nie zapaliłeś?

— Bo jem.

— Nie, tato. Ja wiem, że to nieprawda. Przepraszam cię, ale bujasz. A ja się domyślam, dlaczego. Nigdy przy mnie nie paliłeś takiego cygara. Ja rozumiem... Pewnie to tak samo jak z tą piłką do rugby, prawda? To by wyglądało tak, jakbyś... podpalał toran, pojazd naszych przyjaciół... To by było... niegrzecznie wobec nich!

— Gorzej, synu! — powiedział ojciec i ciężko westchnął.

— To by wyglądało na demonstrację polityczną!

— Czy... to Proksowie zabraniają palić cygara?

— Nie, nie oni. Policja. — Ojciec schował cygaro do kieszeni. — Proksowie jeszcze nie mieszają się do takich szczegółów naszego życia.

— Zapal sobie, tato! — powiedział Tim z nutką ironii.

— Przecież nikomu nie wygadam!

Wstał, zaciągnął zasłony w oknie, zebrał naczynia ze stołu i wyniósł do kuchni. Odstawił brudne talerze do zlewu, a potem ukradkiem zajrzał do wiadra na odpadki. Na samym wierzchu leżały białe, półkuliste miseczki. Tim wziął jedną do ręki. Była krucha i łamliwa. Złożył dwie razem i stwierdził, że w całości przypominają kształtem kaps. „Aha! — pomyślał. — Rozumiem. Zawsze mi mówiono, że nie jada się kurzych jaj, bo są niesmaczne. A tak naprawdę to znów chodzi o politykę... Ach, jak ten świat jest skomplikowany! I taki jakiś... podwójny...

Wrócił do pokoju i stanął na wprost ojca.

— Tato! — powiedział z determinacją. — Oberwałem „lufę” z odsieczy proksyjskiej. Będę miał egzamin po wakacjach. Reszta przedmiotów — w porządku.

Ojciec nic nie odpowiedział, popatrzył tylko na Tima, mrużąc oczy i zastanawiając się jakby.

— Z historii ostatniego stulecia... — powiedział wreszcie. — No cóż, nieładnie, synu. Trzeba się tego nauczyć, nie ma rady...

— A bo... — zaczął Tim i urwał.

— Trzeba się nauczyć, choćby na pamięć. Zdać, a potem już można zapomnieć — powiedział ojciec cicho.

— Bo ja... za bardzo podkreśliłem rolę naszych wojsk, a za mało — zasługi Proksów. Bruss się zdenerwował, kiedy powiedziałem, że... naszym zabrakło rakiet i że gdyby je mieli... Ale to trochę przez ciebie, tato. Opowiadałeś mi kiedyś o tym, co słyszałeś od swojego dziadka... On podobno tam był.

— Był. Pamiętam, że ci o tym opowiadałem — zgodził się ojciec. — Ale w szkole obowiązuje cię podręcznik i treść wykładu. A to, co się mówi w domu,

to... No, nie rozmawia się o tym z obcymi. A już na pewno nie czerpie z tego informacji na lekcje historii.

Tim patrzył ze zdziwieniem na ojca, który miał bardzo skłopotaną minę i czerwone końce uszu, jakby się czegoś wstydził.

— Tato! Ale zawsze się mówi, że prawda jest jedna!

— Czasem w praktyce potrzebne są dwie albo więcej.

— Ale taka prawdziwa prawda? Jest jedna, tak?

— Jedna.

— Która?

— Porozmawiamy o tym jeszcze.

— A... zabierzesz mnie za granicę?

— Zabiorę.

— Naprawdę? — Tim był szczerze zdziwiony.

— Jak mówię, że tak, to naprawdę tak.

— Kiedy... sam mówisz, z tą prawdą różnie bywa?

— Między nami — nie! — powiedział ojciec i ujął Tima za ramię. — Przygotuj się do podróży. Wyjeżdżamy za trzy dni.

III. Inny kwadrat

Podróż do granicy kwadratu trwała, prawie godzinę. Potem trzeba było wsiąść i pieszo przejść przez punkt kontrolny. W bramie granicznego płotu rozpie-rały się dwa kapsy, drobiazgowo szperające chwyதாகami po torbach i walizkach pasażerów. Wszyscy czekali cierpliwie w długiej kolejce z identami zawieszonymi na wierzchnim ubraniu. Ktoś widocznie zapomniał włożyć żeton w szczelinę identu, bo gdy znalazł się w pobliżu linii granicznej, głośny brzęczyk przywołał go do porządku.

Policjanci pilnowali kolejki, zaglądali podróżnym do kieszeni i przepuszczali pojedynczo na drugą stronę. Kapsy interesowały się tylko bagażami. Tim zauważył, że wybierały najchętniej duże paczki i walizki. Co chwila jakieś przedmioty stanowiące własność podróżnych znikają wewnątrz kapsów. Niektóre zaraz powracały do właścicieli, inne nie. Wszyscy znosili to cierpliwie, nikt nie protestował przeciwko rekwizycjom.

W torbie Tima były tylko rzeczy osobiste, które chwyதாக kapsu przetrząsał dokładnie, gniotąc i tłamsząc niemiłosiernie. Kaps szybko przestał się interesować torbą, odrzucił ją i sięgnął po walizkę ojca. Po chwili obaj byli po drugiej stronie granicy, gdzie czekał inny pociąg.

— Czego oni szukają, tato? — spytał Tim, gdy siedzieli już w wagonie.

— Pojęcia nie mam — ojciec wzruszył ramionami. Był wyraźnie rozdrażniony. — Nigdy nie wiadomo, czego nie pozwolą przewieźć. Na każdej granicy obowiązują inne przepisy i nigdzie się nie dowiesz, jakie.

— Czy to pomysł Proksów?

— Kontrola graniczna? Skądże. Ludzie to wymyślili, bardzo dawno temu. Kiedyś, przed inwazją, w bagażach grzebali tak zwani „celnicy”. A jeszcze wcześniej, w średniowieczu — zbójcy, co czyhali na kupców wędrujących przez puszcze.

Tim wyczuł, że ojciec nie lubi granicznych ceremonii, więc przestał o tym mówić. Mieli przekroczyć jeszcze dwie granice kolejnych kwadratów, nim dotrą do celu.

Na następnych przejściach granicznych było gorzej, bo pod nieobecność kapsów policjanci wykazywali się jeszcze większą gorliwością. Najbardziej interesowała ich zawartość kieszeni podróżnych, a szczególnie wszelkie papiery i notatki. Czytali je dokładnie, niektóre zabierali, inne niszczyli. Kilku podróżnych wyciągnięto z oczekującej kolejki i zaprowadzono na wartownię.

Tim słyszał tu i ówdzie szepty i ciche rozmowy podróżnych. Wynikało z nich, że pojawili się ostatnio terroryści i wichrzyciele, wędrujący z kwadratu do kwadratu i zakłócający publiczny porządek.

— Tato, kto to jest terrorysta? — spytał Tim, gdy znaleźli się sami w przedziale kolejnego pociągu. Intuicyjnie czuł, że nie należy pytać o to przy ludziach.

— Terrorysty to tacy ludzie, którzy czynnie sprzeciwiają się władzy — powiedział ojciec.

— Na przykład, gdyby ktoś porwał członka Rady i grożąc mu śmiercią żądał czegoś od Rady Kwadratu, to nazwalibyśmy go terrorystą.

— A czego mógłby żądać? Pieniędzy? Zetonu na przejście do innego kwadratu? Przecież mogliby go ukarać, gdyby potem zwolnił zakładnika!

— Dlatego właśnie teraz nie ma takich terrorystów. Dawniej było z tym dużo kłopotów, ale Proksowie pomogli ludziom zwalczyć to zjawisko. Po prostu zabronili wszelkich ustępstw wobec terrorystów, a więc pozbawili ich podstawowej broni — możliwości szantażu.

— A dlaczego ludzie nie mogli tego tak samo załatwić?

— Bo chodziło o ludzkie życie. Według naszych norm nie można poświęcać ani ryzykować ludzkiego życia, w dodatku cudzego.

— A Proksowie mogli?... Dlaczego?

— Bo to nie ludzie.

— Ale jednak... tym sposobem zlikwidowali terrorystów? Więc działanie ich było skuteczne!

— Skuteczne, ale nieludzkie. Ahumanitarne.

— Więc teraz nie ma terrorystów? — upewnił się Tim.

— Nie ma, ludzie przeciwko ludziom, na szczęście, już nie występują.

— A... przeciwko Proksom?

Ojciec spojrział na Tima, potem przez szybę na korytarz wagonu, a wreszcie, upewniwszy się, że nikt nie słyszy, syknął teatralnym szeptem:

— Co ty za bzdury wygadujesz, smarkaczu? W język się ugryź, zanim coś takiego powiesz! Nie zadaje się takich pytań!

— Dlaczego? Pytam po prostu!

— Dlatego! Ani słowa więcej! — Ojciec nastroszył się, usiadł w kącie przedziału i siedział w milczeniu do końca podróży.

Lampa nad wejściem do budynku stacyjnego oświetlała kawałek peronu i zawiadowcę w czerwonej czapce. Na jednym z końców peronu, w mroku, Tim zauważył dwóch podróżnych. Jeden przysiadł na walizce, drugi przechadzał się tam i z powrotem.

Zawiadowca patrzył spod daszka czapki w drugi koniec peronu. Nad samym jego brzegiem chwiały się dwa jasnozielone światełka. Pod nimi Tim rozpoznał owalne kształty kapsów.

Ojciec zbliżył się do kolejarza. Rozmawiali przez chwilę półgłosem, potem ojciec podeszedł do ściany budynku, na której widniała tablica z rozkładem jazdy. Tim stanął obok ojca, postawił walizkę i przyglądał się światełkom kapsów. Jedno z nich rozkołysało się gwałtownie, kaps ruszył chwiejnie wzdłuż krawędzi peronu, szybko oddalając się od drugiego, który kiwał się wciąż w tym samym miejscu.

— Cholera! — Tim usłyszał stłumione przekleństwo kolejarza, stojącego o parę kroków, przy drzwiach poczekalni. — Wałkuje się po samej krawędzi, jakby nie było innej drogi... Zwali się, jak nic!

Ojciec oderwał oczy od rozkładu jazdy i też patrzył na zbliżający się kaps. Wielkie jajo balansowało na skraju wysokiego peronu, kołysząc się i wychylając niebezpiecznie na boki.

— Chodźmy stąd — powiedział kolejarz głośnym szeptem, mrugając jednym okiem. — Żeby nie było na nas.

Wszedł do poczekalni, a za nim Tim i ojciec.

— Sam pan widział — powiedział kolejarz, zdejmując czapkę i ocierając chustką kark.

— Wściec się można. Nie ma na nich sposobu. Przyłóżą tu z amby, tej w miasteczku. Trzy dni temu jeden zwałił mi się na tory. Musiałem trzymać pociąg przez godzinę pod semaforem, zanim przystali pulwę. A potem jeszcze tłumacz się, człowieku! A czy ktoś nie potracił, a może to umyślnie... Policja, władze kwadratu, protokoły, śledztwo...

— Po co tu przylatują? — spytał ojciec, wyglądając na peron przez brudne okno poczekalni.

— Szukają czegoś?

— Tego, co zawsze. Lasy tutaj gęste, rozległe, a granica blisko, to kręcą się różni tacy, wie pan... Handel, szmugiel... Różne rzeczy ludzie wożą: skrybie, dżoły, grzybki... Mrówki też czasem... No, to i tamci przyłóżą, węższą, zabierają to i owo... Miodu nie wiezicie?

— Nie. U nas trudno kupić — mruknął ojciec.

— U nas też niełatwo. A miód na nich najlepszy. Jak znajdą, to zabiorą, ale potem dają człowiekowi spokój.

— A te dwa to co? Patrol?

— Ee, jaki tam patrol! — Zawiadowca nacisnął czapkę na głowę i spojrzał ze złością przez okno. Na lewiźnie. Nawet pulwę mają, widział pan? Dawniej tego nie było. Od zmroku do świtu był spokój, co najwyżej pulwa czasem przeleciała i tyle. A teraz to łążą nawet w nocy. Jak mi się jeden w zeszłym miesiącu osunął z nasypu, to myślałem, że coś wreszcie się zmieni. Ale gdzie tam! Policjanci sami go dźwigiem wywlekli, nawet do amby nie dali znać, tak się z nimi cackają. O, o, niech pan zobaczy! Oba na dobrym dmuchu! Widzi pan, jaką mają amplitudę?

Kaps wędrujący brzegiem peronu minął jego środkową oświetloną część i znów zanurzył się w półmrok. Tim spostrzegł, że wlecze za sobą długi przewód. Drugi kaps też zbliżył się o kilkanaście metrów, ale rozkołysał się potężnie i zaniechał dalszej wędrówki.

— No, i co by pan zrobił na moim miejscu? — gderał kolejarz — Jak ja mogę odpowiadać za bezpieczeństwo na szlaku, kiedy mi takie łążą po torach, czasem który o sieć elektryczną zawadzi... Jemu nic, a bezpieczniki na podstacji szlag trafia. A ty, człowieku, cierp to wszystko, siedź cicho, bo jak nie, to ci załatwią taki kwadrat, że...

— Splunął przez ramię, machnął ręką i ruszył w kierunku dyżurki.

Ojciec wziął walizkę i wyszedł na drugą stronę budynku. Tim wyjrzał jeszcze na peron i zobaczył w mroku zarys sylwetki kapsu pochylonego nad człowiekiem, który siedział na walizce.

— Chodź, Tim! — zawołał ojciec. — Mamy jeszcze kawał drogi.

— Ide, ide... — Tim zarzucił torbę na plecy i ruszył za ojcem.

Droga wiodła wzdłuż zarośli, przez które tu i ówdzie prześwitywało pasmo linii kolejowej. Po drugiej stronie ciągnęła się ściana lasu.

— Tato? — zagadnął Tim, zrównując się z ojcem, który maszerował długimi krokami. — O czym mówił ten kolejarz?

— Słyszałeś przecież — mruknął ojciec niechętnie.

— On wspomniał o jakichś grzybach, o mrówkach...

— Cicho bądź! — Ojciec zatrzymał się nagle. — Jeśli czegoś nie rozumiesz, to nie powtarzaj, bo narobisz kłopotów sobie i mnie.

Tim zamilkł na długą chwilę. Znow szli szybko skrajem pasa asfaltu. Znad lasu wyłonił się pomarańczowy krąg księżyca. Drzewa rzucały długie cienie, las pobrzmiwał dziwnymi odgłosami. Tim wchłaniał nie znany, miły zapach lasu. Rozglądał się. Było dziwnie, zupełnie inaczej niż w mieście o tej porze.

— Porozmawiamy później — powiedział ojciec nagle, zupełnie innym tonem, jakby łagodniej. — W twoim wieku. . .

— Co w moim wieku? — podjął Tim, bo ojciec zamilkł na dłuższą chwilę.

— Powinno się wiedzieć. . . o pewnych sprawach. Ale teraz nie będziemy o tym mówić. Masz swój ident?

— Mam, — Tim dotknął medalionu zawieszzonego na szyi. — Zawsze go mam, przecież nie można go zdejmować.

— Właśnie. Dlatego musisz uważać. — Ojciec niespokojnie rozejrzał się na boki.

— Nie rozumiem?

— Nie szkodzi. Powiedziałem, że porozmawiamy później — syknął ojciec i przyspieszył kroku.

Skręcili z szosy w leśną przecinkę. Było tu ciemno, dach z gałęzi zamykał się nad duktem i tylko miejscami plamy księżycowego światła rozjaśniały piasek, przejeżdżony koleinami pojazdów.

— Już niedaleko — powiedział ojciec, odnajdując w ciemności jakiś znajomy szczegół.

— Tutaj pięć lat temu spotkaliśmy stadko dzików.

— Ze strykiem?

— Aha. Było z dziesięć sztuk.

Tim rozejrzał się ukradkiem, nasłuchując. Na szczęście wokoło panowała cisza.

— Już widać światła leśniczówki — zauważył ojciec. Furtka w drewnianym płocie zaskrzypiała.

— Kto tam? — rozległo się z głębi ciemnego podwórka, od strony domu.

— Goście! — powiedział ojciec.

— Stryjek Ben?

Z mroku wyłoniła się postać młodego chłopaka.

— Tak, to ja, Filipie. A to — twój brat stryjeczny. Poznajcie się, chłopcy!

Filip był synem stryja Dona. Tim wiedział, że Filip w ubiegłym roku rozpoczął studia na wydziale leśnictwa.

— Myślałem, że jakiś kaps się zabłąkał! — powiedział Filip, prowadząc przybyszów w stronę domu. — Ostatnio są bardzo nachalne. Docierają aż tutaj.

— Przyjechałeś tu na całe wakacje? — spytał ojciec, jakby celowo zmieniając temat.

— Na miesiąc. Później muszę jechać na praktykę. Nik też jest już w domu. Zdał jakoś do dziewiątej. Z pewnymi trudnościami, ale zdał. A ty, Tim? — zainteresował się Filip,

Weszli do izby, gdzie reszta rodziny siedziała przy kolacji. Zaczęły się powitania i to uratowało Tima od udzielenia odpowiedzi. Kolacja przeciągnęła się do północy, bo ojciec Tima zagadał się ze strykiem i stryjenką. Nie widzieli się od paru lat, było o czym rozmawiać.

Tim słuchał jednym uchem rozmowy starszych, drugim — tego, co mu półgłosem opowiadał Nik. Jedno i drugie było interesujące. Tylko Filip nie brał udziału w ogólnej rozmowie. Szybko zjadł kolację i wymknął się gdzieś z domu.

— Dostałem twój list — mówił stryj, wyjmując z kieszeni złożony arkusik papieru — więc spodziewałem się was w tym tygodniu. Popatrz, nawet niewiele wycięli. . .

Rozwinął list, który w kilku miejscach przeświecał wyciętymi prostokątami.

— Pisałem bardzo ostrożnie — powiedział ojciec — a jednak jeszcze coś powycinali. . .

— Boją się przecieków, jakichś zaszyfrowanych informacji, bo ja wiem, czego. . . — powiedział stryj, pocierając brodę. — Tutaj, u nas, pewnie trochę spokojniej niż w miastach, ale też się słyszy. . .

— Tss — syknął ojciec, oczami wskazując na chłopców.

— Duże chłopaki, przecież też muszą słyszeć i rozumieć — mruknął stryj. — Powinni wiedzieć. Kto im powie, jeśli nie my?

— Tak, ale. . . Szkoła, telewizja, rozumiesz, co innego, my co innego, a oni wreszcie nie umieją tego pogodzić. . . — powiedział ojciec półgłosem.

— Wyślij chłopców spać — powiedział stryj do żony. — Mogą iść na siano, noc będzie ciepła. A nam daj jeszcze czegoś do picia.

Nik zaprowadził Tima na stryszek. Zagrzebani w świeżym sianie, układali plany na najbliższy tydzień. Były tam przewidziane i wyprawy na grzyby, i połów ryb w jeziorze, i wycieczka do starej gajówki, gdzie mieszkał stuletni bartnik Greg — odludek i dziwak, o którym Tim słyszał już dawniej od ojca. Wszystko bardzo interesujące, lecz było tego stanowczo za dużo jak na jeden tydzień pobytu. . .

— Wiesz, Tim — mówił Nik — ten Greg pamięta jeszcze czasy Wielkiej Wojny, opowiada o niej zupełnie inaczej, niż jest opisane w książkach. . . Chyba musiało mu się wszystko w głowie poplątać. Ale ciekawie opowiada. Takie różne dziwne rzeczy. . . Na przykład, że przed Wojną można było rozmawiać przez telefon z jednego kwadratu do drugiego. . . Albo że pociągi jeździły przez granice i nie trzeba było wysiadać do kontroli. . .

— Przed wojną nie było kwadratów, tylko państwa — poprawił Tim.

— Tak, wiem. . . Tylko z przyzwyczajenia tak powiedziałem.

— Co jeszcze opowiada ten Greg?

— Jeszcze o takich latających maszynach. . . Jak torany i pulwy, tylko ze skrzydłami. Robiły dużo hałasu, ale można było nimi bardzo szybko podróżować. Dlaczego teraz ich nie ma?

— Nie wiem. . . Może. . . przeszkadzałyby latać toranom. . .

— No, chyba. . . A poza tym nie mogłyby przelatywać przez granice kwadratów — dodał Nik. — Kiedyś byłem z Filipem na granicy, tutaj niedaleko, za lasem. Rzucaliśmy kamieniami. . .

— Ja też to robiłem. . . — przyznał się Tim.

— Fajne, nie? Jak się kamień zapala nad fiadrami. . .

— Nad czym?

— No, nad tymi szmatkami, co wiszą na drucie. . . Ojciec mówi, że to fiadry, takie jak na wilki. Kiedy się ofladruje jakiś teren, to żaden wilk nie przejdzie. Bóić się. Będzie biegał dokoła, a nie przejdzie. Ojciec mówi, że oni nas też, jak te wilki. . .

— Jacy „oni”?

— No... nie wiem, tak mówi: „oni”... — bąknął Nik. — Chyba... Prokso-
wie?

— Ee, skądże. Przecież te chorągiewki na drucie rozpina policja, żeby ozna-
czyć granicę.

— A wieże strażnicze z laserami kto stawia?

— Nie wiem... One są od dawna. Odkąd wyznaczono kwadraty.

— Więc kto wreszcie wyznaczył te kwadraty? Ludzie czy Proksdwie?

— No, niby ludzie... — zastanowił się Tim. — Na geografii profesor mówił,
że ludzie, ale pomysł pochodził chyba od Proksów. Na przejściach granicznych też
ludzie kontrolują... Ale czasem stoi pulwa i kapsy kontrolują bagaże, rekwirują
niektóre rzeczy... A żetony na przekroczenie granicy wydają władze samorzą-
dowe kwadratu, więc ludzie... Nie wiem, pojęcia nie mam, jak to jest, kto tu
najważniejszy...

Po chwili obaj chrapali otuleni kocami i pachnącym sianem.

— Na gryzby chadza się przed świtem — powiedział Filip, z dezaprobatą
patrząc, jak Nik i Tim gramolą się po drabinie ze stryszku. — Nie trzeba było
gadać do trzeciej nad ranem.

Zimna woda ze studni do reszty splukała senność z oczu Tima. Słońce prze-
świecało przez korony sosen, dzień zapowiadał się wspaniale. Nik przyniósł
z kuchni dzbanek z mlekiem i fajansowe kubki.

— Śniadanie zjemy po drodze — powiedział, kładąc do koszyka torbę z ka-
napkami.

Wypili zimne mleko, przetykając głośno, w pośpiechu. Gnało ich gdzieś przed
siebie, dokądkolwiek, byle naprzód.

— Idziesz z nami do lasu, Filip? — Nik szturchnął brata, wspartego o parkan
i patrzącego w zamyśleniu w perspektywę drogi biegnącej w głąb puszczy.

— Idę, idę! — Filip jakby ocknął się nagle. — Wolę was mieć na oku, niż
potem szukać do wieczora.

— Uważaj, żebyś sam nie zginął! — odciął się Nik, który uważał, że las zna
jak własne podwórko.

— Nie rozłazić się po zaroślach! — ostrzegł Filip. — O świcie widziałem ze
dwie pulwy, jak leciały nad zagajnikiem. Na pewno gdzieś tam siedzą.

— No to co? Niech sobie siedzą.

— Pulwy w lesie? — zdziwił się Tim. — Czego oni tu chcą?

— Zapytaj, może ci powiedzą! — Filip uśmiechnął się ironicznie. — A przy
okazji dowiedz się, po co właściwie oni wszyscy tutaj przylecieli.

— Tutaj, na Ziemię?

— Właśnie.

— Przecież to wie każde dziecko w szkole.

— Uhm! — Filip pokiwał poważnie głową. — W szkole... Jakie to proste
i oczywiste, prawda? Przylecieli i są. Pocziwi, kochani przyjaciele! Z wizytą.

Tim patrzył ze zdziwieniem na Filipa, który mówił to z dziwnie ponurą miną.
Wierzbowa witka w jego dłoni uderzała rytmicznie o cholewę gumowego buta.

— Pewnie polecili sprawdzić, czy formitoks dokładnie rozpylony. Ojciec mó-
wił, że było nowe zarządzenie, bo w sąsiednim obwodzie pokazały się mrówki —
powiedział Nik.

— Mrówki? To... one naprawdę są...? — Tim przypomniał sobie incydent
w pracowni biologicznej.

— No pewnie, że są! Sam widziałem w zeszłym roku... — zaczął Nik, ale Filip przerwał mu ostro.

— Widziałeś, zapomniałeś i dobrze. Mrówek nie ma. Chcesz, żeby ojciec miał przykrości w nadleśnictwie?

Nik zamilkł, a Tim zbliżył się do Filipa.

— To jak w końcu? — spytał szeptem. — Są czy nie ma?

— Oficjalnie nie ma — mruknął Filip. — Chodźmy wreszcie, bo zaraz będzie południe.

Skręcili z drogi, w przecinkę, pomiędzy starym mieszanym lasem i gęstym sosnowym młodnikiem. Cienkie drzewka rosły ciasno, ich gałązki, na dolnych poziomach uschnięte i kruche, tworzyły drapiący, trudny do przebycia gąszcz. Nik prowadził przez młodnik ku prześwitującej z daleka porębie.

Grzybów nie było widać. Gdzieniedzie leżały porozrzucone strzępki grzybowych ogonków, ślad zbieraczy, którzy byli tu wcześniej.

— Za późno wstaliście, lenie! — burczał Filip, przedzierając się pomiędzy drzewkami. — Ani bedłki nie znajdziemy.

Nagły krzyk rozległ się gdzieś przed nimi, od strony poręby. Znieruchomieli słuchając. Filip wysunął się do przodu, na skraj młodnika, spoglądając zza drzew ku otwartej przestrzeni. Skrzypiący, kobiecy głos jazgotał coś monotonicznie, krzykliwie, lecz nie sposób było wyróżnić w tym pojedynczych słów. Filip obejrzał się, przywołując chłopców gestem dłoni. Śmiał się bezgłośnie. Podeszli do niego i wyjrzeni na polanę.

O kilkadziesiąt metrów od skraju zagajnika, pośród wysokiej trawy obrastającej kępami stare pniaki, stała pulwa. Jej właz był otwarty. Tuż obok kołysał się kaps, a przed nim, nie dalej niż trzy metry, stała przygarbiona, drobna staruszka w czarnej chustce na głowie. Lewą dłonią wspierała się na sękatym kiju, a prawą, ściśniętą w pięść, wygrażała w stronę kapsu, wykrzykując przy tym skrzekliwy monolog:

— Zarazy na was nie ma antychrysty wilkołaki żeby was piorun jasny spopielił i święta ziemia pochłoneła przybłądy próżniowe przejść człowiekowi spokojnemu nie dają purchle parszywe no i co narobiłeś ty łbie kapuściany ty purchawko spulchła żebyś ty jutra nie doczekał za moją krzywdę poczwaro kosmiczna niech cię Pan Bóg skarże łobuzie tyłem się nachodziła od samiusieńkiego rana łojezu ledwie nogami powłóczę i wszystko na nic wszystko zmarnuje ten diabli pomiot!

W powierzchni kapsu widać było okrągły otwór, przez który wynurzyła się cienka, przegubowa łapa zakończona chwytakiem. Na ziemi, pomiędzy staruszką i kapszem, stał koszyk pełen grzybów. Chwytak kapsu zanurzony w koszu gmerał pośród dorodnych prawdziwków i koźlaków, łamiąc je i niszcząc bezlitośnie, rozrzucając dookoła grzybową miazgę.

Staruszka ze zgrozą i wściekłością patrzyła, jak plon jej porannego grzybobrania w jednej chwili zamienia się w bezkształtną masę okruchów. Przez chwilę dyszała głośno i nagle, w przypiływie desperacji, przełożyła sękaty kostur z lewej do prawej dłoni i ruszyła w kierunku kapsu,

— Won, złodzieju! — wrzasnęła. — Won, bo ci tę twoją kościotrupią łapę przetrączę!

Kaps znieruchomiał nagle z chwytakiem zanurzonym w koszyku, lecz babcia nabrała już rozpędu i najwyraźniej było jej wszystko jedno. Zamachnęła się szeroko i trzasnęła kijem po ramieniu chwytaka, raz i jeszcze raz, aż poleciały wióry

z kostura, a kosz przewrócił się na bok. Resztki grzybów wysypały się na ściółkę. Chwytnak cofnął się gwałtownie, wciągnięty do połowy długości w korpus kapsu, który rozkołysał się szeroko. Staruszka truchcikiem natarła w jego stronę jeszcze raz, trzepiąc kijem gdzie popadło, aż chwytnak całkowicie pograżył się w otworze. Otwór zasklepił się natychmiast, o kapsz pośpiesznie wycofał się w stronę włazu pulwy. Po chwili był już w środku.

Babcia stała jeszcze parę sekund, sprężona i czujna, z uniesionym kijem, a potem, rzuciwszy parę wyzwisk w kierunku pulwy, przycupnęła nad koszykiem.

Dyskowaty pojazd, jak kapelusz ogromnego grzyba, zawisł nad ziemią, pochylił się ukośnie i powoli unosząc się w górę odpłynął nad wierzchołkami sosen okalających porębę.

Filip wynurzył się z lasku i podszedł do staruszki, biadolącej nad koszykiem.

— Dzień dobry, babciu! — powiedział. — Ale mu babcia wlała!

Staruszka uniosła głowę znad resztek ocalałych z pogromu.

— No popatrz, synku! — zajęczała. — Wszystko mi zmarnował! Co ja z tym zrobię? Kto kupi taką sieczkę? To się nawet do suszenia nie nadaje. . . Mówiłam mu, że nie mam tych, co on lubi. Ja tam psich grzybów nie zbieram, niech sami sobie zbierają, psie syny! A on nic, tylko tę swoją obrzydliwą trupią łapę wyciąga, i do koszyka. . .

— Sami sobie nie nazbierają, babciu. Las za gesty, nie przecisną się pomiędzy drzewami — powiedział Filip, pomagając staruszce przebierać rozsypane szczątki. — Trzeba mieć dla nich zawsze trochę tego, co lubią. Jak dostaną, to dadzą spokój.

— Kiedy tam dadzą, synku! — Babcia sceptycznie machnęła kościstą dłonią koło ucha. — Ja tego nie doczekam. Osiemdziesiąt lat się z nimi użeram i coraz gorzej. . . Dawniej to chociaż w lesie ich nie bywało, a teraz leżą wszędzie, łapska wtykają, żeby im je pokręciło, sobaczym synom. . .

— Chodźmy — powiedział Filip, gdy staruszka, gderając i postępując znikła wśród drzew. — Trzeba nazbierać wieruszek.

— Po co? Kapsy będziesz karmił? — zaśmiał się Nik,

— Co to są wieruszki?

— To grzyby niejadalne. Ale oni za nimi przepadają — wyjaśnił Nik. — Pokaż tylko z daleka taki grzybek, to zaraz masz kapsz z wyciągniętą łapą.

— Jedzą te grzyby?

— Wciągają do kapsu. A potem cały kapsz chwieje się. Tylko że jak się który przewróci, to już sam nie wstanie. Wciągają go do pulwy dźwignikiem.

— Jak pijanego — dodał Filip. — Niektórzy z nich nie potrafią już obyć się bez tych grzybów.

— To ten, co grzebał babci w koszyku. . .

— Wieruszek szukał. Nałogowiec, narkoman — powiedział Filip i schylił się, rozgarniając jagodziny. — O, popatrz, to jest wieruszka.

Pokazał Timowi jasnoszary kapelusz z czerwonym, blaszkowatym spodem.

— Trzeba zebrać z pół koszyka — powiedział.

— I co? — dopytywali się obaj chłopcy, ale Filip zrobił tajemniczą minę i powiedział tylko, że wieczorem sami zobaczą.

— Ja i tak wiem — mruknął Nik. — Będziemy drażnić kapsy.

— Jak to? — zdziwił się Tim. — Przecież to. . .

— Niegrzecznie? — parsknął Filip. — A co? Tak bardzo je lubisz?

— Jakoś... nie myślałem o tym. Po prostu, zawsze się mówi, że to goście, przyjaciele, więc...

— Oczywiście, oczywiście! — Filip przytaknął z ironią. — To wie każde dziecko w szkole. Tylko że goście powinni wiedzieć, kiedy należy zakończyć wizytę. Słyszałeś: nawet babcia Dill, wyjątkowo cierpliwa staruszka, też już czuje się lekko zmęczona tymi przeciągającymi się odwiedzinami...

Tim nic nie odpowiedział, bo nie był pewien, jak to jest wreszcie z tymi Proksami. To, co mówił Filip, łączyło się jakoś z zasłyszonymi urywkami rozmów ludzi dorosłych, wypowiedzianymi półgłosem uwagami, półsłówkami, na które dopiero niedawno zaczął zwracać uwagę.

Filip prowadził ledwie widoczną ścieżynką pośród gęstego, starego lasu. Wieruszek było tutaj sporo. Wkrótce mieli ich ponad pół koszyka.

— Wystarczy — powiedział Filip. — Umyjcie ręce po tym paskudztwie. Tam, za tymi krzakami, powinno być trochę wody w bajorku.

Po chwili siedzieli na ziemi, ocierając mokre dłonie o puszysty dywanik mchu.

— Wstąpimy do Grega — powiedział Filip. — Może sprzeda trochę miodu.

— Też dla Proksów? — domyślił się Tim.

— Niekoniecznie. Ale dobrze mieć parę słoików, kiedy się jedzie przez punkty kontroli granicznej.

Tim wyciągnął się na wznak na mchu. Patrzył w górę, na niebo prześwitujące poprzez korony drzew. Pomyślał o Marcie, której obiecał przywieźć coś z lasu. Szkoda, że nie ma jej tutaj. Tak chciała być w prawdziwej puszczy... Byłoby nieźle zawieźć jej słoik pachnącego, leśnego miodu. W mieście nie ma takiego. Ten, który wydają w sklepach na talony, jest zupełnie do niczego. Tim czuł jeszcze na języku smak miodu, którym poczęstowała go wczoraj stryjenka.

Poczuł nagle bolesne szczyknięcie w łydkę. Poderwał się, wierzgając i podciągał nogawkę. Po nodze biegł jakiś mały owad. Strzepnął go palcami i roztarł ukąszone miejsce. Wyrosła no nim wypukła, czerwona plamka.

— Co się stało? — zainteresował się Nik.

— Coś mnie ugryzło. Takie małe i szybkie. Nik rozgarnął mech koło nóg Tima.

— Mrówki! — zawołał w podnieceniu — Zobacz, Filip! Czerwone!

Trzymał w palcach małego owada, bezradnie przebierającego nóżkami i zaciskającego szczypcowate szczęki. Wszyscy pochylili się nad mrówką.

— Formica rubra! — powiedział Tim z nabożeństwem.

— A ty skąd znasz tę nazwę? — zdziwił się Filip.

— Widziałem w szkole taką planszę z rysunkiem.

— W szkole?

— Tak, ale to była stara plansza. Nauczyciel powiedział, że nieaktualna i że takiego owada nie ma...

— No, to masz okazję przekonać się, jakich prawd cię uczą — pokiwał głową Filip. — Możesz powiedzieć nauczycielowi, że widziałeś na własne oczy.

— Nie powiem, bo on już u nas nie uczy.

— Pewnie z powodu tej planszy?

— Tak myślę, ale nie wiem dlaczego...

— Hej, popatrzcie, tutaj jest całe mrowisko! — zawołał zza krzaka Nik. — Straszne mnóstwo mrówek... Ale fajne!

Po kopczyku, usypanym z igliwia i leśnych paprochów, krzątały się setki ru-

chliwych owadów. Tim patrzył i patrzył, powoli odnajdując celowość w ich krzątaniu. A więc tak wyglądają mrówki!

— Dlaczego mówisz, że one oficjalnie nie istnieją? — spytał cicho, podnosząc wzrok na Filipa.

— Proksowie kazali je wytępić. Sami rozpylają czasem jakieś aerozole, leśnikom też nakazano tępienie wszelkich gatunków mrówek. Według sprawozdań już nie powinno ich być. Ale one nie zamierzają się poddać.

— Dlaczego Proksowie chcą je zniszczyć?

— Tego nikt nie wie.

— A ludzie?

— Starają się, by nie zginęły.

— Dlaczego?

— Dlatego, że oni je niszczą. Widocznie im przeszkadza ich istnienie. A jeśli tak, to może lepiej... niech będą... — powiedział Filip.

— Ale w ten sposób ludzie przeciwstawiają się Proksom, a przecież oni lepiej wiedzą, co i jak trzeba? Przecież to oni kierują naszą cywilizacją, bo są na wyższym poziomie rozwoju i powinniśmy słuchać ich rad, we własnym interesie! — obruszył się Tim.

— Tak uczą was w szkole.

— Więc... to nie jest prawda?

— Owszem, taka sama, jak to, że mrówek nie ma i nigdy nie było — roześmiał się Filip.

— Nik, zostaw je w spokoju!

Trzepnął po łapie brata, który patykami próbował grzebać w mrowisku. Potem popatrzył w prawo i w lewo po krzakach i dodał ciszej:

— Nie bądź Proksem!

Tim przypomniał sobie rozmowę z Maksem i plastikowe rurki, które miał w kieszeni spodni.

— Do czego ludziom mogą być potrzebne mrówki? — spytał, gdy ruszyli w dalszą drogę.

— Słyszałem na stacji, że niektórzy handlują mrówkami...

— Nie wiem. Widocznie ktoś ich potrzebuje — powiedział Filip wykrętnie, lecz Tim wyczuł, że wie, a tylko unika konkretnej odpowiedzi.

— W jakim celu? — Tim nie ustępował.

— Może ktoś chce je sobie hodować w domu, jak złote rybki.

— Nie powiesz? — nastroszył się Tim. — Myślisz, że jestem za młody, żeby ze mną o tym rozmawiać.

— Nie o to chodzi... A zresztą, widocznie jesteś rzeczywiście za młody, jeśli sam nie rozumiesz... że nie o wszystkim się mówi. Proksowie kazali mrówki wytępić, więc ich nie ma i już. Jeśli komuś są potrzebne, to...

— Wbrew Proksom...

— Właśnie. Nie rozmawiaj o tych sprawach przy obcych. Ludzie są różni.

Dalej szli w milczeniu, zagłębiając się w coraz gęstszy, stary las. Gałązki biły po twarzach, kiedy przedzierali się poprzez zwarte zarośla niskich krzewów, witki jeżyn chwyciły za nogi ostrymi igielkami kolców. Ścieżka zniknęła zupełnie, lecz Filip prowadził pewnie i ani na chwilę nie wahał się z wyborem kierunku. Tim czuł, że pozostawiony tutaj nie potrafiłby odnaleźć powrotnej drogi.

Zupełnie niespodziewanie znaleźli się na małej polance. Po jej przeciwległej

stronie, wśród drzew i krzewów leszczyny, widać było niewielką chatę ze szerniałych bali, pokrytą starym gontem, na którym gęsto pienieł się zielony mech.

Chata miała dwa okna i drzwi wychodzące na stronę polany. Przed nią, na ławce, siedział drobny staruszek o mlecznych włosach i rozwichrzonej siwej brodzie. Gdy się zbliżali, podniósł głowę i wtedy Tim zobaczył jego wyraziste i bystre oczy, błyskające spod szerokich, białych brwi,

— To ja, Filip! Dzień dobry, dziadku Greg! — zawołał Filip.

— Widzę, widzę. Krzyczeć też nie musisz. Oczy i uszy mam jeszcze w porządku — powiedział staruszek gderliwie, ale uśmiechnął się przy tym dobrodusznie. — Dawno cię tu nie było. Kogo mi prowadzisz?

— To moi bracia — wyjaśnił Filip. — Nika dziadek zna, ale zmienił się trochę od zeszytych wakacji.

— Poznają.

— A to jest nasz stryjeczny, z zagranicy.

— O! — ożywił się dziadek. — Z daleka?

— Nie bardzo — powiedział Tim, — Trzy kwadraty stąd.

— Ma dziadek trochę miodu do sprzedania? — zagadnął Filip.

Greg poskrobał się w głowę. Milczał przez chwilę, rozważając coś w myślach.

— Będzie — powiedział wreszcie. — Ale nie mam dużo.

Kiepski rok. . . Do tego jeszcze Proksy mnie tu nachodzą. Musiałem wszystkie ule głębiej do lasu przenieść, bobym nie upilnował.

— Kradną?

— Teraz nie. Ale wiosną dobrali mi się do paru pni. Zeżarły wszystko, co im w łapy wpadło, Razem z pszczołami i woskiem. Tacy, dranie, pazerni na miód! Chodźcie przywitać się z pszczołkami.

Staruszek wstał i ruszył w stronę lasu za chałupą. Poszli za nim. Tim zauważył, że Greg trzyma się zupełnie nieźle, jak na swoje sto lat. Nie przypuszczał, że można w tym wieku wyglądać tak dobrze. Greg prowadził ich do pasieki. Była niedaleko, ule stały między drzewami. Tim naliczył ich ponad trzydzieści.

— Sporo tego — zauważył Filip.

— To jeszcze nie wszystko — pochwalił się Greg.

— Część wywozłem na drugi koniec lasu. Tam sadów więcej, gryka kwitnie, lipy. Tylko z jednym niedobrze: że blisko granicy.

— A co to szkodzi? — zdziwił się Nik.

— Nie byłeś nigdy na granicy? Kamyków nie rzucależ? — uśmiechnął się dziadek. — Pszczołki nie uznają granicy, biedactwa. Mądre są, nauczyły się uważać, ale i tak mnóstwo ginie. Kiedy po drugiej stronie granicy zaczynają jesienią kwitnąć wrzosy, muszę co prędzej zabierać stamtąd ule. A kiedyś mi się wyroiły i poleciały, nie zdążyłem złapać. . . Cały rój poszedł nad fladry, aż żal było patrzeć. Tylko błyskało i swąd szedł. Płakać się chciało. Taki piękny rój. . .

Obeszli ule nie podchodząc zbyt blisko, bo pszczoły bzykając wojowniczo krążyły wokół nich.

— Pszczołki są mądre — ciągnął Greg, zawracając ku domowi. — Teraz już coraz mniej ich ginie w ten sposób. Ale na początku. . . Nie tylko one. Dawniej było tyle ptaków. . . Nie ma ptaków, ledwie parę gatunków zostało, tylko te osiadłe. . . Zwierzyna mniej ucierpiała, fladry pomogły. Ale ptaki, motyle, inne fruujące owady. . . Szkoda.

Tim wiedział, że kiedyś były różne ptaki. Znał tylko miejskie wróble i gołębie.

O wielu innych słyszał, że wyginęły. Ale dlaczego — nikt nie wyjaśnił, a Tim nie próbował dociekać. Wyginęły dinozaury, mamuty, to i ptaki też widocznie musiały. Zmiana warunków. Teraz dopiero uświadomił sobie prawdziwą przyczynę. . .

— Pamiętam, jak stawiali te wieżyczki. . . — Greg usiadł na ławce przed domem i opowiadał dalej, z przymkniętymi oczami, jakby mówił sam do siebie. — Kapsy kierowały robotą, a jak wieżyczka była gotowa, toran przywoził agregat laserowy. Ludzie nie wiedzieli, co to będzie. Pytali jeden drugiego, domyślali się. . . Wszystko to razem nazywało się „system bezpieczeństwa” i nikt nie spodziewał się, co z tego wyniknie. Ludzie byli wyczuleni na bezpieczeństwo. Inwazja napędziła strachu, każdy ufał Proksom, bo gwarantowali bezpieczeństwo. A oni zrobili granice. Dali plany, kazali postawić. Myśleliśmy, że to na Elgomajów, ale to było na nas.

— Dlaczego to zrobili? — spytał Tim, gdy staruszek przerwał na chwilę opowieść.

— Żeby nas podzielić. Na małe kawałki, każdy osobno. Łatwiej kontrolować i ograniczać. Cywilizację można budować tylko wysiłkiem wielkich społeczności, współpracą, wymianą informacji. Chcieli nas zatrzymać, zastopować. Cofnęli nas nawet. Teraz to już na pewno jesteśmy gorsi od nich.

— Chyba. . . zawsze nas przewyższali? — zauważył Tim.

— Może trochę. Ale nie tak bardzo. A teraz to już na pewno nad nami górują. Rozbroili nas, bo oni nas bronią. Zlikwidowali badania kosmiczne, bo oni i tak więcej wiedzą o Kosmosie, niż my zdołalibyśmy się dowiedzieć. Nie pozwalają rozwijać nauki, poza wyznaczonymi dziedzinami. Pokawałkowali ludzkość, rozmieścili równomiernie na wszystkich lądach. . . Na oko, same stąd korzyści. . . Okazało się, że daleko do przeludnienia i klęski głodu, jeśli się wykorzysta wszystkie obszary, leżące dotąd odłogiem i nie zamieszkane. . . Na zbrojenia się nie wydaje, na Kosmos. Rozwija się rolnictwo, produkcję dla ludzi. Nikt nie głoduje.

— Więc jak to jest, dziadku, naprawdę z tymi Proksami dobrzy są czy źli? — wtrącił Nik.

Greg milczał i uśmiechał się, patrząc na swoją dłoń. Usiadła na niej pszczoła, obładowana kwiatowym pyłkiem. Wędrowała teraz wzdłuż chudego palca, próbując poderwać się do lotu. Starzec pstryknął palcami, pszczoła bzyknęła i uniosła się w górę, szybując w stronę pasieki.

— Jacy są? . . . Ani dobrzy, ani źli. Są sprytni po prostu powiedział bartnik. — Czy wiecie, co robię, by moje pszczołki chciały produkować dużo miodu? Zabieram im ten miód, wyjmuję z ula pełne plastry i wstawiam puste. Ułatwiam pszczołom ich pracę. Dostają gotowe plastry, z pustymi komórkami do wypełnienia, A na zimę daję im cukier zamiast miodu, który zabrałem. Opiekuję się nimi, osłaniam ule przed mrozem, tępie szkodniki. A kiedy się pszczoły wyroją, osadzam nowy rój w przygotowanym ulu, nawet miodu im daję trochę na początek, jak myślicie, czy jestem dla nich dobry, czy zły?

Greg uśmiechnął się. Zmarszczki na jego policzkach koło ust układały się w ironiczny grymas.

— Tak, tak. . . — powiedział powoli. — One pracują, a ja ich bronię. Służę moimi możliwościami i wiedzą. Czasem mnie któraś użądli, ale nie gniewam się o to na pozostałe. Co one o mnie myślą? Nawet nie bardzo mnie to interesuje. Ważne, że robią dla mnie miód. Lubię, je, nie krzywdzę — bo byłoby to wbrew

moim interesom! A one wiedzą, że nie ma na mnie sposobu. Żal im może tego miodu, ale cóż mogą zrobić? Muszą płacić za to, co robię dla nich! Mam siatkę na twarzy, gdy podbieram miód. Bronią go trochę, ale i tak im zabiorę. Każdy rój broni tylko swojego ula, nic go nie obchodzi, że właśnie okradłem sąsiadów! Mnie zależy na miodzie, więc nie pozwoliłbym pszczołom, by sobie podróżowały z ula do ula, politykowały przeciwko mnie, wymyślały nowe rodzaje jadu przeciw wrogom, robiły jakieś pszczele wynalazki. . . Nie patrzyłbym zbyt przychylnie na prowadzone przez nie badania naukowe — chyba że dotyczyłyby produkcji miodu albo wychowania młodych pszczołek. Nie pozwoliłbym na nadmierny wzrost ilości trutni. Wyrzucałbym trutnie z ula, gdyby pszczoły same tego nie robiły! A już na pewno nie pozwoliłbym badać moich obyczajów i słabostek, mojej anatomii i fizjologii. Po co im to wiedzieć?

— Ale, gdyby tak wszystkie, solidarnie. . . — powiedział Filip.

— Pewnie, pewnie. . . Mogłyby mnie zakłuć żądłami, gdy śpię. Ale takie mądre jeszcze nie są! — powiedział Greg wstając. — Chodź, Filipie, dam ci trochę miodu, ale pomóż mi wydobyć beczkę z piwnicy. Trudno mi chodzić po drabinie, a w domu nie trzymam, bo Proksowie zwęszą i zabiorą. Przylatują tutaj coraz częściej, łapy przez okno do chałupy pchają. . .

Wszedł z Filipem do wnętrza chaty, a Tim i Nik przyglądali się z daleka pracującym pszczołom. Polana porośnięta była kwitnącymi kępami ziół, pszczoły krążyły ociążale wśród kwiatów, ich granie wisiało nad polaną jednostajnym szmerem. „Wyglądają na zadowolone, może nawet są szczęśliwe — pomyślał Tim. — Słońce, ciepło, pod dostatkiem pyłku i nektaru. Pracują spokojnie, są bezpieczne, bartnik czuwa nad nimi. Ani myślą się buntować. Nawet nie czują się wykorzystywane. . .”

Z chaty wyszedł Filip z blaszonym wiaderkiem, przykrytym pokrywką, a za nim Greg, niosąc trzy fajansowe miseczki i łyżki.

— Spróbujcie — podsunął chłopcom miseczki z ciemnym, leśnym miodem.

Usiedli na trawie, a Greg przycupnął na brzegu ławki i patrzył z zainteresowaniem, jak lizali łyżki, jakby szukał na ich twarzach potwierdzenia najwyższej jakości produktu swoich pszczoł.

— Pan był żołnierzem, dziadku Greg? — zagadnął Tim. — Byłem. Bardzo to dawne czasy. . . — Greg usiadł wygodniej.

Filip i Nik spojrzeli na siebie ukradkiem, porozumiewawczo.

— Niech nam dziadek opowie o inwazji — powiedział Nik przymilnie.

— Ech, tyle razy słyszeliście.

— Ale Tim nie słyszał. To przecież jedyna okazja, bo chyba nikt już tego nie pamięta oprócz dziadka!

Starzec pokiwał smętnie głową.

— Tak, tak. . . Nie ma już tych dzielnych chłopców z Pierścienia. . . Było nas wielu, trudno było, ale pięknie, wspaniale. . . Każdy dał z siebie wszystko. Przecież chodziło o cały nasz glob. . . Szkoda, że tyle wysiłku, tyle poświęcenia poszło na marne. . .

— Jak to: na marne? Przecież. . .

— Na marne, chłopcze. Wiem, co mówię. Wszystko przez naczelne dowództwo. Gdyby pozwolono nam działać do końca. . . Nam, znającym sytuację. . . Może byłoby teraz inaczej. Ale oni, generałowie ze sztabu, którzy nigdy nie byli na orbicie Pierścienia, dali się omamić. . . Ja byłem w zwiadzie, wiem najlepiej.

Mój dowódca posyłał meldunek za meldunkiem, ostrzegał. Ale generałowie ugięli się, chcieli wszystko szybko zakończyć. Nie dostaliśmy nowych rakiet, a przecież były... Było ich dość na Ziemi, cały zapas, który przygotowali ludzie przeciw ludziom... Można było to wreszcie wykorzystać: odeprzeć, zniszczyć najeźdźcę...

— Przecież został pokonany! — zauważył Nik z przekonaniem, ale Tim wy-czuł nutę prowokacji. — Przy pomocy Proksów.

— Biedne dzieci! — Greg pokiwał głową z politowaniem. — Zupełnie jak nasze naczelne dowództwo, tacy naiwni... Pamiętam ten meldunek. Sam go przekazałem: „Przeciwnik w sile czterdziestu rakiet, z radiantu Małego Psa, odległość trzy jednostki astronomiczne. Za nimi dalsze sto dwadzieścia rakiet, większego kalibru: Natychmiast dostarczyć pociski termojądrowe, po dziesięć na każdą platformę w Pierścieniu Zewnętrznym!”. A wkrótce potem — drugi meldunek: „Druga grupa rakiet zaatakowała i rozbiła pierwszą. Sygnalizują otwartym tekstem, w trzech językach ziemskich. Podają się za sprzymierzeńców. Przedstawiają się jako mieszkańcy układu Proximy Centauri. Pytają o zezwolenie wejścia na orbitę parkingową poza Pierścieniem”. Dodatkowych pocisków nie dostaliśmy. Ze sztabu przyszedł rozkaz zaprzestania ognia i zezwolenia przybyszom na zaparkowanie. Nie odbierałem tego meldunku, byłem wtedy ranny, ale słyszałem wszystko. Dowódca sam obsługiwał radiostację. Próbował jeszcze przekonywać Sztab, ale nie usłuchano go. Potem zaczęły się pertraktacje z Proksami. Otaczali nas pierścieniem, przybywało coraz więcej ich statków, a my nie mieliśmy już ani jednej głowicy, ani jednego pocisku. W tej sytuacji trudno było stawiać jakiegokolwiek warunki. Oni byli silniejsi, oni rozpędzili wrogie rakiety i teraz oferowali nam pomoc... Gdyby na czas dostarczono nam broń... Ale co tu wspominać...

— Dalibyście sobie radę z tymi czterdziestoma rakietami? — spytał Nik.

— Nie tylko, Z tamtymi stu dwudziestoma także.

— Przecież to byli sojusznicy!

Starzec uśmiechnął się chytrze. Patrzył przez chwilę na Tima i Nika, jakby wahając się, czy powiedzieć, czy przemilczeć to, co najwyraźniej cisnęło się na usta,

— Pomyślcie! — powiedział. — Gdzie Proxima a gdzie Procyon! A oni nadlatywali z tego samego kierunku, radiant był w Małym Psie! A poza tym — skąd znali nasze języki, jeśli przybyli tylko na skutek najazdu Elgomajów? Musieli być tu wcześniej, obserwować, podsłuchiwać! Po co? Żeby nas potem bronić? Według Proksów, wyruszyli oni nam na pomoc, gdy dostrzegli flotę Elgomajów zmierzającą ku nam. To prawdopodobne. Do Procyona jest ponad dziesięć lat świetlnych. Do Proximy — nieco powyżej czterech. Mogli dotrzeć i zdążyć. Mogli znać Elgomajów i ich zamiary. Ale dlaczego nadlatywali z tego samego kierunku, ścigając wroga, zamiast nadlecieć od strony Proximy? Gdyby przecięli im drogę, lecąc ze swego układu, mogli zniszczyć ich o wiele wcześniej. A oni lecieli dokładnie tym samym torem, za nimi! Któż znał przedtem Elgomajów? Albo Proksów? Nikt nie wiedział o istnieniu jednych i drugich. Kto jest kto i skąd? Kto jest naprawdę, a kto — na niby? Pomyślcie, chłopcy...

Tim i Nik spojrzeli na siebie. Tylko Filip jakby nie był zaskoczony sugestiami Grega. Może słyszał to już wcześniej. Albo — wiedział, jak było naprawdę...

— Czy wiecie, co robi pszczelarz, by schwytać rój, który wyroił się z ula? — ciągnął bartnik. — Otóż trzeba rój zmusić, by osiadł na gałęzi. Pszczelarz zwykle pryska wodą na lecącą gromadę pszczół. One myślą, że pada deszcz. Deszcz

jest dla pszczoł niebezpieczny. Mokre skrzydełka uniemożliwiają lot. Zagrożony nieprawdziwym deszczem rój zbija się ciasno, tworząc gruszkowaty kłęb, i zawisa na gałęzi. Wtedy pszczelarz — ten sam, który deszcz wywołał — ratuje pszczołki przed zmoknięciem: odcina gałązkę z rojem, podstawiając pod nią worek. A potem osiedla rój w wygodnym, przygotowanym ulu, Pszczoły, wdzięczne za pomoc, ochoczo przystępują do dzieła, a potem chcąc nie chcąc, dzielą się z bartnikiem pożytkami ze swej pracy...

— Więc... dziadek twierdzi, że Proksowie... i Elgomaje... że istnieją tylko jedni...?

— Ja niczego nie twierdę — zachichotał staruszek. — Ja tylko widziałem te wszystkie pociski, które niszczyliśmy naszymi raketami, nim nadlecieli Proksowie. Groźnie wyglądały, efektownie wybuchwały ale rozpadały się jak skorupa Jajka... Jeden z tych, co nadleciały jako ostatnie, przedarł się przez naszą zapórę raketową i zapędził się w pobliże platformy, gdzie była moja baza. Był zbyt blisko, by weń uderzyć ładunkiem jądrowym. Zestrzeliliśmy go konwencjonalną raketą. Niezbyt celnie trafiony, rozpadł się wprawdzie, ale duże odłamki poleciały w różne strony. Jeden trafił w platformę. Moja rakietka zwiadowcza została uszkodzona, a ja dostałem odłamkami. Zaraz wam pokażę te kawałki elgomajskiego pocisku, wydobyte spomiędzy moich zeber...

Przyniósł z domu kartonowe pudełko. Na jego dnie leżały trzy niekształtne okruchy metalu. Chłopcy oglądali je ciekawie, obracając w palcach.

— Lekki metal — zauważył Tim.

— Nie wiadomo, czy metal. Może jakiś spiek ceramiki z metalem — zastanawiał się Filip — Czy może mi dziadek pożyczyć jeden kawałek? Oddam niedługo.

— Weź. Domyślam się, co chcesz z nim zrobić. Sam o tym myślałem, ale nigdy jakoś nie udało mi się znaleźć kogoś, kto mógłby to zrobić...

— Pójdziemy już, dziadku Greg — powiedział Filip wstając. — Wpadnę tu jeszcze za parę dni.

— Zawsze, kiedy zechcesz! — Greg poklepał go po plecach. — Wierzę w was, chłopcy. Może naprawicie nasze błędy... Zaraz dałem ja wam ten miód czy nie? Ach, tak, dałem przecież! No, to uważajcie, żeby wam Proksowie nie odebrali. Idźcie cały czas lasem.

Stał na progu, patrząc za odchodzącymi. Jego oczy przygasły jakby, przygarbił się, zmalął.

— Biedny staruszek — powiedział Nik cicho. — Tak lubi mieć słuchaczy. Żyje przeszłością. Pamięta wszystko z tamtych czasów. Albo wydaje mu się, że pamięta. A o tym, co było przed chwilą, zapomina.

— To normalne w jego wieku, i tak trzyma się świetnie — powiedział Filip. — Odkąd go pamiętam, wygląda tak samo. Pewnie używa pszczelego mleczka.

— To pszczoły robią i mleczko? — zdziwił się Tim.

— Tak się nazywa substancja do karmienia larw. Wyrastają z nich potem pszczoły matki, przywódczyni rojów — wyjaśnił Filip. — A z innych, karmionych przetworami z pyłku kwiatowego, powstają zwykłe robotnice.

Wracając, Tim milczał i rozważał to, co usłyszał. Porównywał te nowe wiadomości ze wszystkim, co słyszał dotychczas o ludziach i Proksach. Pomyślał, że to, co wiedział ze szkoły, z książek, gazet, telewizji — tak sielankowe, proste, jednoznaczne, było jakby tym pyłkiem i nektarem, którym karmione pszczołki

miały wyrosnąć na dzielne, pracowite robotnice, zbierające miód dla mądrego bartnika. . .

Ojciec Tima wybrał się ze stryjem na jakąś wyprawę myśliwską i nie wyglądało na to, by mieli wrócić przed nocą. Obiecana rozmowa z ojcem, której Tim tak oczekiwał, znów się odwlekła. Chłopiec czuł, że ojciec mógłby mu wiele wyjaśnić, dopomóc w uporządkowaniu tych wszystkich nowych wiadomości, które nijak nie dawały się wpasować w znane Timowi schematy wiedzy o świecie.

Filip zniknął zaraz po obiedzie, zjedzonym przez wszystkich trzech z dużym opóźnieniem i jeszcze większym apetytem. Nik zajęty był odrabianiem jakichś domowo-gospodarskich obowiązków, poganiany przez matkę, która też miała pełne ręce roboty. Chcąc nie chcąc, Tim sięgnął po podręcznik historii, zabrany właściwie tylko dla spokoju sumienia.

Wyciągnięty na trawie, tuż za parkanem, kartkował książkę, nie mogąc zdecydować się, od czego zaczynać czytanie. Lekki witar bezgłośnie poruszał liśćmi młodych brzoźek, słońce zaszło już za wierzchołki lasu. W mieście nie było tych popołudniowych chwil spokoju i ciszy, wypełniał je największy tumult na ulicach i program telewizji wewnątrz każdego mieszkania. Tu dopiero Tim odczuwał, jak nigdy przedtem, potrzebę myślenia. Myśli same rodziły się w głowie i nie płoszone zewnętrznym hałasem układały się w długie ciągi, powiązane luźno chwilowymi skojarzeniami.

Tim zaczynał rozumieć, dlaczego tutaj ludzie myślą inaczej niż w mieście, dostrzegają coś jeszcze poza wybranym zestawem informacji podawanych w szkole, w telewizji, w gazetach. . . Z pszczelej larwy można wyhodować królową, trutnia albo pracowitą, zdyscyplinowaną zbieraczkę miodu. Wszystko zależy od sposobu karmienia.

„Wprowadzony po odparciu inwazji system podziału administracyjnego umożliwił równomierne zagospodarowanie całego obszaru łądów i odpowiednie rozmieszczenie ludności. Zniknęły gęsto zaludnione, głodujące obszary Ziemi. Nastąpiło wyrównanie poziomu życia wszystkich obywateli naszego globu, możliwe tylko przy ścisłej kontroli migracji ludności”. To zdanie z podręcznika historii, dotychczas jasne i bezapelacyjne słuszne, wywoływało teraz szereg wątpliwości.

Jeśli wyrównano poziom życia w poszczególnych kwadratach, to dlaczego przesiedlenie uważane było za rodzaj kary? Czyżby istniały „gorsze” i „lepsze” kwadraty? A klimat, warunki naturalne? Przecież ich nie wyrównywano w skali całego globu. To, czego uczyły podręczniki, musiało być grubym uproszczeniem rzeczywistości. . .

Albo takie zdanie:

„Władzę w każdym kwadracie sprawuje Rada, na czele której stoi kwadratowy. Sprawy dotyczące całego globu rozstrzygane są na forum Zgromadzenia Zjednoczonych Kwadratów, którego decyzje są ostateczne i obowiązują wszystkie kwadraty. Nie mogą one jednakże być sprzeczne z podstawową zasadą nierozrwalnej więzi z przyjazną nam cywilizacją Proximy Centaura, która gwarantuje nam wieczystą pomoc i obronę”.

Pszczelarz nie miesza się do spraw pojedynczej pszczoły ani do struktury władzy w społeczeństwie pojedynczego ula. Interesuje go miód z całej pasieki. Gdyby

próbował zmuszać pszczoły, by inaczej organizowały się wewnętrznie, pewnie by było gorzej z tym miodem. Ale kiedy cały rój chce uciec z pasieki — pszczelarz interweniuje.

Co jest miodem w tym przypadku? Tim wiedział, że za obronę Ziemi trzeba Proksom płacić. Określają oni dość jasno, co jest im potrzebne, interesują ich przede wszystkim naturalne produkty roślinne i zwierzęce. Dlatego tak bardzo duży nacisk kładzie się na rozwój rolnictwa, leśnictwa, hodowli ich wymagania jednakże nie mogą przekraczać możliwości ludzi. Są na tyle mądrzy, że zdają sobie z tego sprawę. Określają pewne minimum potrzeb ludzkich i zabierają tylko nadwyżki, tak jak pszczelarz, który nie zabiera pszczołom całego miodu, bo zniszczyłby rój i wkrótce nie miałby nic. A kiedy trzeba, nawet daje pszczołom namiastkę — cukier. Tim pamiętał jeszcze, jak dwa lata temu jadło się jakieś dziwne produkty, zupełnie bez smaku, ale dość pożywne. Mówiło się wówczas, że wobec nieurodzaju Proksowie udzielili nam pomocy i przysłali transport preparatów białkowych..

Tim coraz lepiej rozumiał sens tej gry. Ludzie są całkowicie zależni od Proksów. Bez względu na to, czy istnieje, czy nie owo zagrożenie zewnętrzne, przed którym mają nas bronić, Proksowie są zbyt silni, zbyt przewyższają ludzi pod względem stopnia rozwoju, by można było im się przeciwstawić. A ponieważ zajęli pozycję sojusznika, nie wypada nawet próbować z nimi walczyć. Otwarta walka przyniosłaby zresztą klęskę. Ich poziom techniczno-cywilizacyjny przytłacza ludzi całkowicie, nie dając żadnej szansy uwolnienia się z tej opieki. Tym bardziej że wszyscy od dzieciństwa wierzą niezachwianie w decydujące znaczenie Proksów dla istnienia naszej planety... Dla tego każdy niezależnie od tego, co wie o Proksach, robi dobrą minę do tej wątpliwej gry, udając, że wszystko jest w porządku tylko takie wyjaśnienie mogło tłumaczyć podwójne poglądy głoszone przez ludzi: inne oficjalnie, inne w gronie bliskich i zaufanych, po dokładnym rozejrzeniu się wokoło i sprawdzeniu, czy nikt nie podsłuchuje.

Filip wrócił przed zmrokiem. Zapowiedział chłopcom, że będą mu potrzebni tego wieczora. Był podekscytowany, nie opowiadał na pytania, niewątpliwie obmyślał jakiś plan. Wreszcie, spojrzawszy na zegarek, dał znak chłopcom, wysłał Nika do szopy, gdzie zostawili koszyk z grzybami, powiedział coś półgłosem do matki w kuchni i pogwizdując wyszedł na drogę. Chłopcy podążyli za nim, w odległości paru kroków, niepewni, jak należy się zachowywać. Pachniało podchodami albo jakąś konspiracją...

Na leśnej drodze, którą szli w kierunku szosy, było już ciemno. Filip maszerował przodem, za nim Tim, a na końcu Nik z koszem. Zanim wyszli z lasu, Filip zatrzymał się i przywołał chłopców gestem dłoni.

— Musimy przeprowadzić szybką i bezbłędną akcję — powiedział. — Najlepiej nie pytajcie o nic, bo szkoda czasu, a niekiedy dobrze jest nie wiedzieć zbyt dużo. Upprzedzam tylko, że to nie będzie zabawa. Który ma stracha, niech od razu powie!

Patrzyli mu w oczy obaj, żaden wzroku nie spuścił aby nie być posądzonym o tchórzostwo.

— Musi się wszystko udać bo sprawa jest niezwykle pilna, a w razie niepowodzenia trudno będzie to powtórzyć. Posłuchajcie...

Zniżył głos do szeptu, wyjaśniając im szczegóły przedsięwzięcia. Potakiwali głowami, choć nie wszystko było dla nich jasne. Pytania same pchały się na usta, lecz powstrzymywał i je, mając na uwadze napomknienie Filipa.

Ruszyli dalej szosą wzdłuż torów kolejowych, biegnących równolegle w odległości kilkunastu metrów, na niskim nasypie o łagodnych zboczach. Teraz, po wyjaśnieniach Filipa, byli bardziej skupieni, poważniejsi. Wiedzieli już, że nie chodzi o zabawę, lecz o coś ważnego. To nie był nawet rodzaj podchodów czy polowania. Przypominało to raczej akcję dywersyjną z zamierzonych przedinwazyjnych czasów.

W gęstniejących ciemnościach minęli przejazd kolejowy na odgałęziającej się lokalnej drodze i posuwali się dalej w kierunku stacji. Widać już było światła czerwonych sygnałów nad torami i zarys wiaty nad peronem, gdy Filip zatrzymał się i zszedł z drogi na stronę plantu kolejowego. Tory biegły tutaj prawie na tym samym poziomie co korona szosy. Prostopadle do nich przebiegał dość szeroki rów melioracyjny, niknący, w betonowym kręgu przepustu i pojawiający się dalej, po drugiej stronie linii kolejowej.

Tim spojrzął za siebie. Droga i tory zakręcały szerokim łukiem, po którego wewnętrznej stronie był wysoki las. Za torami rozciągał się stumetrowej szerokości pas łąki. Rów melioracyjny przecinał ją, biegnąc w kierunku zagajnika.

— Tutaj — powiedział Filip i popatrzył w kierunku stacji. — Osobowy będzie za niecałe pół godziny. Oni zwykle kręcą się po peronie, kiedy przyjeżdża ten pociąg.

— Tak, widziałem ich, gdy przyjechaliśmy — wtrącił Tim.

— Będą tędy przelatowali. Zawsze latają nad drogami. Trzeba ich tu zatrzymać. Nik, zadanie dla ciebie: kiedy się pokażą, zaczniesz iść środkiem drogi i wymachiwać koszykiem. Cofnij się ze sto kroków, tak aby dogonili cię mniej więcej w tym miejscu. Idąc, upuść parę grzybów, ale nie za dużo, żeby się nie zatrzymali za wcześniej. . .

— Zobaczą w ciemności te grzyby?

— Nie bój się. Oni nie posługują się wzrokiem o tej porze. Na pewno zobaczą. Robiono już takie eksperymenty i wiadomo. . . Zresztą, nie ma czasu na pogawędki. Dalej wiesz, co robić. Teraz ty, Tim. Przejdiesz na drugą stronę torów. Tutaj masz stoper — Filip podał Timowi staroświecki czasomierz. — Schowaj się za tamtą kępą krzaków i nie spuszczaaj oka z kapsu, który znajdzie się po drugiej stronie torów. Zmierz czas od chwili, gdy minie go elektrowóz, do momentu gdy się przewróci. Potem szybko do zagajnika. No to na stanowiska!

Rozbiegli się w różne strony, Filip dał nura w wysoką trawę porastającą brzegi rowu i po chwili tylko jego głowa wystawała z betonowej rury przepustu.

— Już są! — zawołał z szosy Nik stłumionym głosem. Tim popatrzył wzdłuż szarzejącej smugi asfaltu. Ponad wierzchołkami drzew widać już było poświatę wschodzącego księżyca, lecz jego tarcza nie pojawiła się jeszcze nad lasem. Niżej, zza zakrętu, wypłynęło zielone światelko pulwy. Płynęła nad drogą jak czasza czarnego parasola, pod którym brak było niosącego go człowieka. Jej zarys słabo odcinał się od ciemnego tła i trudno było określić odległość.

Tim spojrzął w drugą stronę. Światło semafora na stacji zmieniło się właśnie z czerwonego na zielone, otwierając drogę pospiesznemu, który powinien lada chwila wynurzyć się zza zakrętu.

„Są chyba za daleko — pomyślał Tim. — Jeśli pospieszny przeleci zbyt wcześnie...”

Popatrzył na zegarek. Nie, do pospiesznego było ze cztery minuty. Pulwa szybowała już bardzo blisko, tuż za Nikiem, który wywijając koszykiem udawał, że nie ma pojęcia o jej bliskości. Dopiero gdy parasol pulwy zawisł tuż nad jego głową, Nik znakomicie udał zaskoczenie i przestraszony, podskoczył jak oparzony i wytrząsając z kosza kilka grzybów uciekł na pobocze, kierując się na drugą stronę torów.

Pulwa zatrzymała się i opadła na szosę. Nik zwolnił nieco i obejrzał się przez ramię. Z otwartego wjazdu gramoliło się szare jajo kapsu. Po chwili drugi kaps też ześlizgnął się na drogę. Podczas gdy pierwszy wysuniętym chwytakiem zagarniał rozsypane przez Nika wieruszki, drugi sunął za chłopcem, kołyszając się niezgrabnie i usiłując rozwinąć maksymalną prędkość. Tim, obserwujący tę scenę zza krzaka, pomyślał, że nigdy dotąd nie widział tak szybkiego kapsu, aczkolwiek tempo jego poruszania się nie przekraczało prędkości normalnego ludzkiego marszu.

Nik znowu przyspieszył, przeskakując tory. Przebiegł jeszcze kilkanaście kroków, obejrzał się przez ramię i widząc kaps z trudem forsujący syplące zbocze torowiska, potknął się zgrabnie i runął na ziemię wypuszczając koszyk tak z pewnością, że cała jego zawartość znalazła się w trawie. Podniósł się na tyle szybko, by umknąć przed kapsem, rzucającym się z wyciągniętym chwytakiem na rozsypane grzyby. Drugi kaps schował chwytak — widocznie już pozbił wieruszki z asfaltu — i pospieszył w ślad za pierwszym, by podzielić z nim zdobycz. Nie zdążył jednakże. Znieruchomiał, jakby oprzytomniały nagle w swym wieruszkowym szaleństwie, zakołysał się w tył i w przód i znów zamarł w bezruchu.

Zza zakrętu torów wynurzyły się nagle ślepie pospiesznego. Kaps, który gonił przed chwilą Nika, dostrzegł pociąg o kilka sekund później. W pierwszej chwili zachwiał się gwałtownie i ruszył z powrotem w stronę, drogi, zaraz jednak dotarło widać do świadomości zamkniętego w nim Proksa, że nie ma mowy o tym, by zdążył przebyć tory przed pociągiem. Szarpnął się w tył, zawirował w miejscu i zastygł, jak zahipnotyzowany reflektorami elektrowozu, który był już o kilka metrów. Tim, wpatrzony w kaps, z palcem na przycisku stopera, dostrzegł chwytak wysunięty na całą długość z korpusu w kierunku toru, jakby tym bezsilnym, rozpaczliwym gestem chciał zatrzymać pędzący pociąg.

Elektrowóz przemknął obok kapsu. Tim wcisnął guzik stopera. Kaps zachwiał się silnie, jego kołysanie było coraz wolniejsze, odchylenia od pionu coraz większe i nim minął go ostatni wagon, leżał już bez ruchu ze zwisającym bezwładnie chwytakiem. Zielonkawe światło na końcu owalnego cielska gasło powoli.

Tim spojrzął na tarczę stopera, ale było zbyt ciemno, by dokładnie odczytać wynik pomiaru, wszystko nie trwało jednak dłużej niż kilka sekund. Tim poszukał wzrokiem Filipa i dostrzegł jego sylwetkę wyskakującą z rowu. Filip wbiegł na tory tuż za ostatnim wagonem, pochylił się i natychmiast zawrócił biegiem w kierunku Tima. Drugi kaps stał wciąż na skraju drogi, kołyszając się lekko. Światło na jego szczycie miarowo drgało, przygasając i rozbłyskując na przemian. Tim nigdy dotychczas nie widział niczego podobnego...

— Na co czekasz? Biegiem do zagajnika! — syknął Filip mijając Tima, — Udało się!

Tim pobiegł za nim. Przy pierwszych drzewach lasku czekał Nik.

— Mieliśmy szczęście. Nikomu dotychczas nie udało się tego zdobyć — powiedział Filip, pokazując półtorametrowy odcinek przewodu. — Podeszliśmy ich. Wcale nie są tacy mądrzy, jak się powszechnie uważa. A w każdym razie nie wszyscy.

— Podobnie jak ludzie: bywają mądrzejsi i głupszy — zauważył Tim.

— Święta racja, bracie. Ty sam to stwierdziłeś. A całe pokolenia ludzi wbiły sobie do głowy, że obca, wysoko rozwinięta cywilizacja musi w całości składać się z geniuszy. Zasugerowaliśmy się własnymi doświadczeniami. Kiedy przed inwazją próbowano pierwszych wypraw w Kosmos, wybierało się do tego najlepszych. Nie zdążyliśmy osiągnąć tego stanu, kiedy praca na planetach innych układów staje się ciężką, niewdzięczną robotą i trzeba szukać chętnych nie tylko wśród uczonych. . .

Tim milczał. Przed oczyma miał jeszcze obraz kapsu z bezsilnie wyciągniętym chwytkiem. Było w tym coś tragicznego, wstrząsającego. . .

— Filip! — powiedział po długiej chwili. — My go zabiliśmy, tak? On nie może bez tego ogona, po ciemku. . .

— Widziałeś, jak fiknął. Ile to trwało, od przecięcia przewodu?

— Pięć i trzy dziesiąte — Tim spojrzał na stoper, który Filip oświetlił latarką. — Niedługo się męczył. Łapę wyciągał, jakby chciał się bronić. . .

— To jedyne, co oni potrafią: wyciągać łapę. Po cudze. Zauważ, że ich kapsy skonstruowane są wyłącznie z myślą o braniu. Nie mają żadnych innych zewnętrznych urządzeń oprócz chwytaka.

— Mimo wszystko to jednak przecież istoty rozumne, a my. . .

— Nie przejmuj się. Jak można współczuć istotcie, której się nigdy nie widziało i nie wie się nawet, jak ona wygląda? A do tego, gdy chodzi o tak przewrotne istoty, jak Proksowie.

— Więc uważasz, że to, co mówił stary Greg, jest prawdą?

— Wkrótce będziemy mieli na to dowody.

— My, to znaczy kto?

— My wszyscy, ludzie.

— Jakie dowody? — wtrącił się Nik. — Przecież to było osiemdziesiąt lat temu!

— Pracuje się nad tym — powiedział Filip zagadkowo.

— Mógłbyś trochę jaśniej — obruszył się Tim. — Każesz nam robić takie rzeczy, a potem nie powiesz, o co chodzi. Kto i nad czym pracuje?

Filip złożył dwa palce w kształt litery „T”. Tim przypomniał sobie, że coś podobnego pokazywał mu Maks.

— Wiecie, co to znaczy?

— Nie — odpowiedzieli razem Tim i Nik.

— No, to nie powinienem z wami rozmawiać o tych sprawach. . . Ale niech tam, I tak się wkrótce dowiecie. To symbol organizacji, pewnego tajnego ruchu o zasięgu międzykwadratowym, wymierzonego przeciwko Proksom.

— I ty do niego należysz? — zaciekawiał się Nik.

— Pewnie, że tak. Mam nadzieję, że nie będziecie o tym z nikim gadać?

— A ten znak? Co to jest? — spytał Tim.

— Litera. Pierwsza litera słowa „tamandua”.

— Co to znaczy? To nazwa tej organizacji?

— Tak, a poza tym tak się nazywa pewien gatunek mrówkojada.

Tim zastanowił się przez chwilę.

— Mrówkojad to zapewne takie zwierzę, co jada mrówki?

— Owszem. Tamandua żyje w Południowej Ameryce.

— Więc... jeśli Proksowie tępią mrówki, a mrówkojad też, to... nazwa jest stosowna raczej dla zwolenników Proksów! Czegoś tu nie rozumiem! — powiedział Tim.

Filip zaśmiał się cicho.

— Nie ty jeden. Mało kto jeszcze rozumie to wszystko. Rzecz w tym, uważasz, że Proksowie tępią także... mrówkojady! Świat jest skomplikowany, mój drogi.

Zatoczywszy szerokie półkole przecięli linię kolejową o kilometr od miejsca, gdzie urządzili zasadzkę. Teraz wracali leśnymi duktami w stronę domu.

— Nie martw się, Tim — powiedział Filip, klepiąc chłopca po ramieniu. — To był nieszczęśliwy wypadek. Narkomanom zdarza się to czasem. A zresztą nie wiadomo, czy oni od tego giną... .

Tim miał wciąż przed oczami gasnącą, zieloną poświatę na czubku skafandra umierającego Proksa.

Doktor Robert Stawczak pił kawę w gabinecie dyrektora Instytutu Biologii Roślin i patrzył ukradkiem na zegarek. Myślni był daleko od normalnych tematów rozmów przy kawie.

— Miło, że nas pan odwiedził, kolego — powiedział dyrektor. — Ostatnio mamy coraz mniej osobistych kontaktów z uczonymi innych kwadratów.

— Bardzo trudno otrzymać żeton wyjazdowy, nawet w sprawach służbowych — poskarżył się Stawczak. — Nie ma pan pojęcia, jak długo musiałem przekonywać naszego kwadratowego, by pozwolił mi na ten wyjazd, a do tego jeszcze — samochodem!

— O, wiem, wiem... — dyrektor pokiwał ze zrozumieniem głową. — Myśli pan, że u nas jest lepiej? Muszę wyklócać się o każdy temat badawczy. Z trudem udało się nam wywalczyć ten mały reaktor. Już kilka lat temu próbowano nam odebrać zezwolenie. Przekonaliśmy władze, że jest niezbędny w badaniach nad fizjologią roślin, ale musieliśmy się zobowiązać, że nie będziemy wykonywać żadnych prac z dziedziny fizyki... .

— Czyżby Proksowie tak bali się naukowców? — uśmiechnął się Stawczak, dopijając kawę.

— Proksowie? Nie, doktorze. To administracja w swej nadgorliwości tępi wszystko, co mogłoby nie spodobać się Proksom, którzy wyraźnie powiedzieli: tylko nauki praktyczne, przydatne w produkcji artykułów konsumpcyjnych. Wszystko inne to strata czasu i pieniędzy. Formalnie mają rację: w dziedzinie fizyki, chemii, technologii — wiedzą więcej od nas i tę wiedzę gotowi są nam w razie potrzeby sprzedać. Odkrywanie przez nas od nowa tych samych prawd jest rzeczywiście bez sensu. Ale dla prawdziwego naukowca najwyższą satysfakcją jest odkrywanie, sam proces zdobywania wiedzy. Gotowe wyniki nie cieszą... . Cóż, kiedy nasza administracja woli nie narażać się Proksom. Nie dziwię się im. Każdy musi dbać o swoje stanowisko, o własne życie prywatne... . My też wreszcie chadzamy na kompromisy, byle mieć spokój. Tylko spokój jest czymś osiągalnym w naszej sytuacji.

„Zwykłe, codzienne, konformistyczne gadanie” — pomyślał Stawczak. Sło-

wa rozmówcy bębniły mu w uszach, lecz ich treść, jeśli nawet istniała, przestała docierać do mózgu. Wiadomo: każdy mówi tak samo, usprawiedliwia własne wygodnictwo, uwypuklając ponad wszystko owo przekonanie o bezsilności i bezsensie wszelkiego przeciwdziałania. Stawczak znał to doskonale. Tak samo mówiło się podczas nieoficjalnych posiedzeń w jego instytucie: nie ma rady, tak trzeba, bo cóż można zrobić przeciwko Proksom, jeśli nie wiadomo nawet, jacy oni są, jak wyglądają, jak funkcjonują ich organizmy — nie mówiąc już o tym, że nie wiadomo także, jak i czym oni myślą, co czują i w ogóle, jakie są ich prawdziwe cele, rzeczywiste zamiary. . .

Takie gadanie zawsze drażniło Stawczaka, Wydawać by się mogło, że ci wszyscy wykształceni i myślący ludzie pogłupieli nagle i oślepli, gdy mowa o Proksach. Mówili, że nic nie można zrobić, bo nic o nich nie wiemy, lecz żaden jakoś nie wpadł na najprostsze rozwiązanie: a może by tak spróbować dowiedzieć się czegoś, zbadać, rozszyfrować te obce istoty, kryjące się skrupulatnie przed ludzkimi oczyma w jajowatych kokonach kapsów, w cygarach toranów, w termitieriach amb. Świat ludzi uczonych, wraz z resztą ludzkości, przyjął bezmyślnie, jako niepodważalny dogmat, tezę o potędze intelektu i techniki proksyjskiej, uznając za niemożliwe i wręcz niewskazane sprawdzenie tego pewnika.

Z techniką sprawa była dość oczywista. Proksowie demonstrowali swe możliwości tyleż dobitnie, co nonszalancko. Ale na tym koniec, Nikomu nie udawało się (bo też niewielu próbowało) przeniknąć poprzez tę techniczną otoczkę, by spenetrować jej wnętrze — dosłownie i w przenośni. Utarte stereotypy myślowe, urabiane przez oficjalne instytucje wychowawcze, przeszkadzały później dorosłym już ludziom nie tylko w znajdowaniu odpowiedzi, lecz nawet w stawianiu pytań.

Stawczak pamiętał jeszcze, jakim zdziwieniem zareagował ongiś na pytanie starszego kolegi ze studiów. „Skąd wiesz, czy w kapsie rzeczywiście siedzi istota rozumna?” — zapytał tamten, a Robert zupełnie nie potrafił przytoczyć żadnych własnych argumentów, poza tym, że jak się powszechnie sądzi — kaps jest skafandrem chroniącym Proksa przed nie sprzyjającymi mu ziemskimi warunkami.

Dopiero później, gdy zaczął się zastanawiać nad tym problemem, narodziło się sporo wątpliwości, nie tyle dotyczących obecności Proksa wewnątrz domniemanego skafandra, co w innych, bardziej szczegółowych kwestiach. Potem zaczęła się współpraca młodego naukowca z innymi, myślącymi podobnie. Okazało się, że nie on jeden dostrzegł potrzebę bliższego poznania przybyszów.

Początkowo nie myślał nawet o dalszych konsekwencjach tej żmudnej, nieefektywnej działalności, prowadzonej na marginesie codziennych obowiązków, równoległe — lecz w głębokim cieniu, po cichu, ukradkiem. To, co robił, było jedynie cząstką, fragmentem układanki, powstającej gdzieś tam — może na drugiej półkuli, może tuż obok, w sąsiednim gmachu jakiegoś legalnie działającego, nobliwego urzędu czy instytutu. . . Nie należało pytać, lepiej było nie wiedzieć, komu potrzebne są zdobywane w trudzie drobne okruchy faktów i informacji. Ważny był cel, którego nietrudno się domyślić.

Gdyby go spytano, Robert nie umiałby zapewne uzasadnić motywów, które skłaniały go do brania udziału w tej konspiracji. Zajęty na co dzień mniej lub bardziej interesującą pracą w Instytucie Ochrony Roślin, poświęcał resztę czasu na wypełnianie zadań zleczanych przez organizację. Traktował to jako swoją prywatną rozgrywkę intelektualną z przybyszami, których ani lubił, ani nienawidził —

tak, jak niekoniecznie darzy się sprecyzowanymi uczuciami przeciwnika w partii szachów czy w brydżu.

Stawczak był zdolnym biologiem, lecz ograniczoność tematyki badań prowadzonych w instytucie krępowała jego możliwości. Tajne prace, wymagające nieraz szczególnego sprytu i pomysłowości, pozwalały mu na wyżycie się umysłowe. Nie dawało to jednak — poza uznaniem najbliższych, wtajemniczonych kolegów — żadnych jawnych splendorów. Sposób, w jaki Robert Stawczak zdyskontował swój spryt na polu oficjalnej nauki, wzbudził podziw i wesołość wszystkich jego współpracowników. Tytuł jego rozprawy doktorskiej brzmiał: „Niemożność istnienia rzekomej rodziny Formicidae w świetle badań modelowych”.

Teza, którą postawił i teoretycznie biegle uzasadnił młody uczonek, choć absolutnie nieprawdziwa, była ze wszech miar zgodna z obowiązującą doktryną, głośzoną w celu przypodobania się Proksom, z niewytłumaczoną zaciętością zwalczającym nieszczęsne Formicidae. Ponury i gorzki dowcip, zawarty w owej pracy, polegał na tym, że największe autorytety w zakresie entomologii nie śmiały obalić ewidentnej bzdury. Metodologia wywodu była bowiem bez zarzutu, a założenia i wnioski — zgodne z oficjalnie głoszonymi poglądami.

Była to złośliwa zemsta Stawczaka na własnych szefach, którzy w swej pokornej lojalności gotowi byli poświęcić prawdę dla zachowania osiągniętej pozycji w tym Umownym świecie kompromisów. Zemsta tym okrutniejsza, że ośmielony dostojne gremium autorytetów, mógł być pewien bezkarności: przez samo podjęcie takiego tematu zyskał w instytucie pozycję nie do podważenia.

Doktorat Stawczaka, choć dla wszystkich (z nim samym włącznie) ewidentnie bezwartościowy, przysporzył mu sympatii i „cichego” rozgłosu w kołach związanych z organizacją, sprawa miała niebagatelne znaczenie jako swego rodzaju demonstracja i protest przeciwko podporządkowaniu nauki doraźnym celom politycznym,

Stawczak spojrział raz jeszcze na zegarek i podniósł wzrok na dyrektora, utyskującego wciąż na te same problemy.

— Tak, tak... — zgodził się Robert grzecznościowo, nie usiłując nawet pochwycić sensu ostatnich zdań rozmówcy. — Wszyscy wiemy, jak jest. Cóż jednak możemy zrobić każdy ma swoje jedno niezbyt długie życie, chce mieć coś dla siebie, dla najbliższych, pożyc jak człowiek... i rudno od nas wymagać donkiszoterii w imię nieosiągalnych celów...

Widać trafił dobrze w ton narzekań dyrektora, bo ten skwapliwie kiwał głową, a twarz rozjaśniła mu się błogim poczuciem słuszności własnej postawy życiowej.

— Kupił pan coś u nas? — zagadnął, zmieniając temat

— Trochę miodu i parę drobiazgów, nic specjalnego...

— Miód? No, no... Boję się, że pan go straci na najbliższym przejściu granicznym...

— A, niech tam — powiedział Robert pogodnie — byle nie grzebali mi w próbkach, które od was dostałem. Myślę, że policja graniczna powinna honorować zezwolenie?

— Policja tak. Gorzej z Proksami, ale to, co pan wiezie, nie powinno wzbudzać ich podejrzeń. Oni zwracają uwagę głównie na aparaturę badawczą, aparaty fotograficzne, przyrządy optyczne...

— Właśnie. Ciekaw jestem, dlaczego?

— A czy to kiedykolwiek wiadomo, doktorze? Co oni myślą, o co im chodzi...
— Dyrektor uśmiechnął się melancholijnie.

Robert wiedział dokładnie, o co chodzi Proksom w tym przypadku. Wiedział to zapewne i dyrektor, lecz z zawodowej ostrożności wolał udawać, że nie ma o tym pojęcia. Robert bawił się w duchu tą obłudą starszego kolegi-naukowca.

Próbki, które wiózł, nie miały dla niego specjalnego znaczenia. Były jedynie pretekstem do odbycia tej podróży. Tutaj, we współpracującym instytucie, też działała komórka organizacji i z nią właśnie Robert załatwiał najważniejszą sprawę. Teraz miał już to, o co mu chodziło, mógł spokojnie wracać.

— Dziękuję za miłe przyjęcie, a w imieniu szefów — za próbki. Wyniki oczywiście prześlemy, jak zwykle.

Ścisnął dłoń dyrektora i wyszedł na korytarz, a potem na parking, gdzie stał jego samochód. Akumulatory były naładowane, silnik szumiał cicho na wolnych obrotach. Robert sprawdził światła i zajrzał do bagażnika. Obok pojemników z próbkami stała drewniana baryłka. Upchnął ją starannie pomiędzy pakunkami, by nie przesuwiała się w czasie jazdy. Spojrzał na fronton gmachu. W jednym z okien dostrzegł dwie twarze. Nieznacznie uniósł dłoń na pożegnanie, zatrzasnął drzwiczki samochodu i ruszył.

Było wczesne popołudnie. Robert jechał powoli dobrą betonową szosą, rozglądając się po okolicy. Miasto zostało z tytu, teraz po obu stronach drogi ciągnął się sosnowy las. Ruch był niewielki, czasem tylko wyprzedzał go jakiś ciężarowy samochód załadowany balami drewna.

Po godzinie jazdy zatrzymał samochód na poboczu, spojrzął na mapę i sprawdził czas. Ruszył po chwili, bacznie obserwując słupki kilometrowe, by znów zatrzymać się o kilkaset metrów za skrzyżowaniem z gruntową drogą wiodącą w głąb puszczy. Wysiadł i sprawdził ciśnienie w oponach. Gdy obchodził tył samochodu, dostrzegł kątem oka nadchodzącego człowieka.

— Dzień dobry — powiedział młody chłopak zbliżając się do Roberta. Palce wskazujące, niby od niechcenia, złożył w kształt litery „T”. — Kłopoty z ogumieniem?

— Zdawało mi się, że lewa tylna opona trochę za miękka — powiedział Robert.

Chłopak uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

— Filip Warnel — przedstawił się. — Cieszę się, że wszystko w porządku.

Robert uściśnął podaną dłoń, wsiadł do samochodu i ruszył.

Na pierwszym przejściu granicznym ruch był niewielki. Pociągiem przyjechało zaledwie kilkanaście osób. Tim szedł przodem, o kilka kroków przed ojcem, który wyraźnie tracił humor w miarę, jak zbliżali się do granicy, i teraz był już w zupełnie ponurym nastroju.

Ojciec dźwigał ciężką walizkę, przystawał co kilkanaście kroków i ocierał pot z czoła. Było wciąż gorąco, choć dawno minął skwar popołudniowych godzin.

Tim niósł swoją torbę na lewym ramieniu, a prawą ręką trzymał koniec plecionego rzemieennego pejcza. Na drugim jego końcu pałętał się nieduży pies. Przypominał nieco teriera, lecz jego wielorasowość nie budziła wątpliwości.

Pies był podarunkiem od Filipa. Przyprowadził go skądś na dwa dni przed odjazdem Tima. Zwierzak był tak sympatyczny, że Tim od razu go polubił. Od

dawna miał obiecać, że wolno mu będzie trzymać psa w domu. Było to oczywiście obwarowane szeregiem warunków, lecz Tim gotów był spełniać je wszystkie, dziwił się nawet trochę, że ojciec bez większych oporów zaakceptował żywy podarunek. Wobec swych szkolnych niepowodzeń nie spodziewał się tego. Tymczasem ojciec jakoś zupełnie przeszedł do porządku dziennego nad tą dwójką z historii: przez cały czas pobytu u stryja nie było o niej mowy, nawet przy znakomicie nadającej się aa tego „psiej” okazji. Filozoficzny stosunek ojca do historycznego potknięcia Tima był cokolwiek podejrzany.

Tim nie miał pojęcia, jak wygląda odprawa graniczna dla psów. Filip dostarczył świadectwo szczepienia i zezwolenie, więc ze strony policji granicznej nie powinno być kłopotów. Ale z Proksami — nigdy nic nie wiadomo. . .

— Gdyby kapsy zaczęły interesować się psem — powiedział Filip — to trudno. Szkoda, by go zamęczyły. Lepiej niech ucieka. Puść smycz i powiedz: kota, Azor, kota! Wtedy odbiegnie, a kaps go nie będzie gonił. . .

— Wróci? — zaniepokoił się Tim.

— Nie wiem. Może przebiegnie przez granicę i potem go złapiesz. W każdym razie przez fladry nie pójdzie, na tyle jest wytresowany. . .

— A jeśli nie przebiegnie na drugą stronę?

— Musisz spokojnie czekać na zakończenie formalności z dokumentami i bagażem, a kiedy już policjanci wszystko sprawdza, przejdź przez granicę, i gwizdnij. Wtedy przybiegnie. Policjanci nie zwrócą na niego uwagi, bo dokumenty są w porządku, a kapsy nie potrafią go złapać, bo są zbyt powolne. Zresztą wszystko to mówię ci na wszelki wypadek. Z pewnością nie będzie aż takich kłopotów.

Teraz, ustawiając się w kolejce do kontroli granicznej, Tim przypomniał sobie rady Filipa i ręce mu się trochę trzęsły. Czuł się jak przemytnik, choć nie miał przy sobie podejrzanym manuskryptów, skrybki ani dżofów (co, u licha, oznaczała te nazwy, przypadkiem pochwycone uchem ze ściszonych rozmów współpasażerów pociągu), ani tym bardziej — mrówek, których przemytu Filip stanowczo odradził, uważając to przedsięwzięcie za zbyt ryzykowne.

Ojciec stał tuż za Timem. Kolejka posuwała się powoli, dwa kapsy szperały ludziom po walizkach, policjanci sprawdzali identy i byli wyraźnie zniecierpliwieni, Kapsy, przez swe wścibstwo, opóźniały im pracę.

Tim usłyszał za sobą pisk opon. Obeirzał się. Czerwony samochód zatrzymał się obok, za barierką oddzielającą przejście dla pieszych od przegrodzonego szlabanem przejazdu dla samochodów.

Jeden z policjantów, nudzący się w pobliżu czoła kolejki, podszedł leniwie do samochodu, z którego wysiadł młody, najwyżej trzydziestoletni mężczyzna. W dłoni trzymał przygotowane dokumenty. Policjant popatrzył w nie przelotnie i wskazał na bagażnik.

Kierowca dość długo manipulował kluczem przy zamku.

— Panie, szybciej, do cholery! — syknął policjant cicho, lecz Tim, stając blisko, usłyszał jego słowa. — Nie widzi pan? Już lezie.

Jeden kaps porzucił rozgrzebaną walizkę któregoś z podróżnych i sunął prosto w kierunku samochodu.

— No tak! — mrucał policjant z rezygnacją. — Teraz się zacznie. Sam pan sobie winien, trzeba było szybciej. . .

— Zamek się zaciął! — usprawiedliwiał się właściciel samochodu.

Kaps był już przy nim. Policjant usunął się na bok, założył ręce za plecy i znu-

dzonym wzrokiem patrzył gdzieś w przestrzeń. Chwytek kapsu zagłębił się w bagażniku, by po chwili wyłonić się stamtąd z okazałą baryłką. Kierowca zrobił jakiś nieokreślony ruch rękami, jakby w obronie swojej własności, lecz chwytek już zdążył schować się ze zdobyczą wewnątrz kapsu.

Ludzie stojący w kolejce z zainteresowaniem patrzyli na tę scenę.

— Popatrz! — powiedział ktoś stojący przed Timem do swego towarzysza. — Pięć kilogramów miodu, jak w pysk strzelił... Frajer. Kto wozi miód w takich dużych naczyniach. Majątek można stracić. Ja tam zawsze mam parę małych słoików. Mniejsze ryzyko.

— Nic nie mów. Może facet wie, co robi? O, zobacz! Drugi już też się zainteresował!

Drugi kaps spostrzegł widocznie manewry pierwszego, bo pospiesznie zbliżył się do samochodu i skrzętnie przepatrywał bagażnik. Nie znalazłszy drugiej baryłki, stanął z wyciągniętym chwytkiem przed pierwszym kapsem, który jednakże na głucho zamknął klapkę, zasłaniającą gniazdo chwytaka, i ani myślał dzielić się zdobyczą. Stały naprzeciw siebie, kiwając się w różne strony, a światelka na ich szczytach migotały, przygasając i rozjarzając się na przemian.

— Kłóć się... — zauważył ktoś w kolejce. — Jeszcze się pobiją!

Tim po raz pierwszy widział kłójące się kapsy. Trwało to dobra chwilę, z czego skorzystali policjanci, by przyspieszyć kontrolę oczekujących. Z wartowni dobiegały odgłosy stadionu z wybijającym się ponad nie jazgotem sprawozdawcy sportowego. Prawda! Dziś zaczynały się finałowe rozgrywki międzykwadratowego pucharu w piłce nożnej! Teraz dopiero Tim zrozumiał pośpiech i zniecierpliwienie funkcjonariuszy granicznych.

Kierowca czerwonego samochodu stał z opuszczoną głową, zapewne zmarzwiony stratą. Kapsy nadal były zajęte sobą.

— Na co pan czeka? — rzucił ironicznie policjant. — Nie dostanie pan przecież z powrotem tego miodu, mowy nie ma. Niech pan wsiada i odjeżdża.

— Zaraz! — burknął młody człowiek od samochodu, kopnąwszy oponę przedniego koła. — Powietrze mi uszło, muszę dopompować.

Policjant zajął się pieszymi, kierowca sięgnął po pompkę i zaczął pracować nadymać przysiadłą oponę, a kapsy wciąż nie mogły dojść do porozumienia, kołyszając się tuż obok samochodu.

Po paru minutach Tim z ojcem i pies byli już po drugiej stronie. Czerwony samochód przemknął otwartą rogatką i zniknął za zakrętem.

Tim zauważył, że ojciec patrzy za znikającym autem z lekkim uśmiechem błakającym się po napiętej dotąd twarzy.

— Nawet nas nie sprawdzali! — powiedział Tim, pomagając ojcu wciągnąć walizkę do wagonu. Potem wsiadł sam, wlokąc za sobą psa na smyczy.

— Jeszcze dwie granice przed nami — zauważył ojciec.

IV. Poprawka do historii

Tim siedział na ławce obok Marty. Azor buszował pośród pobliskich zarośli starego parku. Środkiem alejki sunął kaps.

— Popatrz — powiedziała Marta. — Ten pies najwyraźniej ich nie lubi!

Azor przestał tarzać się w trawie, nadbiegał i z ujadaniem obskakiwał teraz dookoła bryle kapsu, który oczywiście zupełnie na to nie zwracał uwagi.

— Jest przynajmniej szczery — powiedział Tim i gwizdnął. Azor przypadł mu do nóg, merdając krótkim ogonem. — Nie udaje, że mu się podobają.

— Mów ciszej — upomniała go. — Oni podobno słyszą i trochę rozumieją.

— W nosie ich mam? — mruknął Tim.

Patrzyli na kaps, który zatrzymał się na wprost ławki i jak gdyby też się im przyglądał. Na powierzchni wielkiej elipsoidy, z daleka wyglądającej na gładką i jednolitą, z bliska widać było rozmieszczone tu i ówdzie czarne guziki, jak źrenice dziesiątek oczu. Można było także dostrzec zarys pokrywy, która zasłaniała wylot otworu manipulatora.

— Ciekawe, jak oni do tego włączą? — powiedziała Marta szeptem. — Chyba od spodu?

— Pojęcia nie mam. Wygląda na to, że siedzą tam zakuci na amen.

— Ale muszą przecież jakoś wychodzić. Chyba nie tkwią przez cały czas w kapsach? Aż wierzyć się nie chce, że są tu już od osiemdziesięciu lat, a my wciąż ich nie znamy.

Patrzyli oboje, jak kołyszący się miarowo kaps oddalał się alejką. Nawet mechanizm tego kolebiącego, posuwistego marszu był niewyjaśniony. . .

— To bardzo dziwna sprawa — powiedział Tim. — Z początku chyba żywiono do nich zbyt wiele zaufania i szacunku, pomieszanego z podświadomym lękiem. Potęga ich techniki wydawała się równoznaczna z mądrością i inteligencją ich samych. . .

— To chyba do dziś nie ulega wątpliwości. . .

— Co? Ich inteligencja?

— No, bo jeśli przybyli aż tutaj?

— To co z tego? Myślisz, że ci, którzy przybyli, sami wymyślili i zbudowali te wszystkie rakiety i pojazdy?

Marta zastanawiała się przez chwilę.

— Masz rację. Nasz sąsiad ma samochód, który prowadzi nawet bardzo dobrze. . .

— Wiem. Podwozi cię czasem do szkoły — wtrącił Tim z lekkim przekąsem.

— Taki wysoki blondyn. Nawet przystojny.

— Owszem. Jest mistrzem kwadratu w tenisie. Ale nic poza tym.

— Poza czym? Poza tym podwożeniem cię do szkoły?

— Coś się tak uczeplił? Mówię, że poza tym zupełny dureń. Nie wie nawet, jak działa silnik jego samochodu.

— Z Proksami może być tak samo. Nawet na pewno tak jest. Sam się przekonałem. To nie żadne nadistoty, po prostu przeceniamy ich. Wydają się nam kimś nadzwyczajnym. Kiedy Hiszpanie kolonizowali Amerykę, tubylcy brali ich za Bogów. A to byli zwyczajni awanturnicy i rabusie, wysłani po łupy przez własne społeczeństwo...

— ...które było w sumie dużo lepsze niż oni. Masz rację, to bardzo przekonujące.

Azor znów pobiegł za kapsem, który kiwał się teraz na skraju trawnika, w pobliżu kiosku z napojami. Alejkami parku spacerowały kobiety z niemowlętami w wózkach, w piaskownicy bawiły się dzieci, słońce świeciło na czystym niebie. Zwykły, letni dzień. Tylko ten samotny kaps, ni w pięć, ni w piętnaście, w środku parku.

„Mogłoby ich tutaj nie być” — pomyślał Tim i po chwili pojął, że taka myśl nie raz i nie jemu jednemu musiała przychodzić do głowy w ciągu ostatnich osiemdziesięciu lat. Dlaczego ludzkość, osiągnąwszy w ubiegłym wieku zupełnie przyzwoity poziom umysłowy i techniczny, pozwoliła tak się omotać i wodzić za nos Proksom, o których nawet nie wiadomo, czy na pewno pochodzą z układu Centauri?...

— Musisz jednak przyznać, że zachowują się przyzwoicie — powiedziała Marta.

— Myślę, że tylko do czasu. Nie próbowaliśmy nigdy ich zaczepiać. Ciekaw jestem, co by zrobili, gdybyśmy zdecydowali się wyprosić ich z naszej planety? Wiesz, co słyszałem na ten temat? Ludzie przypuszczają, że w ambach ukryte są bomby termojądrowe, na wypadek gdybyśmy chcieli się buntować.

— Niemożliwe! Przecież nie mogliby nas zniszczyć! — wzdrygnęła się Marta, patrząc z lękiem w stronę widocznego nad domami wierzchołka amby.

— Muszą się jakoś zabezpieczać. Jest ich w sumie znacznie mniej niż ludzi. Wystarczyłoby wspólne działanie przeciw nim.

— To nierealne i ryzykowne. Ludzie chcą żyć w spokoju.

— Ludzie się przyzwyczaili... — powiedział Tim smętnie. — Przyzwyczaili się żyć pod kuratelą obcej cywilizacji, rozwiązującej za nich ważniejsze problemy. Sami zajmują się tylko napełnianiem brzuchów i szukaniem rozrywek. Podobno nasza cywilizacja zrobiła parę kroków do tyłu przez te osiemdziesiąt lat...

Prottor rozdał i zapalił cygaro. Partnerzy popatrzyli dość obojętnie w wachlarczyki kart i odłożyli je na stolik.

— Możemy zaczynać? — spytał Milt.

— Za chwilę — powiedział gospodarz. — Żona zaraz wyjdzie po zakupy. Syn poszedł do kina, więc będziemy mieli dwie do trzech godzin spokoju.

— Ile lat ma twój syn? — zainteresował się Prottor.

— Skończył piętnaście. Mam z nim trochę kłopotów.

— Źle się uczy?

— Nie to. Zadaje kłopotliwe pytania.

— Tak, znam ten problem... — powiedział Milt w zamyśleniu. — Mam córkę

w tym wieku. . . Czy nie uważacie, że dzieci powinno się wcześniej uświadamiać? Szybko dorastają, spostrzegają to i owo, słyszą. . .

Milczeli przez chwilę. Drzwi wejściowe trzasnęły, gospodarz wyjrzał do przedpokoju.

— Jesteśmy sami — powiedział wracając i siadając do stolika. — Możemy rozmawiać. Chcecie kawy?

— Później — powiedział Prottor, zdejmując okulary i przecierając je chusteczką. — A co do dzieci, to lepiej chyba, aby wiedziały wcześniej. Może nie wszystko, ale chociaż trochę. Tyle, ile trzeba, by nie popełniać błędów. Po co mają ich uświadamiać starsi koledzy? Tylko głupstw im naplotą. . .

— Masz chyba rację — zgodził się gospodarz. — Już od dawna zamierzam porozmawiać z moim chłopakiem. Nie wiem tylko, od czego zacząć. . .

— To, od czego zaczniesz, on i tak już na pewno wie — uśmiechnął się Milt. — Tylko się uśmieje w duchu. Oni, młodzi, są bardzo spostrzegawczy. Czy myślisz, że twój syn nie zauważa, że go okłamujesz?

— Tak. . . To możliwe. Muszę z nim pogadać, zanim zacznie mną gardzić. Tylko czy potrafię mu to wyjaśnić? Czy nie będzie to dla niego zbyt szokujące?

— Tak czy inaczej, wkrótce dowie się prawdy. Jeśli nie od ciebie, to od kogoś innego. Ale do rzeczy, panowie, do rzeczy! Nie po to się zebraliśmy, by dyskutować o wychowaniu młodzieży. . . — uciął Prottor.

— To też ważny problem. . . — zauważył Stawczak, bawiąc się kartami.

— Ważny, ale nie nasz. Nasz problem, przypominam, to charakterystyka fizyczna. Organizacja oczekuje wyników — przypominał Prottor. — Pozwólcie, że będę przewodniczył.

Skinęli głowami. W tych sprawach Prottor był wśród nich szefem, choć w instytucie pełnił tylko funkcję laboranta.

— Zbierzmy więc razem to, co już wiemy — ciągnął Prottor. — Jest tego niewiele, niestety. Ale zawsze to więcej niż nic. Jeszcze rok temu nie umieliśmy sformułować żadnych ogólnych założeń. Proszę, docencie. Niech pan referuje!

Gospodarz odchrząknął, popatrzył w blat stołu i zaczął cichym głosem:

— Miałem za zadanie ustalić przybliżone rozmiary Proksa. Sprawa nie jest prosta. Jak wszyscy wiemy, od chwili pojawienia się tych istot na naszej planecie nikt nie widział Proksa, żywego ani martwego. Jedynymi obiektami dla naszych badań są ich budowle, pojazdy oraz kapsy. Intuicyjnie uznajemy je za coś w rodzaju skafandrów, w których znajdują się żywe, rozumne istoty. To, czy kaps zawiera żywego Proksa, czy tylko automat, było tematem odrębnych badań. Wyniki tych prac, które zreferuje kolega Stawczak, zdają się wykazywać na niewątpliwą obecność żywych istot rozumnych we wnętrzu kapsów. Taki punkt widzenia przyjęliśmy jako wyjściowy w dalszych dociekaniach.

A zatem górną granicą wymiarów pojedynczego Proksa są wymiary kapsu. Kaps stanowi elipsoidę obrotową o długiej osi równej dwustu sześćdziesięciu czterem centymetrom i średnicy stu pięćdziesięciu dwóch centymetrów. Wymiary te, dokładnie identyczne dla każdego z obserwowanych kapsów, świadczą, że nie uwzględniono ewentualnych różnic osobniczych wymiarów istot zamkniętych w ich wnętrzu. A zatem maksymalny wymiar Proksa musi być mniejszy od dwustu sześćdziesięciu czterech centymetrów. Kapsy, traktowane jako rodzaj skafandrów dla Proksów, muszą być dla nich dość nieporęczne. Wiemy dobrze, że szybkość poruszania się i zdolności manipulowania kapsu nie są nadzwyczajne.

Skoro jednakże Proksowie używają tego typu skafandrow, oznacza to, że muszą właśnie takich używać. Stąd wniosek, że wewnątrz kapsu, oprócz jego użytkownika, znajdować się musi znaczna przestrzeń wypełniona urządzeniami dla zapewnienia warunków do życia Proksa.

Wiadomo, że kaps jest całkowicie samowystarczalny. Może poruszać się samodzielnie, nie czerpiąc ani energii, ani żadnych substancji z towarzyszącego mu zazwyczaj pojazdu — pulwy czy toranu. Wyjątek stanowi pora nocna, kiedy to kapsy korzystają z połączenia z pojazdem, jednakże nie wiemy nawet, czy jest to połączenie kablowe, rurowe czy jakieś inne, a więc także — co jest tym połączeniem przekazywane.

Jedynym wnioskiem, jaki można wyciągnąć z istnienia takiego połączenia w porze od zachodu do wschodu słońca, jest ten, że dla funkcjonowania organizmu Proksa niezbędne jest światło lub jakieś inne promieniowanie pochodzące od Słońca. Połączenie w porze nocnej zapewnia widocznie zastępczo ten brakujący czynnik...

— Świadczyłoby to — wtrącił Prottor — że na planecie Proksów stale panuje dzień! Inaczej nie mogłyby powstać istoty, którym światło jest potrzebne do życia!

— Słusznie, szefie — podjął docent. — O ile wiem, sekcja astrofizyczna wysnuła stąd teorię, że planeta Proksów, podobnie jak nasz Księżyc ku Ziemi, stale odwraca się jedną i tą samą stroną ku swemu słońcu. Proksowie zamieszkivali tylko jej stronę nasłonecznioną, dopóki nie nauczyli się korzystać z urządzeń technicznych, umożliwiających im przebywanie w ciemności.

Zupełnie podobnie my, ludzie, mogliśmy żyć tylko na lądach naszej planety, dopóki nie udało się nam stworzyć aparatu do nurkowania! Ale, wracając do rozmiarów Proksa, muszę stwierdzić, że określenie dolnej granicy tych rozmiarów jest dość trudne. Tu znowu muszę odwołać się do hipotez i przypuszczeń naszych kolegów — teoretyków.

Znamy wszyscy hipotezę o owadzim typie organizmu Proksa. Nie jest to hipoteza zbyt dobrze udokumentowana, lecz z braku czegoś lepszego próbowałem użyć wynikających z niej wniosków.

Wiemy wszyscy o fobii czy może awersji Proksów w stosunku do wszelkich przedstawicieli rodziny Formicidae, czyli mrówek i termitów. Nasze nadgorliwe władze, w swej chęci przypodobania się Proksom, posunęły się do utajnienia istnienia tych owadów, ale to sprawa raczej polityki niż nauki. Dla nas mrówki są doskonałym materiałem badawczym, modelującym organizmy Proksów. Oczywiście, jeśli przyjmujemy wzmiankowaną hipotezę.

Za jej słuszością przemawia właśnie to, że Proksowie tępią mrówki. Może chcą nas pozbawić materiału mogącego służyć nam do rozszyfrowania ich istoty, znalezienia ich słabych stron? Za „mrówkowatością” Proksów przemawia także znana powszechnie słabość do słodczy, szczególnie miodu. Podobnie zresztą, jak niezwykle silny pociąg do pewnych gatunków grzybów, dla ludzi trujących, które wprawiają Proksów w stan narkotycznego upojenia. Pamiętajmy, że wśród mrówek wiele gatunków też hoduje grzyby!

— Nie są to zbyt naukowe dowody... — skrzywił się Stawczak. — Można by do tego dodać jeszcze anegdotę, którą opowiada się ostatnio na mieście. Otóż ludzie mówią tak: oni są spokrewnieni z mrówkami, bo mrówki opiekują się mszycami, by je doić, a Proksowie — ludźmi... w tym samym celu!

Wszyscy czterej śmieli się przez chwilę z dowcipu, lecz Prottor zaraz przypomniał, że mają mało czasu. Gospodarz ciągnął dalej:

— Zgadzam się z doktorem Stawczakiem, że „mrówkowy” model Proksa nie musi być słuszny. Przyjąłem go tylko z braku lepszych danych. Niektórzy uczeni — jak czytałem w ostatnim biuletynie Tajnego Międzykwadratowego Instytutu Biologii Proksów — wysuwają tezę, że Proksowie są po prostu uczuleni na kwas mrówkowy. Osobiście sędzę, że to nonsens! Znamy przecież przypadki, kiedy Proks, nadużywając swych ulubionych grzybków, w stanie upojenia dobierał się do pszczelich uli! A pszczoły, jak wiadomo, także wydzielają kwas mrówkowy jako składnik jadu. Ale wróćmy do wyników moich badań.

Przyjmijmy, że Proks jest „pseudoowadem” typu mrówki. Jak wynika z moich badań nad mrówką rudą, jej siła jest stosunkowo duża w porównaniu z wagą ciała i rozmiarami. Mrówka taka, powiększona proporcjonalnie do rozmiarów człowieka, mogłaby wnosić na grzbiecie fortepiany po pionowej drabince! Postawiłem sobie pytanie: jakie są najmniejsze rozmiary mrówki, która zdołałaby udźwignąć przedmiot o wadze kapsu i swobodnie nim poruszać?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, musiałem znać wagę kapsu. Dzięki pomysłowemu eksperymentowi, który na mój wniosek przeprowadzili koledzy z Przedsiębiorstwa Dróg i Mostów naszego kwadratu, zdobyłem bardzo dokładne dane na ten temat. Według dokonanych obliczeń, mrówka o długości jednego metra mogłaby z powodzeniem poruszać kapsem siłą własnych organów! Stąd wynika dość dokładne oszacowanie rozmiarów Proksa: jego długość, przy poczynionych założeniach, zawiera się między jednym metrem a dwoma metrami i sześćdziesięcioma centymetrami. Inna sprawa to problem, czy mogą istnieć tak duże owady.

— Założenia są dość wątpliwe, a granice oszacowania szerokie — zauważył Stawczak. — Kiedy opowiadałeś o swoich obliczeniach, przyszedł mi do głowy pewien pomysł... Ale... może później... Jeszcze o tym pomyślę!

Stawczak miewał często oryginalne pomysły, o tym wszyscy wiedzieli i cenili go sobie we wszelkich naukowych dyskusjach. Potrafił często wnieść jakiś nowy punkt widzenia do każdej sprawy. Rzucił pomysł — i zaczynał interesować się czymś innym. Sam właściwie doprowadził do końca zaledwie kilka spośród swych koncepcji. Był na to zbyt niecierpliwy, nudziła go systematyczna praca badawcza. Ale tacy jak on też są nauce potrzebni. Koledzy uznawali to i nie mieli mu tego za złe.

— Z rozmiarami owadów — powiedział Prottor — sprawa jest otwarta. Na ziemi nie osiągnęły zbyt dużych rozmiarów z uwagi na gospodarkę tlenową. Organizm owada oddycha biernie. Ogranicza to możliwości powiększania rozmiarów i doskonalenia mózgu. Ale gdyby na jakiejś planecie istniała atmosfera znacznie bogatsza w tlen, nic nie przeszkodziłoby owadom osiągnąć wyższego stopnia rozwoju.

— Być może, kaps pełni rolę „namiotu tlenowego”. Może koncentruje się w nim sztucznie tlen z atmosfery ziemskiej — dodał Milt.

— Czy ktoś sprawdzał skład gazów atmosferycznych w pobliżu Proksa? — spytał Prottor, lecz nikt nie potrafił mu na to odpowiedzieć. — Bo jeśli koncentruje tlen, to dałoby się wykryć jego niedobór w otoczeniu!

— Być może, zrobię taki eksperyment — Stawczak sięgnął do kieszeni po notes. — Ale na razie chciałbym opowiedzieć o innym doświadczeniu, o którym zresztą wspominał docent w swoim referacie. Otóż chodziło nam o ostateczne

potwierdzenie faktu, że wewnątrz kapsu znajduje się rzeczywiście żywy organizm, którego przemiana materii zbliżona jest do metabolizmu białkowych organizmów ziemskich. Za przypuszczeniem tym przemawia wiele obserwacji — choćby wspomniany już pociąg do miodu. Stwierdzenie, że w kapsie znajduje się żywa, rozumna istota, nie zaś robot, należy poprzeć dwoma dowodami: metabolicznym — wykazującym funkcje przemiany materii, oraz psychologicznym. Tego drugiego nie można opierać na cechach typu intelektualnego, a więc poprzez i testy na umiejętności czy inteligencją. Dobre urządzenie; „sztucznie myślące” może symulować istotę rozumną. Nikomu natomiast z pewnością nie zależy na wyposażaniu; takiego automatu w wady typowe dla żywych istot rozumnych.

U kapsów (a więc — u zawartych w nich hipotetycznych istot rozumnych, Proksów), daje się zaobserwować co najmniej dwie takie wady: łakomstwo i uleganie nałogom. Pierwsza z nich wyraża się w pochłanianiu ogromnych ilości miodu, druga — w upodobaniu do narkotyzujących używek, grzybów.

Skrupulatni badacze zarzucają jednakże pewne metodologiczne niedostatki takim dowodom. Mówią oni, że i kaps może być wszak automatem, zaprogramowanym na zbieranie i dostarczanie rzeczy, które lubią jego programiści.

W przypadku grzybów argumentacja taka wydaje się nietrafna. Wiadomo bowiem, jak zachowuje się kaps po: ich „spożyciu”. Nie ulega raczej wątpliwości, że to zawarty wewnątrz kapsu Proks, odurzony grzybkami, traci panowanie nad kapssem, a niekiedy zatracza najprostsze instynkty samozachowawcze.

Trudno też posądzać automat o narkomanię. By jednakże rozwiać wszelkie wątpliwości, przeprowadziłem niezmiernie interesujący eksperyment. Podczas pobytu w Instytucie Biologii udało mi się za pośrednictwem kolegów z tamtejszego oddziału organizacji zdobyć trochę glukozy z zawartością izotopu promieniotwórczego węgla C-14. W instytucie działa jeden z nielicznych na naszym kontynencie, niewielki reaktor jądrowy. Produkowany w nim promieniotwórczy węgiel używany jest do badań metabolizmu zwierząt.

Celem mojego eksperymentu było ostateczne rozwianie paru wątpliwości, które nasuwają się w naszych badaniach nad Proksami. Po pierwsze — czy kaps rzeczywiście zawiera żywą istotę; po drugie — czy istota owa jest organizmem opartym na węglu, a jej odżywianie i przemiana materii są analogiczne do procesów zachodzących w organizmach białkowych. Przypomnę, że nasze dotychczasowe prace w tej dziedzinie nie przyniosły jednoznacznych odpowiedzi. Niepowodzeniem zakończyły się próby znalezienia odchodów Proksów. Można było to tłumaczyć na różne sposoby, od zaprzeczenia obecności Proksów w kapsach aż do hipotezy głoszącej, iż celowo opróżniają oni kapsy z odchodów w miejscach niedostępnych, by nie dać materiału do zbadania ich organizmów.

Założyłem prawdziwość tej ostatniej hipotezy. Wobec braku odchodów postanowiłem uchwycić się innego sposobu. Promieniotwórczą glukozą zaprawiłem kilka kilogramów miodu, który jest niezawodnym materiałem nośnikowym, gdy chodzi o wprowadzenie czegoś do wnętrza kapsu. Nadmienię tutaj, że koledzy z kwadratu 17–51, jak wynika z artykułu opublikowanego w tajnym biuletynie organizacji, zastosowali miód jako nośnik w celu sprawdzenia, który ze składników wyciągu z grzyba *Entoloma lividum*, zwanego też wieruszką ciemną, działa narkotycznie na obiekt zawarty w kapsie.

Moim zdaniem, występowanie efektu narkomanii jest wystarczającym dowodem na obecność żywej istoty w kapsie, lecz nie przesądza o typie metabolizmu

tej istoty. Eksperyment, który przeprowadziłem z miodem znaczonego C-14, potwierdził, że organizm ukryty wewnątrz kapsy spożywa i trawi glukozę, wydzielając przy tym dwutlenek węgla, co świadczy o oddychaniu tlenem. W powietrzu, otaczającym kapsę nakarmioną skażonym miodem, stwierdziłem obecność śladowych ilości C-14 związanego w cząsteczkach dwutlenku węgla.

— Jak to przeprowadziłeś? — zdziwił się Prottor. — Przecież kapsy szaleją na widok każdego przyrządu pomiarowego

— Jak wiecie, C-14 wydziela promieniowanie beta o małej energii cząstek. Ponieważ nie wiadomo, czy kapsa jest wyposażona w elementy wykrywające zagrożenie promieniowaniem (a przypuszczam, że posiada takie urządzenie), niska energia cząstek była czynnikiem sprzyjającym i uniemożliwiła wykrycie promieniowania barytki miodu. Pociągnęło to za sobą jednak trudności pomiarowe także dla mnie. Dlatego musiałem pobrać próbkę powietrza z otoczenia kapsy i zbadać ją w laboratorium.

— Właśnie! Jak pobrałeś tę próbkę?

— Bardzo prosto. Dopompuwałem koło, z którego, uprzednio wypuściłem część powietrza. . . Teraz już mamy pewność, że w kapsle siedzi organizm białkowy odżywiający się cudzożywnie i oddychający tlenem.

Sprawozdanie doktora Stawczaka przyjęto z uznaniem. Gospodarz podał kawę, nastąpiła krótka przerwa w naradzie, potoczyły się swobodniejsze rozmowy.

— Muszę dodać, że eksperyment Roberta umożliwił mi bezpieczne przeniesienie przez granicę pewnej ilości mrówek, potrzebnych do moich badań — powiedział gospodarz. — Przeszedłem przez punkt kontrolny w chwili, gdy dyżurujące kapsy zajęte były miodem.

— Jak przeniosłeś mrówki? — spytał Prottor. — W kieszeni?

— Nie, wolałem nie ryzykować. Policjanci mogliby znaleźć, a za mrówki można dostać przeniesienie albo jeszcze gorzej. Mrówki niósł pies, którego syn prowadził na smyczy. Były w toroidalnym pojemniku zaszytym w o-broży. Pies jest specjalnie tresowany. Puszczony ze smyczą, ucieka.

— Wszystko, co wiemy, to jednak wciąż rozpaczliwie mało. . . Trochę faktów, trochę podejrzeń. . . — podsumował Prottor. — A ich cechy psychiczne, poziom inteligencji, zamiary i cele? Czy kiedykolwiek uda się nam to zbadać. . .

— Jest jeszcze jedna ważna sprawa — przypomniał sobie Stawczak. — Organizacja w 52-14 zdobyła doniosły, jak się wydaje, materiał: kawałek tworzywa z rozbitej rakiety elgomajskiej floty z czasów inwazji. Mógłby posłużyć do weryfikacji teorii Murphy'ego. . .

— Owszem — zgodził się Prottor — tylko skąd weźmiesz materiał porównawczy?

— Może. . . przy okazji operacji „Cień”? — podsunął gospodarz, sprzątając szklanki. — W ogólnym zamieszaniu mogą nie spostrzec. . .

Prottor zastanawiał się, gładząc łysinę na czubku głowy. Myśl była niezła.

— Można spróbować. . . Lecz w tym celu należałoby wprowadzić naszego człowieka do jednego z Kwadratów Specjalnych — powiedział.

— Wprowadzić łatwo, ale jak go potem wydobyć stamtąd, w dodatku z próbkami! — zauważył sceptycznie Milt

— Mam kogoś, kto mógłby to załatwić. Młody, bystry chłopak, da sobie radę.

— To nie takie proste! — Prottor myślał wciąż intensywnie. Był odpowiedzialny za organizację w tym kwadracie i nie mógł podejmować pochopnych

decyzji. — Trzeba wyposażyć go w narzędzie do pobrania próbek. Ich materiały są piekielnie twarde. Właśnie wczoraj dostałem sprawozdanie z eksperymentu, o którym zapewne słyszeliście w telewizji. Przygotowano sztuczne kamienie z materiałów o różnych twardościach i obrzucono nimi kaps. Władze nie złapały nikogo z uczestników eksperymentu, lecz policja tak się zajęła pościgiem, że można było spokojnie pozbierać „kamienie” i zbadać, jak wyglądają po zetknięciu z kapszem. Tylko spieki węglkowe okazały się twardsze. Na innych były wyraźne otarcia.

— A kaps?

— Udał, że nic go to nie obchodzi. Nawet się nie zatrzymał. . . A swoją drogą rozwinęły się nam oryginalne metody eksperymentowania. . .

— Warunki kształtują metody — uśmiechnął się Stawczak. — Chłopcy z Przedsiębiorstwa Dróg i Mostów zwabili kaps na mostek nad rzeką i określili jego masę na podstawie ugięcia dźwigarów czujnikami tensometrycznymi, które uprzednio umieścili pod przęsłem. Żarł miód, nie wiedząc, że jest ważony. Świadomie na pewno nie dałby się zważyć. Proksowie bardzo dbają o to, abyśmy jak najmniej o nich wiedzieli.

— Jedno mnie jeszcze gnębi — wyznał Prottor. — Wciąż nie ma wyników akcji „Ogon”. Jeśli nie zdążą z tą sprawą przed operacją „Cień”, nie będziemy wiedzieli, czego się spodziewać. . . Osobiście sądzę, że nasze przypuszczenia są słuszne, ale dobrze byłoby wiedzieć na pewno.

Czterej uczeni roztrząsali jeszcze przez godzinę różne mniej lub bardziej istotne sprawy związane z tajną działalnością organizacji „Tamandua”. Gdy zadzwonił dzwonek u drzwi wejściowych, siedzieli już z kartami w dłoniach rozgrywając jakiegoś urojonego szlemika w piki.

Gospodarz poszedł otworzyć drzwi i po chwili wrócił do pokoju z synem.

— Dobry wieczór — powitał Tim zebranych na brydżu kolegów ojca. Przez chwilę patrzył na Prottora. — O, dobrze, że sobie przypomniałem! Mam coś dla pana. . . Mój kuzyn, u którego byłem niedawno, napisał do mnie. . . Tim sięgnął do kieszeni i wydobył pocztówkę.

— Napisał, żebym oddał panu smycz, którą mi pożyczył dla psa. Podobno należy do pana. „Oddaj ją panu Prottorowi z Instytutu. Zostawił ją u nas, gdy był na polowaniu dwa lata temu” — przeczytał. — Nie wiedziałem, że zna pan mojego stryjka!

Tim wyszedł do przedpokoju i powrócił ze smyczą. Prottor był wyraźnie zdziwiony, lecz nic nie mówiąc wziął do ręki rzemienią plecionkę. Nagle twarz jego rozjaśniła się szerokim uśmiechem.

— Przynieś mi ostry nóż, chłopcze!

Tim przyniósł z kuchni nóż, a Prottor przeciął rzemienie na zakończeniu pejcza. Ze skórzanego oplotu wyciągnął kawał czarnego, cienkiego kabla.

— Jest! — zawołał uradowany. — Mieliśmy rację! Zwinął na dłoni kabel. Wstał i jeden z jego końców zbliżył do wiszącej nad stołem lampy, a drugi pokazał zebranym. Zakończenie kabla świeciło mocnym, białym światłem.

— Po prostu światłowód! Ogon kapsu dostarcza Proksowi światła. Musi to być jakaś szczególna częstotliwość, jakiej nie może odtworzyć sobie wewnątrz kapsu. . . Występuje ona w świetle słonecznym.

Docent Warnel ze zgrozą patrzył na syna.

— Skąd masz tę smycz?

— Od Filipa. A ten światłowód odciął kapsowi pociąg. . .

— Co się stało z kapssem? — spytał Prottor, nie zwracając uwagi na wzburzenie ojca Tima.

— Upadł po kilku sekundach.

— Widzicie! Mówiłem, że to stymulacja. . . Nie chodzi o energię! To jakaś szczególna częstotliwość fali albo zestaw częstotliwości, niezbędnych do życia Proksa! Odtwarza je jakiś generator umieszczony w pulwie, gdzie są też baterie energetyczne! A pojedynczy kaps nie ma sztucznych źródeł energii! Porusza się i świeci kosztem energii biologicznej żywego Proksa! Czy światełko na kapsie zgasło natychmiast?

— Nie. Przygasło powoli.

— Zgadza się! Ten sam efekt, co u świetlika i innych organizmów świecących wskutek zawartości lucyferyny. . . Zimne światło. . .

— Czy Proksowie to. . . owady? — spytał Tim z wahaniem.

— Nie wiemy na pewno. Wygląda na to, że raczej — pijawki! — zażartował Stawczak. — Widzisz, docencie! Mówiliśmy o uświadamianiu młodzieży. Zawsze przegapia się moment, kiedy należy to zrobić. Chłopak wie już prawie wszystko!

— Jak mogłeś. . . bez mojej wiedzy! Już ja porozmawiam z Filipem! — sierznił się ojciec Tima.

— A ty mogłeś, tato, przemycać mrówki?

— Jakie mrówki? — zmieszał się Warnel.

— Czerwone. Kiedy wczoraj przyszedłem do laboratorium, drzwi twojego pokoju były zamknięte na klucz. Otworzyłeś po chwili, ale. . . po rękawie kitła łąziła ci mrówka!

Gdy samochód podjechał pod dom, Tim od kwadransa czekał już w oknie. Zbiegł szybko po schodach. Na fotelu kierowcy siedział doktor Stawczak, w głębi — ktoś jeszcze, kogo Tim nie od razu rozpoznał.

— Wsiadaj! — Stawczak otworzył drzwi i zaprosił Tima na przednie siedzenie. — Poznajcie się.

Tim odwrócił głowę i spotkał się oko w oko z Maksem.

— Cześć — powiedział tamten. — My się już znamy.

— Patyk! — zdziwił się Tim. — A ty skąd. . .? Maks złożył dwa palce w kształcie „T”.

— Pamiętasz?

— Aha. Nie załatwiłem tamtej sprawy, bo. . . — zaczął Tim, ale Maks uśmiechnął się, ukazując krzywy zgryz.

— Wiem. Gratuluję ogona — powiedział z uznaniem i szczyptą zazdrości. — To była świetna robota. Żałuję, że mnie tam nie było!

Ruszyli. Stawczak milczał, prowadząc uważnie, bo widoczność była słaba. Poranne mgły snuły się po ulicach, mżył deszcz.

— Pogoda wysiadła zupełnie — zauważył Tim. — Od trzech dni pada.

— To bardzo dobrze. Oby tylko się nie rozpogodziło — mruknął Stawczak.

Tim nie wiedział, dlaczego dobrze, ale udawał, że jest doskonale poinformowany. W rzeczywistości nie znał nawet kierunku planowanej wycieczki, nie mó-

więc już o jej celu. Nie chciał jednak przyznawać się przed Maksem do niższego stopnia wtajemniczenia.

Mijali ostatnie domy przedmieścia. Przed samochodem ciągnęła się wąska asfaltowa droga, wiodąca do wschodniej granicy. Stawczak zwolnił nagle, zjeżdżając na pobocze. Zaklął z cicha i wyłączył silnik.

— Co się stało? — spytał Tim, patrząc przez przednią szybę w mgłę zalegającą gęsto nad polami.

— Pulwa. Tam — pokazał Maks przez prawe okno. — Krąży nad czymś.

We mgle, niewysoko nad ziemią, migotało zielone światełko. Czekali przez kilka minut z wygaszonymi światłami.

— W porządku — powiedział Stawczak. — Możemy jechać. To była ta trzecia.

Pulwa oddaliła się w kierunku miasta. Światełko zniknęło w mlecznym oparze.

— Dlaczego „trzecia”? — zdziwił się Tim.

— Bo są tylko trzy w naszym kwadracie — poinformował Max. — Trzy pulwy i dwa torany.

— Głowę bym dał, że jest ich ze dwadzieścia sztuk. Czasem spotykałem pięć pulw idąc ze szkoły do domu.

— Szkoda głowy — zakpił Max. — Proksom właśnie o to chodzi, żebyś tak myślał. Pulwy są bardzo ruchliwe, a przy tym — niczym się nie różnią między sobą. Można i tuzin naliczyć.

Tim milczał. Nigdy nie próbował określić, ile pulw może stacjonować w jednym kwadracie. Wydawało mu się, że musi ich być bardzo dużo.

— Muszę ci coś wyjaśnić, Tim — powiedział Stawczak, ruszając w dalszą drogę. — Cały ten świat opiera się na systemie bluffu i pozoracji. Szkoda tylko, że tak późno do tego doszliśmy.

Jechali przez mgłę, która gęstniała lub rozrzedzała się miejscami. Samochód włókł się ostrożnie, Stawczak milkł czasem na dłuższą chwilę, skupiając uwagę na drodze przed pojazdem.

— Wszystko zaczęło się od wielkiego bluffu, a potem przez cały czas oszukiwano nas bezczelnie, choć trzeba przyznać, skutecznie. Niestety, tylko nieliczni z nas zdają sobie z tego sprawę. Inni tak przywykli do obecnego stanu, że nie zdołasz ich przekonać, choćby najbardziej wyszukаныmi argumentami. A jeszcze inni — choć wiedzą, jaka jest prawda, nie pozwolą jej głosić, bo byłoby to sprzeczne z ich aktualnymi interesami.

— Wiem... — wtrącił Tim, by wykazać się znajomością podstawowych tajemnic. — To Proksowie zamarkowali atak rakietowy, by Ziemia wyczerpała swój potencjał obronny. A potem, jako rzekomi sprzymierzeńcy, przybyli bronić nas przed nie istniejącym przeciwnikiem... A do tego jeszcze nie wiadomo, czy Proksowie są Proksami, mieszkańcami układu Proximy Centauri, za jakich ich uważamy...

— Na pewno nie są — dodał Maks. — Mogą być Elgomajami z Procyona albo w ogóle nie wiadomo skąd. Wszystko, co o nich wiemy, wiemy od nich samych, z ich oświadczeń.

— Oraz z własnych domysłów, niestety! — powiedział Stawczak z nutą goryczy. — Nigdy jeszcze ludzkość nie dała się tak otumanić, jak wówczas, gdy statki Proksów, jak przywykliśmy ich nazywać, zaparkowały na orbicie okołozemskiej.

Ich tajemniczość sprawiła, że sami, na naszą ludzką i ziemską modłę, urobiliśmy sobie pewne poglądy na ich temat. Pomyślcie: obca cywilizacja spieszy na pomoc zagrożonej planecie. Jaki stąd wniosek? Że to dobre, życzliwe i przyjazne istoty! Obca cywilizacja rozbija przeciwnika i oferuje osłonę przed dalszymi atakami. Jaki wniosek? Oni są potężni, czują się silni, posiadają fantastyczne środki militarne! A kolejny wniosek: trzeba uszanować ich przyjazne uczucia, bo mogliby zwrócić swą potęgę przeciw Ziemi, pobawionej uprzednio większości swych środków obronnych. Więc może lepiej przyjąć życzliwą pomoc, oferowaną w szczerych intencjach? Bo jakże nie wierzyć w szczerą przyjaźń, co przebyli cztery lata świetlne próżni, by zdążyć z pomocą obcym, lecz cywilizowanym, myślącym istotom. . . Zauważcie, chłopcy, że te wnioski wyciągali ludzie sami! Proksowie jedynie podsuwali pewne sugestie, delikatnie dawali do zrozumienia. . .

— Nie pojmuję, jak ludzie mogli tak dać się podejść. . . — Tim pokręcił głową i westchnął.

— Nie dziw się. Wiedziano znacznie mniej niż teraz o Proksach. Nie wolno było ryzykować. Teraz też niewiele wiemy. Też opieramy się w znacznej części na domysłach.

— Ale są fakty. . .

— Różnie interpretowane, niejednoznaczne. . . Ot, choćby sprawa mrówek. . . Zresztą, mniejsza o mrówki, to dalsza sprawa. Proksowie byli i są niezwykle przebiegli. Ich plany w stosunku do nas opracowane były ze świetną znajomością ludzkiej psychiki i to każe nam przypuszczać, że inwazja ta — bo niczym innym, jak utajoną inwazją przeciw było wkroczenie Proksów na Ziemię. — zaplanowana została na podstawie uprzednich sondaży. Wiek dwudziesty, szczególnie w latach poprzedzających inwazję, obfitował w pojawienia się obiektów, które z opisu żywo przypominają pulwy czy torany.

Wszystko odbywało się z niezwykłą precyzją, w zamierzonej kolejności. Najpierw panika wywołana atakiem, potem budowa sieci wież granicznych, poczynanych ze elementy systemu obrony, a następnie (dopiero po podzieleniu Ziemi na kwadraty i ustanowieniu lokalnych samorządów) — zstąpienie Proksów na Ziemię, budowa amb, defilady pojazdów powietrznych. Zdezorganizowana łączność między kwadratami ułatwiała narastanie legendy o, potędze Proksów. Zlikwidowanie kosmodromów i obserwatoriów uniemożliwiało stwierdzenie, ile właściwie statków wylądowało na Ziemi. . .

Jednym słowem, niewielka stosunkowo garstka Proksów, uznana przez naszych dziadków za armię i reprezentację potężnej cywilizacji, przyjmowana z hołdami należnymi wybawcom — zawładnęła Ziemią zupełnie bezkrwawo, wskutek oddziaływań psychologicznych. Genialność zdobywców wyraża się w tym, że ludzie sami siebie pilnują, że sami dbają o to, by nie narazić się przybyszom, że bez szmerania spełniają ich polecenia wyrażane w formie dobrych rad! Do tego jeszcze należy dodać, że ludzie, postawieni u władzy przez społeczeństwa kwadratów, nie mają innego wyjścia, jak tylko podporządkowanie się ogólnemu systemowi. Jeśli kwadratowy dopuści do uchybienia, Proksowie postarają się, by zniknął. A więc karzą tych, którzy przeszkadzają im wypełniać zalecenia Proksów. Ludzie karzą ludzi za sprzeciwianie się Proksom! Czy to nie arcydzieło dyplomacji tych ostatnich, dowód ich nieprzeciętnych zdolności tworzenia fikcyjnych układów, działających z zupełnie niefikcyjnym skutkiem?

Stawczak zamilkł. Jego twarz była zacięta, przestał się uśmiechać. Tim zauważył, że zbielały mu kostki dłoni, ściskających kierownicę. Mgła zrzędała nieco, zrobiło się jaśniej.

— Pan ich nienawidzi — powiedział Tim cicho, patrząc przed siebie.

— Nie. Ja podjąłem z nimi walkę: na spryt i przebiegłość. Wszyscy prawie przekonani są o tym, że nasz świat ugrzązł na wieki w cieniu obcej potęgi, obcego rozumu, który nas zdominował bez reszty i na zawsze. My — ja, twój ojciec, ten chłopak — wskazał głową na milczącego Maksa — być może nie zdziałamy wiele przeciw tej rzeczywiście przytłaczającej potędze. Chcemy jednak część naszego życia poświęcić, by innym pokazać, że można przynajmniej szukać sposobu wyjścia z tego haniebnego cienia. Bierność, zgoda na stan obecny — jest poniżej godności Ziemianina.

— Jeśli jest ich tak niewielu, jak pan mówi, to przecież... można by wspólnymi siłami...

— Głupstwa pleciesz — odezwał się ponuro Maks z tylnego siedzenia. — Skąd wiesz, co wówczas zrobią tamci pozostali na ich planecie?

— Maks ma rację. Za mało o nich wiemy, lecz dość, by domyślać się, że siłą nie pokonamy całej ich potęgi. Uwolnić się od ich „opieki” można tylko w jeden sposób: powodując, by sami stąd odeszli — dodał Stawczak.

— Czy to w ogóle możliwe?

— Są różne koncepcje. Na przykład, szukanie ich słabych punktów. Choćby sprawa grzybowej narkomanii. Wykorzystujemy to, by ich maksymalnie zdemoralizować i otepić, uzależnić od narkotyku. Ale to tylko jedna z metod.

Stawczak zwolnił, rozglądając się uważnie, a po chwili skrzył w boczną drogę ciągnącą się wśród pastwisk. W oddali widać było jakąś jasnoszarą, ruchomą plamę na zieleni trawy. Tim rozpoznał duże stado pasących się owiec.

— Już blisko — powiedział Stawczak i zatrzymał samochód.

— Granica? — upewnił się Tim. Stawczak skinął głową.

— Granica Kwadratu Specjalnego.

— Tutaj? Przecież po tamtej stronie...

— Jeszcze jedna fikcja. Na lekcjach geografii mnie także mówiono, że tam mieszkają ludzie. A naprawdę to jest baza Proksów. Wszystko, co wozi się, pociągami na teren tamtego kwadratu, wędruje raketami w Kosmos. Przygotuj się, Maks.

Chudy chłopak wygramolił się z samochodu. Sięgnął pod fotel, wydobył jakieś narzędzie — rodzaj szczypiec o długich rękojeściach — i stanął w pozycji wyczekującej,

— Słuchaj uważnie, Maks! — Stawczak stanął przed chłopakiem i położył dłoń na jego ramieniu. — Przede wszystkim — żadnego zbędnego ryzyka! Musisz dotrzeć do linii kolejowej. Biegnie ona a dziesięć kilometrów stąd, w lewo od miejsca, gdzie przejdiesz na drugą stronę. Prawie na całym odcinku będziesz szedł lasem, ale staraj się wędrować nocą. Nie zabłądzisz?

— Mam busołę.

— Dobrze. Według wszelkiego prawdopodobieństwa kapsy nie patrolują okolicy. Raczej zajmują się nadzorowaniem przeładunku i ruchem pociągów. Musisz dotrzeć do właściwego czasu i spróbować znaleźć się blisko którejś z rakiet. Jeśli wszystko odbędzie się tak, jak planowaliśmy, nie powinieneś mieć trudności.

Pobierz próbki, ukryj je dobrze, a potem zmykaj do granicy. Postaramy się, żebyś przeszedł bez przeszkód. Chyba że...

— Dobrze, niech pan już nie mówi — przerwał Maks. — W razie czego połknę próbki i dołączę do tamtych. Może się nie doliczą.

— Wierzę w twój spryt. Ale, powtarzam, nie wolno ci ryzykować bez potrzeby.

Tim słuchał tej rozmowy, nie rozumiejąc prawie niczego z jej treści. Pojął tylko, że Maks jakimś cudem zamierza dostać się do tamtego kwadratu i wrócić z próbkami. Tim domyślał się, że chodzi o próbki materiału, z którego zbudowane są rakiety Proksów. Nie rozumiał jednakże, w jaki sposób może się udać tak szalone przedsięwzięcie.

— Idziemy — powiedział Stawczak. — Tim, zabierz, plecak Maksa.

Tim zarzucił na ramiona lekki plecak i poszedł za tamtymi. Zbliżali się do stada owiec pasącego się za drucianym płotem. Szli wzdłuż ogrodzenia do miejsca, gdzie załamywało się pod prostym kątem. Dalej, o kilkadziesiąt metrów przed nimi, we mgle majaczyła migocząca na wietrze linia czerwonych chorągiewek na poziomym drucie. Maks wysunął się do przodu i powoli podchodził z wyciągniętymi szczypcami do granicznej linii fladr. Po chwili usłyszeli brzęk jego identu. Maks szedł coraz wolniej, zbliżając szczypce do linki, wreszcie dotknął jej końcem narzędzia.

Jaskrawa smuga światła wystrzeliła gdzieś z lewej strony, rysując na zasłonie mgły białą krechę. Końce szczypiec, które na sekundę zacisnęły się na linie, rozjarzyły się pomarańczowo. Maks szarpnął obcęgi, linka pękła i zwinęła się po obu stronach w kilka pętli. Laserowa smuga zgasła, gdy tylko Maks wycofał narzędzie z linii granicznej.

— Gotowe — powiedział, wracając i oddając szczypce Stawczakowi.

Tim zauważył, że Maks był blady i ręce drżały mu trochę. Po chwili sam poczuł także, że ma chłodny, wilgotny pot na karku.

— Idziesz? — spytał Stawczak miękko.

— A jak? — burknął Maks i dość brutalnie ściągnął plecak z ramion Tima.

— No, to... — Stawczak złożył dwa palce w organizacyjnym pozdrowieniu, a potem zwrócił się do Tima, podając mu obcęgi. — Tnij płot i pędź owce. Najpierw upatrz sobie głównego barana i nagoń go na przejście linii granicznej. Owce — jak ludzie, bezmyślnie pójda za swoim głównym baranem.

Tim stał przez chwilę bez ruchu, zanim pojął, co ma właściwie robić, a potem przeciął druty i wbiegł na pastwisko, szerokim półkolem zachodząc stado od tyłu. Wywijając szczypcami i pokrzykując, spłoszył stado. Zwierzęta runęły w stronę dziury w parkanie, a potem dalej, prosto na granicę. Tim tylko przez chwilę patrzył na to, co działo się potem. Pierwsze zwierzęta, trafiane laserową wiązką, padały z kwikiem, następne jednak w bezrozumnym pędzie parły do przodu przeskakując leżące i płonące w promieniu skoncentrowanej energii. Wiązka, przesuając się w płaszczyźnie pionowej, bezbłędnie wybierała po kolei każdy ruchomy obiekt. Płonęło owcze runo, cuchnęło spaloną wełną i mięsem. Druga wiązka nadbiegła z przeciwnej strony, wspomagając pierwszą, lecz owce parły wciąż naprzód. Stos martwych zwierząt rósł, rozprzestrzeniał się, lasery siekały coraz to nowe ofiary. Tim odwrócił twarz od tej przerażającej, bezkrwawej jatki. Słyszał tylko kwik owiec i trzask płomienia. Nagle wszystko ucichło. Tim powoli zwrócił spojrzenie w stronę granicy. Poprzez dymiący stos spaleniźny przebiegały

ostatnie, zapóznione owce, na końcu jakieś jagnię, beczące za zagubioną matką — lecz lasery milczały!

— Już! — krzyknął Stawczak.

Maks skoczył w stronę granicy, zawahał się jakby, schylił się i podniósłszy kamień, rzucił przed siebie. Kamień padł po drugiej stronie, na sekundę przedtem, nim Maks znalazł się za linią granicy. Odbiegł kilka kroków, zatrzymał się i odwrócił, podnosząc obie dłonie, splecione nad głową. Tim podszedł do Stawczaka, który objął go ramieniem. Obaj pomachali dłońmi za oddalającym się Maksem.

— Dlaczego...? — zapytał Tim po dłuższej chwili.

— Widzisz, oto jeszcze jedna legenda, sugestia i bluff... Te lasery ładują się energią słoneczną. Przecież, u licha, nie mogą pobierać jej znikąd! A jeśli tak, to muszą gromadzić jej sporo na każdy strzał. Jeśli się zbyt często nie niepokoi granicy, energii starczy na każdego pojedynczego intruza. Ale nec Hercules contra plures... Dziś jest mgła, słoneczne akumulatory ładują się zbyt wolno, jak na taką kanonadę. Musiały się wreszcie wyczerpać.

Aż do granicy miasta jechali w milczeniu, Stawczak prowadził teraz znacznie szybciej, bo mgła zniknęła i słońce coraz częściej błyskało przez chmury.

— Prognoza zaczyna się sprawdzać — powiedział Stawczak. — To bardzo dobrze. Wszystkie kapsy wyleżą na słońce. One najlepiej czują się przy dobrym nasłonecznieniu.

— Tak panu zależy na dobrym samopoczuciu kapsów... to znaczy Proksów?

— Dla mnie szlag je może trafić. Życzę im tego z całej duszy — zaśmiał się Stawczak.

— Dziwi mnie, że tak mało o nich wiemy...

— Nic w tym dziwnego. Kaps — to zjawisko stosunkowo nowe. Jeszcze kilkanaście lat temu nie znaleźliśmy tych tworów.

— Doprawdy? A ja myślałem, że oni od początku pokazują się w takiej postaci...

— Oni maskują się przez cały czas. Kryją się przed nami, nie chcą zdradzić swojego wyglądu. Jak sądzisz, dlaczego?

— Pojęcia nie mam... Też się zawsze temu dziwiłem... — przyznał Tim.

— Jeśli nie pokazują się w naturze, mogliby zaprezentować przecież choćby jakiś wizerunek Proksa! A oni uparli się — i nie! Albo są wyjątkowo szpetni, albo... jest jakiś inny powód — powiedział Stawczak zagadkowo..

— Mogliby przecież wymyślić jakąś postać.

— O, to nie takie łatwe — uśmiechnął się Stawczak. — Czy zauważyłeś, że większość autorów opowieści kosmicznych też unika przedstawienia zbyt dokładnych obrazów kosmitów? Trudno wymyślić coś sensownego... Ale, moim zdaniem, oni mają jakiś ważny powód, by nie ukazywać swego prawdziwego oblicza. Opancerzyli się w nieprzeniknione kokony kapsów, bo wreszcie muszą jakoś kontaktować się z nami, okradać nas detalicznie, na własny rachunek, oprócz tego, co wysyłają raketami nie wiadomo dokąd... A jeśli tak bardzo zależy im na ukrywaniu się, to może... ich prawdziwy wygląd nie jest dostatecznie imponujący albo... mógłby nasunąć nam pomysł, jak ich pokonać? Może ukrywają własną cherlawą słabość w tych pancernych bąblach?

— Mówi się, że mogą być czymś w rodzaju dużych owadów... — wtrącił Tim.

— Tak, to jedna z hipotez. Nie jestem jej zwolennikiem, ale coś w tym zapewne jest, czuję to intuicyjnie... Nie wiem tylko jeszcze, co... Brak mi jakiegoś klucza do tej zagadki, choć wciąż mi chodzą po głowie różne koncepcje...

— Więc... oni od niedawna używają kapsów?

— Tak. Dawniej latali pulwami, nie opuszczając ich nigdy. Z władzami kwadratów kontaktowali się zawsze — jak teraz — przez telefoniczne łącza, doprowadzone do amby.

— Co mieści się w ambie?

— Sam chciałbym wiedzieć. Być może, tam znalazłoby się rozwiązanie zagadki... W ogóle dużo jeszcze musimy się dowiedzieć. Na szczęście, coraz więcej nas nad tym pracuje.

Zatrzymali się przed domem Tima.

— Tylko pamiętaj! Żadnych rozmów! — upomniał Tima Stawczak. — A jutro o dziewiątej trzydzieści spotykamy się na placu koło amby!

Sponad wznoszącej się na wysokość stu kilkudziesięciu metrów wieżycy, jak z wylotu przysadzistego komina, w błękit nieba wystrzelił dysk pulwy. Pojazd zatoczył półkole i zniżył się nad dachy sąsiednich budynków, a potem łagodnie opadł nad ulicę i poziomym lotem sunął o kilka metrów ponad jezdnią. Stawczak ruszył powoli w tym samym kierunku. Pulwa sterowała w stronę zachodniego przedmieścia. Płynęła coraz wolniej, jakby szukając miejsca, by osiąść.

— Zaraz wylądaje. Przy takiej pogodzie oni lubią spacerować — powiedział Tim.

Pulwa osiadła rzeczywiście na rozległym trawniku naprzeciw domu towarowego. Stawczak spojrział na zegarek. Była jedenasta dwadzieścia dwie.

— Szybciej, kochani, szybciej — szepnął.

— Co pan mówi?

— Nic, nic. Zaraz zobaczysz.

Tim rozejrzał się po placu, potem spojrział w niebo. Było bezchmurne, niebieskie. Słońce świeciło, niby jasno, ale jakby za słabo, jak na te warunki atmosferyczne. Zieleń trawy miała dziwny koloryt...

— Jakieś... dziwne światło... — powiedział Tim niepewnie.

— A tak, tak! — zachichotał nieoczekiwanie Stawczak, podając Timowi jakąś szarą płytkę. — Popatrz na słońce!

Tim podniósł do oczu płytkę dymnego szkła. Zamiast krążka słonecznej tarczy ujrzał wąski sierp, przypominający wczesną fazę Księżyca.

— Zaraz będzie drugi kontakt! — powiedział Stawczak drżącym głosem. — Uważaj na kapsy!

Oba kapsy wylazły z pulwy i defilowały po dwóch przeciwnych stronach skweru, kołysząc się jak po kilku grzybkach. Stawczak, z nogą na przyśpieszniku, patrzył na sekundnik. Nagle dodał gazu i włączywszy długie reflektory ruszył na przełaj przez chodnik i skwer w stronę pulwy.

Ciemności zapadały nagle. Po kilkunastu sekundach mrok ogarnął plac, reflektory samochodu zajaśniały na korpusie pulwy, na niebie pojawiło się kilka jasnych gwiazd. Stawczak zahamował ostro, wyskoczył z wozu i pomknął w kie-

runku otwartego wjazdu pulwy. Tim pobiegł za nim. Po chwili obaj zaglądali do wnętrza tajemniczego pojazdu Proksów, nie tkniętego dotychczas ludzką dłońią. Stawczak świecił latarką. Wewnątrz widać było tylko obszerną, pustą komorę. W jej dnie widniały dwa półkoliste zagłębienia, przypominające wnętrza kieliszków używanych do jajek na miękko. Oprócz tego — nic więcej. Żadnego przejścia do pozostałej części pojazdu. . .

— Popatrz! Do diabła, patrz! — ryknął nagle Stawczak opuszczając dłoń z latarką w głąb wjazdu pulwy. Jego nogi wierzgały w powietrzu na zewnątrz pojazdu i Tim musiał je przytrzymać, by nie wpadł cały do wnętrza.

— Co tam? — spytał Tim, nie rozumiejąc, co wywołało taki entuzjizm młodego naukowca.

— Dna tych zagłębień!

Tim przyjrzał się uważnie. W świetle latarki wyglądały z bliska jak wnętrza durszlaka.

— Dziurawe — mruknął Tim.

— No właśnie!

Tim nadal niczego nie rozumiał. Stawczak zeskoczył na trawę, poświecił na swój zegarek.

— Jeszcze dwie minuty! — powiedział i potykając się o krzewy róż na skwerze pobiegł w stronę, gdzie na tle trawy majaczyła sylwetka leżącego kapsu.

Tim spojrział w niebo. Wśród ognistej obręczy korony słonecznej jak złowrogie widmo czerniał krąg Księżycy zakrywającego słoneczną tarczę.

Stawczak wrócił po minucie, spokojniejszy, zamyślony.

— Jedziemy! — powiedział i usiadł za kierownicą. Tim zajął miejsce obok niego. — Zaraz wyjdziemy z cienia.

Po następnej minucie nad miastem znów świeciło słońce.

— Czy. . . oni nie żyją? — spytał Tim, gdy wolno przejeżdżali ulicami miasta.

— Miejmy nadzieję — mruknął Stawczak rozglądając się pilnie.

W pobliżu amby, na placu Przyjaciół, zebrał się spory tłum. Ludzie otaczali pulwę, leżącą na parkingu koło gmachu Rady Kwadratu., Dwa kapsy, przewrócone na bok, leżały tuż koło niej. Czterej policjanci usiłowali powstrzymać tłum gapiów napierających ze wszystkich stron. Urzędnicy wyglądali zza zamkniętych okien Rady.

Stawczak zatrzymał samochód przy wjeździe na parking.

— Zobacz! — szturchnął łokciem Tima i wskazał na drzwi wejściowe do gmachu. — Sam pan kwadratowy!

Zgarbiona postać drobnego człowieczka przemykała chyłkiem w stronę dużego białego samochodu. Po chwili wóz ruszył, lecz nie mogąc wyjechać, zatrąbił nerwowo. Stawczak wysiadł i flegmatycznie zbliżył się do białego samochodu.

— Dzień dobry, panie kwadratowy! — powiedział z ukłonem.

— Proszę usunąć ten wóz! Bardzo się spieszę! — Kwadratowy wychylił się z okienka. Był bardzo blady.

— Nie ma potrzeby, panie kwadratowy! Zaćmienie słońca nie obejmuje przecież całego globu. Za parę godzin wszystko wróci do normy, proszę się nie denerwować!

— Śpieszę się, proszę mnie przepuścić! — krzyczał kwadratowy. — Wiem, że jest tak, jak pan mówi. Uczyłem się kiedyś astronomii, do licha. Ale czy ci ludzie o tym wiedzą?

— Za to nie ręczę. Od kilkunastu lat nie wyklada się astronomii. Na pana polecenie. Ale proszę się nie denerwować, wrócić spokojnie do biura i czekać. To porządni obywatele. Przecież nic złego panu nie zrobią. Niech się pan nie boi, panie kwadratowy!

— Kto powiedział, że się boję? Co pan sobie myśli — oburzył się kwadratowy. Cofnął samochód i wrócił do budynku, zamykając starannie drzwi za sobą.

— Biedak, przestraszył się ciężko... Myślał, że to już koniec z Proksami — powiedział Stawczak sarkastycznie, wracając do samochodu. — Złe byłoby, gdyby ludzie zaczęli teraz jakieś rozruchy. Ale nie ma obawy. Oni raczej żałują biednych Proksów.

— Ilu ich mogło zginąć?

— Jeśli wszędzie, tak jak tutaj, nie przewidzieli zaćmienia, to myślę, że około setki.

— A wszystkich ilu może być?

— Na całym globie? Szacunkowo — dziesięć do dwunastu tysięcy osobników.

— Tylko tyłu?

— Niektórzy ludzie są zdania, że jest ich jeszcze mniej. Popatrz! Już się pozbierali!

Z wierzchołka amby wynurzało się cygaro toranu. Pojazd zniżył się nad pulwą. Wysunęły się z niego chwytaki, które po kolei uchwyciły oba martwe kapsy i umieściły we wnętrzu pulwy, zatrzaszkując właz. Następnie toran uniósł się w górę i poszybował nad dachami.

— Spieszą się. Polecieli sprzątnąć pozostałe. Boją się, żeby im ktoś nie zajrzał do środka kapsy. Chętnie bym sam to zrobił, ale ryzyko zbyt duże — powiedział z żalem w głosie Stawczak. — W każdym razie potwierdza się nasza hipoteza. Gościmy bandę durniów, a nie reprezentację wysoko rozwiniętej cywilizacji. Każda cywilizacja ma swoich uczonych do myślenia i durniów do brudnej roboty. Ale, trzeba im przyznać, że to dość sprytni durnie. To świadczy nieźle o całej reszcie.

— Jeśli tutaj tak się zbłąznili — zauważył Tim — to albo gdzie indziej też nie wiedzieli o zaćmieniu, albo... nie utrzymują regularnej łączności pomiędzy sobą...

— Słuszna uwaga! — pochwalił Stawczak. — Myślę jednak, że i jedno, i drugie. Oni są po prostu zbyt zajęci własnymi „interesami”, szukaniem swoich drobnych przyjemności. Zdaje się, że daleko odbiegli od tego, czego się po nich spodziewano. Są chyba potężnie zdemoralizowani pobytem tutaj. Utracili czujność, są przesadnie pewni siebie. Myślę, że to nasza zasługa...

— Nasza?

— Wspólna, wszystkich ludzi, którzy karmią ich miodem, grzybami i pochlebstwami...

Stawczak zawrócił i pojechali na wschód, w kierunku Kwadratu Specjalnego.

— Ciekawe, czy Maksowi się udało? — powiedział Tim, gdy wyjechali za miasto.

— Na pewno. Jeśli dotarł do kosmodromu przed zaćmieniem, to pobranie próbek z korpusu rakiety nie powinno mu sprawić trudności. Dostał doskonały sprzęt. Jeśli to taki sam materiał, jak próbka z rakiety rzekomych Elgomajów, wiertło powinno go nadgryźć bez trudu. Jest twardy i żaroodporny, ale dość kruchy. Ten eksperyment jest dla nas bardzo ważny. Jesteśmy przekonani, że Elgomajowie nie istnieją, że atak był pozoracją ze strony samych Proksów. To stawia ich

w zupełnie innym świetle, diametralnie odwraca ich rolę, ze zbawców czyni podstępnych, perfidnych agresorów. Lecz musimy to niezbicie udowodnić ludziom, którzy wciąż wierzą w opatrnościową rolę Proksów i mają skrupuły moralne przeciw ich zwalczaniu.

— Gdzie spotkamy Maksa?

— Będzie wycofywał się najkrótszą drogą, prosto w stronę granicy. Ma do przebycia kilkanaście kilometrów. Myślę, że Proksowie nadzorujący Kwadrat Specjalny zginęli w czasie zaćmienia. Na pewno są już tam kapsy z innych kwadratów. W Kwadracie Specjalnym są więźniowie, których nie można pozostawiać bez nadzoru. Nie uciekną wprawdzie przez granicę, ale mogliby Proksom narobić kłopotów na terenie kosmodromu. Maksowi wystarczyło zapewne czasu, by ukryć się w lesie po wykonaniu zadania. Las ciągnie się prawie do samej granicy.

Skręcili w błotnistą polną drogę, mijając zabudowania dużego gospodarstwa rolnego.

— To ferma hodowli owiec — powiedział Stawczak. — Dyrektor jest naszym człowiekiem.

— A tamto stado?

— Spisali na straty nadzwyczajne... Cóż, wyrwały się z ogrodzenia i poszły na lasery. Zdarza się czasem... — uśmiechnął się Stawczak.

— Pogoda dziś za dobra — zauważył Tim, patrząc w czyste niebo. — Lasery będą się szybciej ładowały.

— Nie szkodzi, zamówiłem większe stadko... Stawczak zahamował przy kępie krzewów. Owce stały w ciasnej zagrodzie z desek, o kilkadziesiąt kroków od linii granicznej. Dalej, za fladrami, widać było skraj lasu, odległy nie więcej niż o sto metrów. Wysiedli z samochodu i podeszli bliżej. Z małego pagórka widoczność w obie strony była znakomita.

— Obserwuj brzeg lasu po lewej, ja będę uważał na prawą stronę. Umówiłem się z Maksem, że wyjdzie z lasu o piętnastej. Zaraz powinien tu być, chyba że nie zdążył. W każdym razie, poczekamy tu aż do skutku.

Na łące, rozpościerającej się aż po skraj lasu, było pusto. Tu, w pobliżu granicy, nie było nawet much... Laserowa zapora zniszczyła wszystko, co usiłowało sforsować niewidzialną ścianę granicy — frunąc czy pełznąąc, obojętne...

— Jak można było dopuścić do czegoś takiego... — powiedział Tim na wpuł do siebie.

— Do czego?

— By pozwolić Proksom tak się tutaj panoszyć! Tak niewielu przybyszów trzyma w szachu cały glob!

— Wszyscy są przeświadczeni o ich potędze. Być może, udałoby się zniszczyć ich tutaj... Ale co dalej? Przyjdą następni... A poza tym nikt nie chce należeć do tych pierwszych baranów, które padają ofiarą, by inne mogły przejść bezpiecznie... A pojedynczych buntowników nie trudno unieszkodliwić, nawet bez laserów. Jest dużo spec-kwadratów. Proksowie potrzebują siły roboczej, a nasze władze chętnie pozbywają się tych, którzy utrudniają utrzymanie porządku i pozorów zgodnej, potulnej współpracy z przybyszami... Obawiam się, że gdyby nagle niepostrzeżenie zniknęli Proksowie, wszystko przez pewien czas toczyłoby się nadal bez zmian. Nie potrafiliśmy uwierzyć, że jesteśmy sami u siebie... — Stawczak zamyślił się nagle, twarz mu stężała w wyrazie napięcia. Tim spojrział na niego z niepokojem.

— Co się stało?
— Nic. Zła myśl... — powiedział Stawczak. — Nie wziąłem tego pod uwagę...

Coraz częstsze spojrzenia na zegarek zdradzały, że Stawczak zaczyna się niecierpliwic, czy może nawet niepokoić. Jego dotychczasowa pewność zachwiała się, utonęła w trzęsawisku domysłów. Tim zgadywał, co dzieje się w tej chwili w jego głowie. Plan opracowany tak precyzyjnie mógł nie wytrzymać próby realizacji w nie znanym terenie Kwadratu Specjalnego. Czy wolno było zakładać, że wszystkie kapsy znajdują się w czasie zaćmienia poza swymi pojazdami? Czy nie zostały ostrzeżone? Bo jeśli tak, to mogłyby zaopatrzyć się w światłowody...

Wprawdzie Maks miał surowo przykazane, by nie ryzykował w niepewnej sytuacji, lecz teraz ani Stawczak, ani Tim nie byli już tak przekonani, że chłopak zastosuje się do rozkazu. Na pewno nie będzie chciał wracać bez zdobyczy...

Plan przewidywał, że Maks najpierw dokładnie rozpozna teren, a potem — w czasie zaćmienia i bezpośrednio po nim — sprawdzi, czy pozostał na kosmodromie jakikolwiek żywy Proks. Dopiero mając absolutną pewność, że nikt mu nie zagraża, powinien zbliżyć się do rakiet i pobrać próbki.

— Nie powinienem był go wysyłać! — syknął Stawczak, potrząsając zaciśniętą pięścią. — To odważny chłopak, ale diabelnie narwany! Co on tam robi do tej pory!

— Wróci, doktorze — powiedział Tim, przepatrując skraj lasu. — Może odpoczywa w drodze.

Stawczak milczał, spoglądając coraz częściej na zegarek.

— Która, doktorze?

— Nie nazywaj mnie doktorem! — wybuchnął Stawczak, wyraźnie już zderwowany. — Albo, jeśli już musisz, to używaj pełnego tytułu. Możesz mówić — dodał po chwili nieco łagodniej: — „doktorze nauk fikcyjnych”.

— Jest — zawołał nagle Tim, pokazując jasną plamę wśród drzew, na skraju lasu, dość daleko od miejsca, gdzie czekali.

Stawczak wyciągnął białą chustkę i machał nią nad głową.

— Przygotuj się do wypuszczenia owiec. Tylko się nie spiesz — powiedział. — Przerwa w pracy laserów nie potrwa długo. Maks musi zbliżyć się tutaj, inaczej nie zdąży przejść!

Tim pobiegł do zagrody. Stawczak podniósł z ziemi obcęgi o długich rękojeściach i przeciął drut graniczny. Widzieli, jak Maks skrada się brzegiem lasu, aby znaleźć się na wprost miejsca, gdzie stali.

— Dlaczego nie biegnie na ukos? — wykrzyknął Stawczak, machając chustką. — Przecież nas widzi!

Sylwetka Maksa oderwała się od pierwszych drzew lasu, biegł teraz na przełaj przez łąkę. Od przerwy w drucie dzieliło go niewiele ponad sto metrów.

— Puszczaj! — krzyknął Stawczak.

Tim otworzył zagrodę, a potem zabiegł ją od tyłu, przeskoczył do środka i pokrzykując, kawałkiem deski wyrwanej z płotu popędził zwierzęta. Wybiegały leniwie, kręciły się w kółko. Ani rusz nie chciały się spłoszyć.

— Cholera! co to?! — Tim usłyszał przekleństwo Stawczaka, spojrzął przed siebie i zamarł z deską uniesioną w górę. Po łące, od strony lasu, biegły trzy ludz-

kie postaci. Przodem — chuda, długonoga sylwetka Maksa, za nim, w odległości czterdziestu może kroków — dwóch mężczyzn, ubranych w znoszone, połatane kombinezony i gumowe buty.

Maks był szybszy, dystans między nim a tamtymi dwoma powiększał się. Tim z furią natarł na owce. Ruszyły wreszcie, becząc i tłocząc się, ku granicy. Lasery zagrały z obu stron, owce zbiły się w kłęb, niektóre cofały się, wymykając się ze stada.

— Uważaj! Jeszcze nie... — wrzasnął Stawczak w stronę Maksa i pobiegł Timowi na pomoc.

Maks zwolnił, zmienił kierunek i pomknął wzdłuż granicy, w odległości paru metrów od drutu, rozpiętego na słupkach, lecz jeden ze ścigających przeciął mu drogę. Maks zawrócił gwałtownie, wpadając na drugiego, odskoczył, lecz oni osaczyli go, spychając na drut z czerwonymi chorągiewkami. Napierali powoli, chłopak cofał się krok po kroku. Lasery prażyły w pojedyncze owce, które udało się nagonić. Coraz słabiej, lecz wciąż skutecznie...

— Mam, tutaj! — krzyknął nagle Maks, wznosząc do góry zaciśniętą pięść.

— Nie! — wrzasnął Stawczak i znieruchomiał.

Maks odwrócił się nagle w stronę granicy i wystrzelił długim, tygrysim skokiem ponad drutem. Świetlny promień trafił go w locie, lecz Maks upadł już po drugiej stronie, Stawczak i Tim rzucili się w jego kierunku. Dwaj napastnicy cofali się tyłem, z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami, a potem nagle odwrócili się i puścili biegiem w stronę, z której przybyli.

Stawczak przykleknął koło leżącego Maksa i odwrócił go twarzą do góry. W środku tułowia ziała czarna, zwęglona plama. Zaciśnięta pięść rozluźniła się. Na dłoni leżały cztery grudki szarego metalu.

— Po co?... — jęknął Stawczak, przymykając oczy. — Po co to byto potrzebne?

Zjął plecak z ramion leżącego i podał Timowi, a sam podniósł zwłoki i ruszył w stronę samochodu. Tim patrzył w niemym osłupieniu, nie mogąc uwierzyć w realność tej sceny. Machinalnie zarzucił na ramię pasek plecaka i powłókł się za Stawczakiem.

„Dlaczego? — kołatało mu się po głowie to jedno słowo. — Dlaczego?”

Wracali w milczeniu, samochód toczył się wolno po pustej drodze, zalanej słońcem późnego popołudnia.

— To moja wina — powiedział nagle Stawczak. — Za późno o tym pomyślałem. Brałem pod uwagę tylko Proksów... To był błąd, niewybaczalny błąd... Tam, w Kwadratach Specjalnych, rządzą te same prawa, co tutaj... Człowiek — człowieka...

— Dlaczego on to zrobił? — spytał Tim, patrząc przed siebie, na rysującą się w oddali sylwetkę miasta.

— On wierzył, że to, co robi, jest ważne i potrzebne. Naprawdę wierzył. Zawsze chciał zrobić coś bardzo ważnego...

Tim otworzył plecak Maksa. Oprócz ręcznej wiertarki ze specjalnym zestawem diamentowych wiertel i paru innych drobnych narzędzi było w nim kilka jabłek, plastikowa butelka z resztką jakiegoś napoju i mały zeszytek w płóciennej oprawie z zatkniętym za okładkę długopisem. Plecak był nietknięty, lasery mierzyły widocznie w środek celu, dostosowując moc do jego rozmiarów...

Tim obracał w dłoniach zeszyt, wreszcie otworzył. Równe rzędy drobnych

liter pokrywały kilkadziesiąt stron. Ostatni fragment, pisany najwidoczniej w pośpiechu, wyróżniał się mniej starannym piśmem.

„Dziś jest wreszcie ten mój dzień i wydaje mi się, że wszystko, co usiłowałem robić dotychczas, jest nieważne, małe, bez znaczenia. Musiałem zdobyć te próbki. Mam je w kieszeni. To nawet nie było trudne. Wczoraj przebiegłem granicę. Całopalna ofiara ze stada baranów przebłągała groźne bóstwa na szczycie strażniczych wieżyczek — przepuściły mnie, znalazłem się na tym zaklętym czy przeklętym terenie, z którego nie wraca się nigdy. Ale ja muszę wrócić, bo inaczej wszystko oczywiście nie miałoby sensu. Musiałem więc być ostrożny. Nogi mi trochę drżały, gdy zagłębiałem się w ten nie znany świat. Las dał mi osłonę. Podobno dawno temu, kiedy byliśmy jeszcze sami u siebie, ludzie uciekali z miast do lasu, by ukoić nerwy roztrzęsione miejskim życiem. Wierzę, że tak było. W lesie człowiek czuje się bliżej Ziemi, jakby w nią wrastał, stojąc wśród drzew. Kiedyś las śpiewał głosami ptaków. To musiało być piękne. Dziś tylko szumi. To jest smutne. Ptaków nikt nam nie zwróci. Za lasem była ogromn, otwarta przestrzeń. Przecinały ją tory kolejowe. Widziałem pociągi toczące się ku niewiadomemu celowi. Doczekałem nocy. W ciemnościach poszedłem wzdłuż torów. W nocy nie było pociągów. Zaćmienia księżyca są możliwe tylko w czasie pełni. Tak mówił doktor S. A zaćmienia słońca? Nie wiem, nie znam się na tym. Nie uczono mnie o niebie. Może dlatego, bym nie patrzył w gwiazdy, lecz w ziemię. Kiedy się patrzy w gwiazdy, człowiek tęskni za czymś dalekim i nieosiągalnym. Tylko taka tęsknota jest prawdziwa. W naszym świecie nie potrzeba, aby ludzie tęsknili do czegokolwiek. Mają być zadowoleni tym, co im dane. Mają patrzeć w ziemię, nie w niebo.

Szedłem ponad dwie godziny wzdłuż torów, potem zobaczyłem kilka niskich budowli wystających z ziemi. Tu też był kawałek lasu, nieduży. Na jego skraju leżał toran i dwie pulwy. Jakiś kaps szwendał się koło nich, błyskał zielono, mocno się chwiał. Wreszcie wlaźł do toranu. Dalej, może o kilometr, widać było sterczące ku górze długie cygara rakiet.

Zasnąłem w wysokiej trawie, pod osłoną krzewów, na skraju zagajnika, lecz dość daleko od toranu. Obudził mnie poranny chłód, rosa zwilżyła mi ubranie i włosy. Słońce wyszło z za horyzontu, na czyste niebo. Jadłem jabłka. Było mi lekko, jak kiedyś, dawno — a może nie tak dawno, lecz dziwnie daleko. . .

Zobaczyłem ich. Wychodzili jeden za drugim, z tych niskich budowli, z ziemi, szarzy jak ona. Czy któryś z nich jest moim ojcem? Nie poznałbym go nawet ani on mnie, tym bardziej. Czekałem. Kapsy krążyły wokół toranu, potem dwa oddaliły się, dotarły do rakiet. Dwa inne kręciły się w pobliżu pociągu, który nadjechał. Więcej ich chyba nie było. Ciemność zapadła nagle. Pobiegłem przed siebie. Ludzie rozładowywali pociąg. Teraz, w ciemności, siadali na skrzyniach, czekali. Nie patrzyli w niebo. Nie dziwili się. Kapsy leżały przy nich, a oni jakby tego nie widzieli. . . Nie widzieli także mnie, kiedy biegłem do rakiet, i tutaj kapsy leżały bez ruchu.

Nawierciłem korpus rakiety, w różnych miejscach. Musiałem wspiać się po wsporniku, żeby dosięgnąć części powyżej dysz silników. To trwało długo. Słońce zajaśniało, lecz kapsy wciąż leżały, więc spokojnie wierciłem dalej. Sprzęt był doskonały, wiertło nacinało kolisty rowek, odłupywałem to, co zostawało w środku. Małe okruchy, ale S. mówił, że wystarczy. Dobrze szło, udało się zdobyć cztery kawałki, z różnych części rakiety.

Zszedłem na dół, zebrałem narzędzia. Tamci, przy pociągu, kilkaset kroków stąd, wyładowywali skrzynie. Jakby nic się nie stało. Jakby nie widzieli leżących kapsów. Nie rozumiałem dlaczego. Czterech nie nosiło skrzyń. Chodzili wokół pozostałych. Czasami bili krótkimi pałkami. Ominąłem ich, biegiem dopadłem zagajnika i dalej, prosto, wzdłuż torów...

Gdy się obejrzałem, spostrzegłem, że dwóch mnie goni. Byli wolniejsi, zatrzymywali się często. Wtedy i ja odpoczywałem. Myślałem, że ich zostawię gdzieś, że zrezygnują. Ale oni brnęli dalej, z niewytłumaczonym uporem, jak psy tropiące zwierzynę. Dziesięć kilometrów takiej ucieczki. Wreszcie las. Zaszyłem się między drzewa, pewien, że ich zgubię. Ale wkrótce usłyszałem ich. Nawoływali się w lesie. Znalazłem wykrot, gęsta trawa i poszycie z niskich krzewów dawały schronienie przed ich okiem. Siedzę tutaj. Jem jabłka. Chyba się udało, chyba poszli. Zaczekam jeszcze, nim ruszę dalej. Jestem już blisko. Jeszcze dwa, trzy kilometry. Jednak zrobiłem to, udało się. Teraz już wszyscy muszą uwierzyć, kim są nasi goście. Teraz nikt nie będzie miał wątpliwości... Dlaczego ci dwaj mnie gonili? Czy nie widzieli leżących kapsów, nie rozumieli, że nikt nie pilnuje, nikt nie ukarze?... Czy wszyscy już tak przywykli do obecności Proksów, że nie mogą uwierzyć, gdy ich nie ma?

Odpoczywam jeszcze. Nie chce się wstać z tego mchu. Nawet jabłka smakują tu inaczej...

Chyba zawrócili. Pójdę już...

Na wąskiej, chudej twarzy Milta widać było najgłębsze zdziwienie, gdy ode-rwawszy oczy od binokularu mikroskopu patrzył w zamyśleniu w stronę okna. Nad ulicą przelatowała pulwa, zmierzając w kierunku śródmieścia. Odprowadził ją wzrokiem, aż zniknęła za krawędzią wieżowca.

— Zdziwiająca technologia... — powiedział zakładając okulary. — Nie spotykana struktura. Bardzo dziwne tworzywo...

— Spiek metaloceramiczny? — poddał Stawczak.

— Nie. Brak cech świadczących o normalnej obróbce termicznej... To wygląda, jakby zostało... bo ja wiem... zlepione? Albo raczej zmontowane z maleńkich elementów doskonale do siebie dopasowanych. Nie mam pojęcia, jak można osiągnąć taką strukturę. Nie da się tego z niczym innym porównać ani pomylić...

— Więc... jaki wynik ekspertyzy, inżynierze?

— Nie ma wątpliwości. Materiał powłoki statku Proksów jest zbudowany tak samo, jak odłamek skorupy pocisku. Oba mają tę samą, komórkową budowę, tylko że ten drugi jest jakby rzadszy, lżejszy i znacznie słabszy pod każdym względem.

— Zgadza się... — powiedział Stawczak, kiwając głową. — To nie były nawet prawdziwe pociski. Wypuszczono makiety pocisków, cały rój rakiet, które nie mogłyby wyrządzić większych szkód. Zapewne spłonęłyby w atmosferze, gdyby nie znakomita obrona antyrakietowa... Mogli naprodukować takich pustych pudełek dużo i tanio. Coś w rodzaju stracha na wróble... Musieli dobrze znać ludzkie możliwości i obyczaje, a nawet lęki i obsesje. Wiedzieli, że ludzie będą się bronić do ostatniej rakiety... i tak było. Dla naszych przodków wolność zawsze znaczyła tak wiele, że gotowi byli oddać życie w jej obronie, przeciwstawić się przeważającej sile przeciwnika... Jak to się dzieje, że wobec nielicznej stosunkowo garstki Proksów wszystkich opuściły nagle — ta odwaga i determinacja, to

przywiązanie do wolności. . . Powiedzcie, jak to jest możliwe, że przez tyle lat pozwalamy ograniczać swobodę naszych poczynań, że oddaliśmy się pod kurtelę jakichś obcych istot — i wszystkim opadły nagle ręce. . . Każdy z osobna wie, że ten stan to ledwo zamaskowana niewola, okupacja. . . A wszyscy razem — poddają się temu. . .

— To nie jest sprawa samych Proksów. Oni tylko umiejętnie wykorzystują pewne cechy niektórych ludzi. Sami osobiście nie maczają w tym łap. Posługują się ludźmi — powiedział Milt z goryczą.

— Wykorzystują zresztą nie tylko złe cechy ludzkiej natury — dodał Stawczak w zadumie. — Na ich korzyść działają takie cechy, jak na przykład poczucie odpowiedzialności: sami przecież tępimy próby otwartej walki w obawie przed całą domniemaną potęgą, jaka stoi za przybyszami.

— Czy naprawdę stoi? . . .

— To znów pewnik, który przyjęliśmy bez dowodów. Ostrożny — albo asekurancki, jak kto woli go nazwać. . .

— Ale możemy walczyć inaczej. . .

— Robimy to przecież, na różne sposoby. Lecz i tutaj oni wykorzystują nasze zbiorowe poczucie odpowiedzialności. Jeśli będziemy strajkować, sabotować produkcję — w pierwszym rzędzie zabraknie towarów dla ludzi, a Proksowie i tak wywiozą swój kontyngent.

Ileż to razy dochodzili do podobnych wniosków w różnych rozmowach i dyskusjach. Kończyło się na konstatacji zupełnej niemożliwości zrobienia czegokolwiek w celu zmiany tego stanu. Sytuacja miała tylko jedną alternatywę: albo trwać w poczuciu bezsilności, byle jakiej egzystencji i względnego bezpieczeństwa — albo zaryzykować czynne wystąpienie. Ta druga możliwość mogłaby dać doraźne efekty: likwidację lub przepędzenie tych Proksów, którzy znajdowali się na Ziemi. Przedtem nie wiedziano nic na temat ich żywotności — teraz przynajmniej znany był jeden ze sposobów ich uśmiercania: pozbawienie światła i dostępu do urządzeń generujących ów czynnik fizyczny niezbędny dla życia Proksa. Wystarczyłoby jednak, by kapsy poukrywały się w ambach. Trzeba by mieć odpowiednio ciężką broń i środki jej przenoszenia, by dobrać się do tych kryjówek. Organizacja nie dysponowała takim uzbrojeniem. . .

— Czy zauważyłeś, że coraz rzadziej widuje się pulwy nad ulicami? Od czasu zaćmienia nie widziałem, by którakolwiek lądowała w mieście. Kapsy też zupełnie zniknęły — powiedział Milt, patrząc przez okno na ulicę.

— Najwyżej jeden czy dwóch z nich zostało przy życiu w tym kwadracie. Mają trudności z obsadzeniem wakujących stanowisk — uśmiechnął się Stawczak. — Muszą ściągnąć część załóg z tych kwadratów, gdzie nie było zaćmienia.

— Czy zawsze było ich tylu? — wtrącił się Tim, który dotychczas siedział w kącie laboratorium, oglądając atlas zoologiczny.

— Jak to „zawsze”? — obruszył się Stawczak. — Do licha! W świadomości młodego pokolenia oni są tu „od zawsze”!

— Odkąd tu przylecieli. . . — poprawił się Tim.

— Nie wiemy, ilu ich przyleciało. Nikt ich wówczas nie próbował policzyć — wyjaśnił Milt.

— Zastanawiałem się kiedyś, czy oni w ogóle się tutaj rozmnażają? I czy. . . umierają?

— To też zagadka. Niektórzy twierdza, że jest ich coraz więcej, ale to trud-

no stwierdzić bezspornie. Nikt również nie stwierdził, jak długo żyje pojedynczy Proks ani też czy w ogóle któryś z nich zmarł od czasu ich przybycia. Trudno sobie nawet wyobrazić metodę badania tego problemu — kapsy czynią Proksów zupełnie nieodróżnialnymi. Prawie nic nie wiemy o ich organizmach.

— A gdyby tak... rozbić jeden kaps? — spytał Tim niepewnie. Milt i Stawczak popatrzyli na siebie.

— Widzisz... To raczej nie wchodzi w rachubę... — powiedział Milt. — Z czasów wewnętrznych wojen na naszej planecie znamy przypadki, gdy za zabicie Jednego wroga karano śmiercią dziesięciu, dwudziestu zakładników... Jaką liczbę ludzi Proksowie mogliby uznać za równoważną jednemu z nich? Może tysiąc? Może całe miasto? Dotychczas karali nas rękami ludzi albo w sposób bierny, laserami na granicach, lecz któż zaręczy, że nie uciekną się kiedyś do czynnej przemocy?

— Więc tylko nasi przodkowie mogli byli jeszcze coś zrobić — przeciwstawić się Proksom wtedy, na początku; a teraz nie ma już żadnej szansy?

— Trudno mieć pretensję do naszych przodków. Zrobili, co było możliwe i rozsądne. Dali się nabrać, bo nie znali Proksów i popadli w zależność od nich. Ale czy można ich winić za to, że nie znali natury tych drani? My po osiemdziesięciu latach obecności Proksów nie wiemy nawet, skąd naprawdę pochodzą i jak wyglądają... Leczą szansa, o którą pytasz, istnieje. Trzeba dążyć do tego, powtarzam, aby sami odeszli... Nie wiem jeszcze, jak to spowodować, ale mam wrażenie, że musi być na to sposób. Intuicyjnie wiążę to ze sprawą ich biologii, fizjologii lub anatomii. Dlatego zajmuję się odkrywaniem choćby drobnych części tajemnic tak dokładnie i konsekwentnie przed nami ukrywanych. W tym musi tkwić coś bardzo ważnego i istotnego. Gdybym wiedział, co...

Tim rozglądał się po graciarni, gdzie się znajdowali. Było to pomieszczenie na poddaszu instytutu, wypełnione starymi meblami i nieczynną aparaturą. Wśród zakurzonych i osnutych pajęczyną gratów najłatwiej było ukryć przedmioty i urządzenia potrzebne do konspiracyjnej działalności naukowców.

— Dawniej nie przypuszczałem nawet, że świat jest tak dziwnie urządony — powiedział Tim, gdy chyłkiem wychodzili z pokoju na poddaszu. — Kiedy się spojrzy z zewnątrz, wszystko wygląda tak zwyczajnie, normalnie... Ludzie pracują, żyją, umierają, chwają Proksów, utyskują na codzienne kłopoty... A pod tym wszystkim kryje się jakby drugi, odmienny świat. Obowiązują w nim inne oceny tych samych faktów, robi się w nim i mówi coś wręcz przeciwnego niż w tamtym, pierwszym... Istnienie tego podskórnego świata dotarło do mnie dopiero bardzo niedawno...

— To symptom zbliżającej się dorosłości — powiedział Stawczak, kładąc Timowi dłoń na ramieniu. — W tym świecie jednak nie wszyscy jednakowo szybko dorastają...

— Niektórzy nigdy... — dodał Milt.

— Tak. Niektórym ludziom zewnętrzny obraz do końca życia wydaje się jedynym możliwym światem...

— Może dzięki temu mają mniej kłopotów... — zauważył Milt z ironią. — Nie trapi ich poczucie zamknięcia w klatce bez wyjścia.

— W kwadratowej klatce — dodał Tim.

Przed oczami miał wciąż — jak powtarzający się odcinek filmu sklejonego w zamkniętą pętlę — chudą sylwetkę piegowatego chłopaka, szybującą na wskroś

niewidzialnych prętów klatki, w której nie chciał pozostać. „Tak musiały ginąć ptaki dawnego świata” — pomyślał Tim.

Schodząc po schodach, usłyszeli nagle głośny huk gdzieś w pobliżu, na zewnątrz gmachu. Stawczak podszedł do okna na półpiętrze. Wysoko ponad dachami domów szybował powoli toran. Oddalał się.

— Patrzcie! — zawołał nagle Stawczak, wskazując ręką. Spojrzeli w tym kierunku.

Spomiędzy domów Śródmieścia, w miejscu gdzie przedtem wznosił się wieżochółek amby, dymił ku niebu tuman szarego pyłu czy dymu. Wybrzuszał się, rozpełzał nad miastem, roznoszony powiewami wiatru w coraz rzadsze rozpluwające się smugi. . .

Zbiegli na dół, wraz z innymi pracownikami instytutu, tłoczącymi się na schodach i w hallu na parterze. Zmieszani z tłumem ludzi wybiegających z okolicznych domów, pędzili ulicami pełnymi podnieconych, przerażonych mieszkańców miasta. Wokół placu Przyjaciół mrowił się zwarty tłum, zalegający wyloty przyległych ulic, jezdnie, chodniki i skwery. Na środku placu, gdzie dotychczas wznosiła się wieżycza amby, piętrzyła się pryzma drobnych okruchów. Wisiał nad nią tuman pyłu opadający powoli na trawę skweru, na okoliczne domy, na ludzi.

Amba jakby rozsypała się w proch i zapadła, stając się niewielką hałdą drobnego kruszywa.

— Niewiele z niej zostało — powiedział Stawczak, wspinając się na palce, by dojrzeć coś ponad głowami ludzi.

— Musiała być pusta w środku — dodał Milt.

— Czyżby to też była tylko. . . makieta? Strach na wróble? — podsunął Tim. Spojrzeli na niego z uznaniem.

— Ten chłopak ma głowę na karku! — powiedział Stawczak.

Tłum topniał. Ludzie rozchodzili się stopniowo. Niektórzy mieli uśmiechnięte twarze, inni przemykali chyłkiem, pod ścianami, rzucając wokoło krótkie, wystraszone spojrzenia. Ktoś rozbił białą skrzynkę na ścianie narożnego domu, koper ty i luźne arkusiki papieru zaścielały chodnik, podfruiwały w powiewach wiatru, szarzały stemplowane podeszwami butów. Jakaś kobieta, wznosząc ręce ku niebu, dreptała tam i z powrotem, zaczepiając ludzi z tłumu rozpaczliwymi pytaniami; „Co teraz będzie, ludzie, co my bez nich pocniemy?”

Jakiś mężczyzna zdążył się już upić i w euforii stłuc dużą szybę wystawową, a teraz, zwisając pomiędzy dwoma policjantami, z trudem holującymi go w poprzek potoku przechodniów, wykrzykiwał: „Niech żyją mrówki! Nie damy naszych mrówek!” Potem, ładowany do samochodu, uczeplił się kłapy munduru policjanta i zaglądając mu w oczy mętym spojrzeniem, upewniał się bełkotliwie . . . ale powiedz pan? Za politykę mnie zamkniecie, no nie?”

W ciągu następnej godziny miasto opustoszało. Ludzie siedzieli w domach, prawie nikt nie chodził po ulicy. Wszyscy czekali. Czekali jeszcze przez kilka następnych dni, chodząc do pracy, do sklepów, na spacer do parku. Kultywowali swoje dotychczasowe przyzwyczajenia i zachowania, na wypadek gdyby wszystko miało powrócić do normalnego stanu. Nawet po ogłoszeniu oficjalnych komunikatów przez telewizję nie wszyscy jeszcze wierzyli. . .

V. Epsi

Słońce stało w zenicie, w samym środku jasnoblękitnego nieba. Eiworm A1 odpoczywał pośród dywanu niskich, wilgotnych roślin. Było cicho i spokojnie.

Od strony Centrali Dalekiej Łączności zbliżał się eiworm E4. Na tle nieba widać było jego przysadzistą, masywną sylwetkę. Był największy spośród eiwormów pracujących w Centrali i trudno byłoby go pomylić z którymkolwiek innym. Sunął szybko, klucząc pośród krzewów porastających płaski teren okolic Centrali,

— Są wiadomości z szóstego sektora — powiedział, zatrzymawszy się obok A1. — Przedsięwzięcie się powiodło. Tak przynajmniej wynika z raportu.

— Nigdy nie dowierzaliśmy raportom tych nicponiów i przeważnie słusznie. Co donoszą?

— W skrócie można by streścić w paru zdaniach: udało się nawiązać przyjazne stosunki z mieszkańcami. Nie spodziewają się raczej trudności w dalszej współpracy. Będą przysyłać transporty atrakcyjnych towarów, produkowanych na planecie,

— Jak to osiągnęli?

— O tym — ani słowa w całym raporcie.

— No, właśnie... To podejrzane. Pamiętamy dobrze ich wyczyny na innych planetach... U nas, tutaj, też zawsze sprawiali kłopoty... To banda kombinatorów, a nie porządne eiwormy.

— Dlatego właśnie wolimy posyłać ich dokądkolwiek, byle daleko! — zaśmiał się E4. — To cholernie kłopotliwy zespół, choć trzeba przyznać, że są wśród nich spryciarze, jakich mało. Taki 212 na przykład... .

— Tak, trzeba przyznać, że mają dobre pomysły, z których zwykle wynikają dość poważne korzyści. Ale... jednak powinny nas bardziej interesować ich poczynania na innych planetach. Trudno uwierzyć, że tak łatwo udaje im się wszędzie nawiązywać pomyślne stosunki. Nie posądzam ich o szczególny dar przekonywania, więc... jak ta robią?

Eiworm A1 zastanawiał się chwilę, E4 też milczał. Nurtowała ich ta sama myśl.

— Chyba nie lądowali na tej planecie, co? — zaniepokoił się nagle A1.

— Oczywiście, że nie... Tak przynajmniej podają w sprawozdaniu. Są podobno na orbicie.

— Jaki sprzęt zabrali ze sobą?

— Trudno powiedzieć. Zażądali kredytów, materiałów i normalnego wyposażenia. Potem wynieśli się z tym na planetoidę. Moo, gdzie przygotowywali się do wyprawy. Po ich starcie, jak zwykle, nie znaleźliśmy tam niczego, co mogłoby ich demaskować. Zawsze strzegą swoich tajemnic.

Słońce grało mocno. A1 czuł, jak ze wszystkich jego członków ustępuje niedawne zmęczenie.

„Najlepiej jest jednak na własnej planecie — pomyślał z przekonaniem. — Niech sobie inni podróżują, my wolimy być tutaj. . .”

— Chyba jesteśmy nieco obłudni — powiedział nagle E4. — Zbieramy owoce działalności Z12 i jemu podobnych, nie interesując się szczegółami. Szczerze mówiąc, kłóci się to trochę z etyką porządných eiwormów.

— Racja. . . Bardzo dobrze, że się w tym zgadzamy. Musimy poruszyć tę sprawę na szerszym forum — zgodził się A1. — Ale. . . może poczekamy na pierwsze transporty towarów. Zobaczymy, co dobrego przyślą. . .

— Nasz kochany sybarytyzm! — zachichotał E4. — A nuż warto będzie przytłumić skrupuły dla jakichś wyjątkowo atrakcyjnych delikatesów z obcej planety! Obłudnicy z nas. To te nasze gorsze części dają o sobie znać. Lepsza część eiworma każe mu zastanawiać się nad etycznymi aspektami naszej działalności, a ten prymityw, co w nas siedzi, ciągnie nas w stronę kompromisów moralnych. . .

— Cóż, trudno, jedno od drugiego oddzielić się nie da, taka już nasza natura. Ale zainteresujemy się tym, co robią nasi niesforni spryciarze. Choćby dla naszej informacji. Nie możemy dopuścić, by nas wprowadzali w błąd. Chodzi o autorytet kierownictwa. No, i o dobre imię w Kosmosie. Mogliby zaszargać opinią całej społeczności przyzwoitych eiwormów. Wreszcie, przeciętnie biorąc, nie jesteśmy tacy źli. . .

— . . . i tacy prymitywni. . . — dodał E4. — Próbowano kiedyś testować Z12, uchodzącego za najinteligentniejszego eiworma w tamtym zespole. Wynik był dość. . . żenujący.

— Spryt nie idzie w parze z rozumem. Decydują o nich różne akfurmy. Gdyby udało się, wprowadzić akfurmy inteligentnego eiworma takim, jak Z12, mielibyśmy mnóstwo genialnych eiwormów na naszej planecie. . .

— Lecz niestety, nie udają się takie zabiegi — westchnął E4. — Może kiedyś, w przyszłości, uda się pokonać tę barierę biologiczną. To wszak atawizm z czasów, gdy eiworm był dla eiworma wrogiem gorszym niż audnamat.

Od zabudowań Centrali zbliżał się trzeci eiworm. Rozpoznali, że był to B7.

— Nie mówmy na razie nic o naszych zamiarach — mruknął A1.

— Jest nowy meldunek — powiedział przybyły. — Donoszą, że postanowili zejść na powierzchnię planety. . .

— Co? — A1 aż podskoczył. — Oszaleli? Nie wolno im wchodzić w kontakt z mieszkańcami planety!

— Nie bójcie się, Z12 jest bardzo przebiegły. Nigdy by nie narazili się na niebezpieczeństwo, gdyby nie byli pewni sukcesu. Poczynili przygotowania, opracowali znakomity model skafandra, który zamaskuje to wszystko czego nie powinno być widać. . .

— Mimo wszystko to jednak ryzykowne — zaproponował E4.

— Podobno nie ma żadnego ryzyka — uspokajał B7. — Mieszkańcy planety są bardzo życzliwi. Wprost kochają naszych!

— Trudno uwierzyć, że ktoś mógłby kochać tych nicponiów. To muszą być jakieś niezmiernie naiwne istoty, ci mieszkańcy planety — powiedział A1 z powątpiewaniem. — Poczekajmy na dalszy rozwój sytuacji. Oby tylko nie wyniknęło z tego nic złego dla nas wszystkich.

— I żeby nie narobili nam wstydu na cały Kosmos — dodał E4.

Przewodniczący, eiworm A0, udzielił głosu A1, który pokrótce przedstawił problem.

— Sprawa jest ważniejsza, niż się na pozór zdaje. Wiemy wszyscy, że nasi wysłannicy są zręcznymi handlowcami. Efekty ich działalności mamy okazję obserwować nie po raz pierwszy. Nie próbowaliśmy jednakże nigdy zbyt wnikliwie zainteresować się środkami, jakie prowadzą do tych wyników. Wystarczyło nam zwykle, iż koszty, poniesione w związku z wyprawami zespołu pod wodzą Z12, zwracały się z nawiązką. Tym razem jest podobnie. Kolejne transporty przynoszą nam towary znakomitej jakości. Każdy przyzna, że tak wysokogatunkowych artykułów nie produkujemy na naszej planecie. Niepokój budzi jednakże fakt, iż za to wszystko płacimy śmiesznie niską cenę. Eksportowane w zamian towary są zarówno co do ilości, jak i wartości niewspółmierne z tymi, które otrzymujemy. Właściwie mamy wszystko za darmo, i właśnie to powinno nas niepokoić. Korzyści ekonomiczne nie zrównoważą strat, jakie możemy ponieść.

— O jakich stratach mowa? — przerwał któryś eiworm z tylnych rzędów. — Dawno nie spożywaliliśmy tak wspaniałych artykułów!

— Czy myślicie, że mieszkańcy tamtej planety są skończonymi durniami? — wykrzyknął w zapale A1. — jeśli godzą się na niekorzystne dla siebie warunki wymiany, to widocznie są do tego zmuszani. Nie wolno nam dopuścić, by gromada wyrzutków, którzy przysporzyli nam nieraz kłopotów tutaj, w naszym układzie, panoszyła się na obcej planecie i wystawiała złe świadectwo naszemu wysoce kulturalnemu i moralnemu społeczeństwu, naszej cywilizacji o przebogatych tradycjach pokojowego współistnienia z innymi cywilizacjami Kosmosu. Wszystko, co oni tam zmalują, będzie zaliczone na nasz rachunek, a oni sami poczytani zostaną za reprezentantów naszej kultury, według nich będą nas sądzili. Nie wolno do tego dopuścić.

— Byli dobrzy do tej pory, korzystaliśmy z ich usługi — zawołał eiworm B7 sarkastycznie. — A teraz nagle w niektórych z nas budzi się spóźnione poczucie przyzwoitości?

— Cisz! — Przewodniczący przerwał dyskusję. — Niech E4 przytoczy argumenty, przemawiające za koniecznością przeprowadzenia kontroli sytuacji na omawianej planecie.

— Można śmiało powiedzieć — zaczął E4 — że wszystko, co dostajemy za pośrednictwem stałego połączenia raketowego z tej planety, są to artykuły luksusowe jak na nasze warunki. Być może, Z12 i jego grupa uzyskują te towary w drodze uczciwej wymiany, na przykład w zamian za informacje naukowe, sprzedawane mieszkańcom planety. Zresztą wartość jest rzeczą względną i trudno nam wyrokować, co może się opłacać naszym partnerom, a co nie. Jednakże musimy mieć pewność, że nie zostały zastosowane metody sprzeczne z naszą etyką handlową i polityczną. Towary dostarczane stamtąd nie wnoszą zbyt istotnego udziału do naszego bilansu handlowo-rynkowego. Stanowią zupełny margines, są raczej artykułami delikatesowymi i z powodzeniem możemy obyć się bez nich. Koszty wyprawy zwróciły się już z zyskiem, a zatem przesłanki ekonomiczne nie wchodzą w rachubę. Przerwanie, w razie potrzeby, tych transakcji — gdyby okazały się nieuczciwe — nie pociągnie za sobą żadnych strat. Dlatego postu-

lujemy wysłanie zaufanego eiworma z pełnomocnictwami do kontroli i podjęcia odpowiednich decyzji, stosownych do zastanej sytuacji.

Podniósł się gwar, przewodniczący uciszał przez dłuższą chwilę przekrzykujące się eiwormy. Wreszcie udzielił głosu eiwormowi C2, specjaliście od ekologii omawianej planety.

— Jak wiecie, planeta jest zupełnie nieperspektywiczna z punktu widzenia ekspansji naszej cywilizacji. Panują na niej bardzo niekorzystne dla eiwormów warunki: obrót jej nie jest zsynchronizowany z ruchem orbitalnym, wskutek czego na jej powierzchni występuje efekt zmiennego nasłonecznienia — od zupełnej ciemności do pełnej jasności. . . Wiemy dobrze, co to oznacza: brak kluczowych częstotliwości fali świetlnej powoduje rozstrojenie więzi psychosomatycznych i nieuchronny, nieodwracalny rozpad eiworma na pojedyncze akfurmy.

— Jak wobec tego może istnieć życie na tej planecie? — zdziwił się ktoś z głębi sali.

— Na planecie żyją istoty funkcjonujące na zupełnie odmiennej zasadzie niż my — wyjaśnił prelegent. — Przywykliśmy traktować wszystko według własnych kryteriów. Zakorzeniony w naszym sposobie myślenia eiwormomorfizm uniemożliwia nam wyobrażenie sobie istoty tak dalece od nas odmiennej, a w szczególności, na przykład, tak dziwnej cechy, jak naturalna skończoność trwania. Ale jedno należy podkreślić: ze względu na typ i parametry strukturalno-psychiczne tych istot mogłyby one stać się niebezpieczne, gdyby poznały nasze właściwości, wygląd i strukturę. Załóżmy, że w istocie są one w ten czy inny sposób oszukiwane przez naszych wysłanników. Jeśli sobie to uświadomią, mogą zechcieć się ich pozbyć. Odkrywszy zaś nasze słabe strony, mogą zechcieć powetować sobie straty. . . Przy stanie techniki, jaki panował u nich przed wysłaniem naszej ekspedycji, nie byłoby zdolni dotrzeć tutaj i zagrozić nam. . . Lecz byłoby to tylko kwestią czasu i wcześniej czy później role mogłyby się odwrócić: oni przybyliby do nas upominać się o swoje i co gorsza, mieliby pełną słuszność.

Reasumując: musielibyśmy albo się bronić, albo uprzedzić atak. Jedno i drugie jest nie do przyjęcia dla naszej pokojowej i nieagresywnej cywilizacji. . . A zatem należy opowiedzieć się za wnioskiem przedłożonym przez E4, to znaczy za przeprowadzeniem kontroli. Dodać należy, że w ogóle dalekozasięgowy handel międzyplanetarny, a nawet też i badania kosmiczne nie powinny być preferowane w sytuacji, gdy posiadamy prawie nie zbadane i nie wykorzystane bogactwa, które kryje Ciemna Połowa naszej planety. Jej badanie byłoby chyba tańsze, a już na pewno mniej ryzykowne niż dalekie wyprawy w Kosmos.

Omალże znów nie rozgorzała burzliwa debata pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami eksploracji Kosmosu, lecz przewodniczący w porę ją ukrocił i poddał głosowaniu wniosek E4. Większością głosów wniosek został uchwalony, a inspektorem, jak często bywa, został mianowany sam wnioskodawca.

— Zupełnie nieciekawa perspektywa — pożalił się E4 do A1 w kularach. — Taki szmat drogi i misja niemiła. . .

— Za to co za frajda — pocieszał go A1 — znaleźć się u źródła tych wspinałości! Na przykład to, co przysłali ostatnim transportem: taka złotobrunatna, lepka, półpłynna masa o cudownej woni i smaku! Delicje! Aż żal pomyśleć, że

mogłoby się okazać konieczne wycofanie naszych handlowców z tamtego rynku...

Eiwormy zgromadziły się wokół podwyższenia, na którym zajął miejsce przewodniczący A0. Przejrzysty strop sali posiedzeń jaśniał promieniami słońca, zebrani wymieniali jeszcze uwagi, dyskutowali z sobą.

— Szanowne eiwormy! — zagaił A0. — Zwołaliśmy to nadzwyczajne posiedzenie Rady do Spraw Kontaktów Międzyplanetarnych, by rozpatrzyć sprawę znanych nam wszystkim raportów, które nadesłał delegowany przez nas na inspekcję eiworm E4. Treść raportów budzi wątpliwości i trudno na ich podstawie wyrobić sobie jednoznaczny pogląd na sprawę. Pierwszy raport, nadesłany wkrótce po przybyciu E4 na planetę, brzmi entuzjastycznie... Potwierdza on w ogólnych zarysach stan rzeczy, jaki opisywał nam eiworm Z12, kierujący tamtejszą misją: przyjazne stosunki z mieszkańcami, współpraca i pomoc techniczno-naukowa, poszanowanie wzajemne...

Drugi raport natomiast zawiera stwierdzenia tyleż niepokojące, co enigmatyczne. Mowa w nim o jakichś gigantycznych nadużyciach i wykroczeniach, o hohsztaplerstwie i szantażu, których jakoby dopuściły się eiwormy kierowane przez Z12. Nasz inspektor zapowiada, że wkrótce zdobędzie szczegółowy raport. Wobec tych rewelacji zdumienie budzi raport trzeci, E4 rozwodzi się w nim nad własną pomyłką, która wynikła ze zbyt płytkiej znajomości stosunków na planecie. Stwierdza on, iż dopiero teraz właściwie zrozumiał wszystko, co się tam dzieje, i nie dopatruje się żadnych nieformalności ani wykroczeń ze strony naszych przedstawicieli.

Tak labilne stanowisko naszego inspektora musi budzić u nas czujność i zmusza nas do podjęcia czynności wyjaśniających. Należy tutaj dodać, że inspektor, eiworm E4, w ostatnim raporcie zwraca się z wnioskiem o akredytowanie go jako stałego przedstawiciela Rady przy tamtejszej placówce...

„Trudno mu się dziwić! — pomyślał A1 i rozmarzył się. — Ach, gdyby tak zostać wysłanym na tę planetę!”

Z upojnym drzeniem wszystkich swych członków wspomniiał cudowny, niezapomniany trans, w jaki wprawiło go spożycie tych niezwykłych roślin, przysłanych prywatną pocztą przez eiworma E4, z którym A1 był w zażyłej przyjaźni...

— Co gorsza — ciągnął mówca — ostatnimi czasy dostawy znacznie się pogorszyły. Nasi handlowcy przysyłają byle co, statki są niecałkowicie załadowane, koszty transportu ledwo się zwracają. Należy się obawiać, że nastąpiło jakieś rozprężenie dyscypliny wśród naszych przedstawicieli. Doszliśmy do wniosku, że jest im tam widać zbyt wygodnie, zbyt dobrze — rozleniwili się, pracować nie chcą, ale też wracać nie mają zamiaru. Utrzymują dostawy na takim poziomie, by nie przemęczać się działalnością, a równocześnie — aby nie było podstaw do odwołania ich stamtąd...

Być może zresztą mieszkańcy planety zmądrzeli i podnieśli ceny eksportowe... Wszystko to skłania nas do podjęcia zdecydowanych kroków w celu wyjaśnienia, jak się rzeczy mają naprawdę. Proponuję powołanie Komisji Ekspertów, która udałaby się tam i obiektywnie zbadała sprawę na miejscu.

Wniosek przewodniczącego spotkał się ze zrozumieniem i poparciem Rady, Tylko A1 był jakby trochę niezadowolony z obrotu sprawy...

Raport Komisji Ekspertów w sprawie działalności misji handlowej planety Epsi na Trzeciej Planecie układu gwiazdy Sol.

Komisja Ekspertów, działając na mocy uprawnień udzielonych przez Wysoką Radę do spraw Kontaktów Międzyplanetarnych, po zbadaniu sytuacji i szczegółowej kontroli metod i skutków działalności grupy kierowanej przez eiworma Z12, stwierdza co następuje.

1. Podczas akcji, nazwanej eufemistycznie „nawiązywaniem przyjaznych. stosunków”, dopuszczono się gigantycznej mistyfikacji i serii oszustw, co spowodowało wymuszenie na mieszkańcach planety niekorzystnych dla nich, bezprawnych i niczym nie uzasadnionych zależności politycznych i świadczeń materialnych.

2. Dopuszczono się karygodnej ingerencji w wewnętrzną politykę planety, co stanowi pogwałcenie najszczytniejszych ideałów wolnościowych, tak wysoko cenionych przez naszą etycznie dojrzałą cywilizację planety Epsi.

3. Dla wywierania presji na mieszkańców planety posługiwano się kolaborantami, których w zamian za usługi osadzano na kluczowych stanowiskach politycznych, gospodarczych i administracyjnych planety. Nadto wykorzystywano więźniów politycznych do niewolniczej pracy na rzecz tutejszej grupy eiwormów.

(Czyny wymienione w punktach 1, 2 i 3 są naruszeniem Kodeksu Etyki Stosunków Międzyplanetarnych)

4. Przebywające tu eiwormy, wykorzystując skutki wykroczeń, o których mowa w poprzednich punktach, uzyskiwały nieprawnie znaczne pożytki indywidualne na szkodę mieszkańców planety.

5. Karygodne zaniedbania, nieposzanowanie prawa i rozluźnienie dyscypliny oraz powszechne, uleganie zgubnym nałogom pociągnęły za sobą fakty kompromitujące naszą cywilizację i spowodowały groźbę ujawnienia najistotniejszych tajemnic biologicznych, od których zależy bezpieczeństwo planety Epsi.

6. Jediną okoliczność łagodzącą dla działającej tu przestępczej grupy stanowi fakt, iż do wiadomości mieszkańców planety nie przeniknęły informacje o położeniu planety Epsi w Galaktyce. Trudno natomiast stwierdzić, w jakim stopniu posiadli oni inne tajne informacje i dane na temat eiwormów.

Wobec stwierdzonych faktów, w celu zapobieżenia dalszemu naruszaniu prawa i zażegnania niebezpieczeństwa możliwej i uzasadnionej kontrakcji (aż do kontrinwazji włącznie) mieszkańców planety, jaką mogliby teraz lub w przyszłości podjąć, oraz mając na uwadze niezmiennie pokojową ogólną linię polityczną naszej planety Epsi, Komisja postanawia:

— wycofać wszystkie eiwormy znajdujące się na planecie oraz zatrzeć wszelkie ślady mogące służyć do rozpoznania naszych tajemnic gatunkowych,

— winnych dokonywanych wykroczeń postawić do dyspozycji organów wymiaru sprawiedliwości na planecie Epsi,

— Inspektora E4 ukarać za zaniechanie czynności służbowych z przyczyn czysto prywatnych i z niskich pobudek.

Ewakuację zalecono przeprowadzić w terminie natychmiastowym.

(pięć podpisów nieczytelnych)

VI. Bez nich

Profesor Bruss uśmiechał się przyjaźnie do Tima.

— No cóż, Warnel. . . — powiedział wesoło. — Nie będę cię pytał, zamiast poprawki z historii będzie. . . poprawka do historii. . . Nie mamy jeszcze oficjalnego, nowego programu, ale będziemy musieli na pewno powtórzyć jeszcze raz cały zesłoroczny kurs, z poprawkami, oczywiście. Badania historyczne są w toku. Musimy usunąć z nauki o naszej przeszłości wszystkie przemilczenia i fałszywe informacje, powstałe w wyniku nienormalnej sytuacji. Musimy, prawdę mówiąc, napisać na nowo naszą historię, uwzględniając bohaterski udział w tworzeniu obecnej rzeczywistości takich cichych bohaterów, jak profesor Unger — prześladowany za nieustępliwe głoszenie prawdy o naszej pięknej rodzimej przyrodzie. . .

Tim uśmiechnął się w duchu, przypomniawszy sobie błady strach na obliczu Ungera na widok planszy z mrówką. A po chwili posmutniał, bo pomyślał o Mak-sie.

— Twój ojciec także położył duże zasługi dla sprawy walki o wolność Ziemi — ciągnął Bruss przymilnie. — Pewnie wejdzie wkrótce do nowych władz kwadra. . . to znaczy, do lokalnego samorządu. Słyszałem, że ma mu być powierzony nadzór nad szkolnictwem. A ty też, zdaje się, dzielnie mu pomagałeś w jego konspiracyjnej pracy. Już choćby dlatego masz u mnie zaliczoną tę historię. A ponadto, chciałbym ci coś zaproponować. Organizuję właśnie koło Młodych Budowniczych Nowej Cywilizacji. Czy zechcesz zostać przewodniczącym? Musimy wspólnym wysiłkiem usunąć jak najszybciej wszystkie szkody i opóźnienia powstałe z winy Proksów! Wy, młodzi, zbudujecie nowy świat, lepszy od tego sprzed proksyjskiego najazdu!

— Być może — mruknął Tim. — Szkoda tylko ptaków i motyli. . .

— Co mówisz?

— Dziękuję za propozycję, Zastanowię się jeszcze.

— Nareszcie możemy rozegrać parę prawdziwych robrów — powiedział Warnel, rozdając karty. — Przynajmniej na razie nie musimy zaprzętać sobie głowy Proksami. A swoją drogą, chciałbym wiedzieć, dlaczego odlecieli. . .

— Już ich żałujesz? — zaśmiał się Stawczak, — Już odczuwasz tęsknotę? Nie martw się. Będzie dość roboty, żeby to wszystko odkręcić. Trzeba zrekonstruować całą naszą cywilizację. Przede wszystkim — łączność i wymianę informacji. Odkąd zlikwidowano te cholerne lasery na granicach kwadratów, wszystko wygląda inaczej. Kto zaczyna licytację?

— Ja. Ale zaczekajcie chwilę. — Prottor, podszedł do telewizora i włączył go. — Zaraz będą wiadomości ze świata.

Na ekranie pokazała się uśmiechnięta twarz lektorki.

„Witam miłych widzów w czterdziestym drugim dniu nowej ery naszej cywilizacji. Od sześciu tygodni jesteśmy sami na naszej planecie. Pamiętać na-

leży jednak, że nie jesteśmy sami w Kosmosie, o czym miało okazję przekonać się kilka ostatnich pokoleń. Dlatego też Tymczasowa Rada Jedności i Odbudowy Cywilizacji uchwaliła na dzisiejszym posiedzeniu powołanie Światowego Sztabu Obrony, który zajmie się organizacją Zjednoczonej Floty Orbitalnej dla ochrony przed zakusami przybyszów spoza naszego układu, by nie powtórzyła się nigdy sytuacja, w jaką pozwoliliśmy wpędzić się osiemdziesiąt lat temu. Koszty uzbrojenia Floty obciążą równomiernie całe społeczeństwo Ziemi.

Akra. Nasz korespondent z Afryki Zachodniej donosi, że w dniu wczorajszym usunięto uroczyście ostatnią wieżyczkę graniczną na kontynencie afrykańskim. W ten sposób zniknął ostatni z Kwadratów Specjalnych, na terenie którego znajdowała się jedna z kolonii karnych, gdzie Proksowie więzili przeciwników politycznych, używając ich do niewolniczej pracy przy załadunku rakiet zagrabionymi towarami. Więźniami, znajdującymi się w stanie wyczerpania fizycznego i psychicznego, zajęła się światowa Organizacja Byłych Bojowników o Wolność.

Genewa. Rada Jedności podjęła uchwałę, by do czasu unormowania spraw administracyjnych utrzymać dotychczasowy system zarządzania. Na czele samorządów lokalnych postanowiono pozostawić na razie byłych kwadratowych, w uznaniu ich zasług w dziedzinie prowadzenia kompromisowej polityki w trudnych warunkach okupacji proksyjskiej.

Warszawa. W związku z koniecznością zasilenia finansów władze lokalne wydały zarządzenie o opodatkowaniu w stosunku 75 przez urzędników pocztowych z tytułu przymusowych opłat od interesantów. Od tej chwili klienci zobowiązani są składać opłaty do specjalnych, zaplombowanych puszek, które otwiera się komisyjnie po godzinach urzędowania. Od chwili wejścia w życie zarządzenia obsługa w urzędach pocztowych znacznie się pogorszyła.

Z ostatniej chwili. Z Afryki Równikowej donoszą, że potomkowie obywateli dawnego państwa Gwamba pod wodzą nowo obranego przywódcy Gwambala utworzyli państwo Nowa Gwamba w granicach sprzed inwazji. Doszło do starć z zamieszkałymi na tym terenie potomkami obywateli dawnego Bwamburu, kwestionującymi przebieg linii granicznej pomiędzy Nową Gwambą a Wielkim Bwamburu, który zamierzają reaktywować. . . ”

— No i proszę! — powiedział Stawczak, wyłączając telewizor. — Wszystko nam pięknie wraca do normy. Możemy spokojnie grać w brydża.

— Może. . . trzeba zawrócić Proksów? — zażartował Milt.

— Nie wrócą. Musieli mieć ważne powody do odlotu. Chyba ich po prostu odwołano — powiedział Prottor.

— Myślisz, że z powodu kompromitacji z zaćmieniem? — Warnel wachlował się kartami. — Czy może. . . z powodu powszechnej narkomanii?

— Wszystko się na to składa, ale najważniejszego powodu nie poznamy nigdy — powiedział Stawczak.

Spojrzeli na niego pytająco.

— Powód tkwi w tym, według mnie, że za dużo o nich wiedzieliśmy. Pomimo ich usilnych starań, abyśmy nie zdobyli żadnych informacji, widocznie jednak byliśmy zbyt bliscy odkrycia ich tajemnicy. Nie mogli do tego dopuścić. Widocznie byłoby to dla nich niebezpieczne. . . Nie kryli przecież własnej potęgi, lecz zapewne chcieli ukryć swe słabości!

— Przecież niczego takiego o nich nie wiemy. . .

— Gdybyśmy to wiedzieli, byłoby już dla nich za późno, a pamiętać należy,

że całą tę hecę oparli na bluffie, sugestii i znajomości naszej psychiki... Odkrycie całej prawdy musiałyby widocznie zrujnować ich taktykę, pozbawić tych atutów, dzięki którym wygrywali od kilkudziesięciu lat. Stawiam na to, że klucz tkwi we wnętrzu kapsu!

— Czyli... w wyglądzie i budowie Proksa?

— No, w pewnym sensie... tak — zgodził się Stawczak. — To są oczywiście moje hipotezy. Ale przypomnijcie sobie, jak skwapliwie zbierali padłe podczas zaćmienia kapsy. Może nie doliczyli się wszystkich? Może któryś wpadł do morza albo stoczył się do górskiego jeziora? A oni pomyśleli, że dostał się w ludzkie ręce i... to ich przerażyło.

— Chciałbym dostać taki kaps w swoje ręce! — rozmarzył się Warnel.

— Masz nadzieję, że znalazłbyś w nim swoją Wielką Mrówkę? — roześmiał się Prottor.

— Mrówkę jak mrówkę... — Stawczak zawiesił głos i poczekał, by zwrócili na niego zaciekawione spojrzenia. — A może całe mrowisko? Całe, hierarchicznie uwarstwione, miniaturowe społeczeństwo, z podziałem funkcji i stanowisk, z królem, mędrkami, robotnikami? Może to „społeczeństwo-istota”, z tak silnymi powiązaniem wewnętrznymi, że żadna z jej składowych nie jest w stanie istnieć autonomicznie? Mrowisko, które nauczyło się poruszać, zbiorowa jednostka, która o samej sobie mówi nie „ja”, lecz „my”, jednocząca się z innymi podobnymi w jakimś nadrzędnym „społeczeństwie mrowisk”... Mrowie maleńkich istotek, udające jednego dużego Proksa! Istotek zbyt małych, by ktokolwiek z nas pozwolił im terroryzować się przez dziesiątki lat! Umiemy odczuwać respekt wobec istot mądrzejszych od nas, ale większych lub co najmniej równych nam rozmiarami — lecz przecież nie wobec jakichś tam mrówek! Choćby nie wiem jak inteligentnych... Nasza ludzka duma i honor nigdy by nam na to nie pozwoliły!

Wszyscy patrzyli przez chwilę w osłupieniu na Roberta Stawczaka, potem wybuchnęli śmiechem. A potem przestali się nagle śmiać i jakby ciemna zasłona spadła im z mózgow... .

To, co powiedział Robert, nie było takie głupie... .

Warszawa, październik 1978